

Jacqueline Wilson

Pocałunek

Przełożyła Ewa Rajewska

Ilustrował Nick Sharratt

Media Rodzina

Tytuł oryginału KISS

Text copyright © by Jacqueline Wilson, 2007

Illustrations copyright © by Nick Sharratt, 2007

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Media Rodzina, 2009

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7278-382-0

Harbor Point Sp. z o.o.

Media Rodzina

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 061 827 08 60, faks 061 827 08 66

www.mediarodzina.com.pl

mediarodzina@mediarodzina.com.pl

Łamanie Cromalin

Druk i oprawa

opolgraf

Dla Yicky Ireland

Przerw obiadowych nie cierpiałam najbardziej. To właśnie wtedy najdotkliwiej brakowało mi Carla.

W poprzedniej szkole każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem.

Wybiegaliśmy z klasy zaraz po dzwonku, równo w dziesięć minut rozprawialiśmy się z obiadem w szkolnej stołówce, a potem mieliśmy całą godzinę tylko dla siebie. Wymykaliśmy się do jednego z naszych szczególnie ulubionych miejsc. Kiedy było ciepło, wygrzewaliśmy się na słońcu obok piaskownicy albo przesiadywaliśmy na murku koło wiaty na rowery, wymachując nogami. W zimie przeważnie zaszywaliśmy się w bibliotece. Tak naprawdę me było ważne, gdzie jesteśmy, liczyło się to, że jesteśmy razem.

Bywały dni, kiedy rozmawialiśmy niewiele — każde z nas czytało swoją książkę i tylko od czasu do czasu chichotaliśmy i wymienialiśmy komentarze. Czasem coś wspólnie rysowaliśmy albo graliśmy w wisielca czy w statki. Ale najczęściej zajmowaliśmy się wymyślaniem nowych dziejów Szklanii. Odgrywaliśmy je na bieżąco, w miarę, jak powstawały, chociaż w szkole, inaczej niż w Szklanej Altanie, nie można było tego zrobić jak należy. Już i tak uważano nas za parę dziwolągów, a gdyby jeszcze ktoś usłyszał, że jako król Carlo i królowa Syhdana wyznajemy sobie miłość silniejszą od śmierci, stalibyśmy się największym

pośmiewiskiem. Dlatego w szkole tylko mamrotaliśmy pod nosem i minimalizowaliśmy czarodziejskie gesty, konieczne, żeby magia zaczęła działać i żebyśmy mogli przenieść się do olśniewających wspaniałości Szklanii.

Dzwonek na popołudniowe lekcje zawsze działał na nas jak wstrząs elektryczny, jego dźwięk roztrzaskiwał w drobny mak nasze korony z kryształu i wytworne szklane trzewiczki. W znoszonych tenisówkach wlekliśmy się z powrotem do klasy dusznymi, przesiąkniętymi zapachem pizzy szkolnymi korytarzami, żałując, że nie możemy pozostać w Szklanii na zawsze.

Wciąż aktualizuję Kroniki Szklanii, które zajmują opasły, gęsto zapisany tom, a Carl od czasu do czasu dodaje od siebie kilka zdań albo ilustrację, ale najnowsze dzieje odgrywamy ostatnio coraz rzadziej. Carl wiecznie ma tyle zadane. Zdarza się, że nie zagląda do Szklanej Altany przez kilka dni z rzędu i muszę po niego chodzić.

Moja interwencja nie zawsze przynosi spodziewane rezultaty. Owszem, Carl daje się sprowadzić na dół do ogrodu i zaciągnąć do altany, ale bywa milczący, markotny i zupełnie nietworczy albo się zgrywa, popisuje

8
i wygłasza swoje kwestie pretensjonalnym tonem, psując wszystko.

Przeważnie po dłuższych staraniach udaje mi się go nakłonić, żeby odgrywał swoją rolę jak trzeba, ale kosztuje mnie to mnóstwo wysiłku.

— Lepiej dałabyś mu spokój i przestała go zmuszać, żeby się z tobą bawił!

— krytykuje mnie mama.

— Carl to mój najlepszy przyjaciel. Niby z kim mam się bawić? — pytam.

— Oj, Sylvie! — wzdycha mama. Ostatnio, kiedy ze mną rozmawia,

wyjatkowo często wzdycha. — Jesteś już za duża na całą tę dziecinadę, to udawanie, że żyjesz w jakimś niestworzonym świecie. To nie jest normalne. Masz już przecież trzynaście lat! Kiedy wreszcie zaczniesz się zachowywać jak nastolatka?

— Nie masz o tym zielonego pojęcia — mówię wyniośle. — To nie żadna dziecinada, piszemy wspólnie wielotomową książkę. Kiedyś ją wydamy i wtedy zobaczysz. Carl i ja zarobimy na niej fortunę, takie będą wpływy z tantiem i sprzedaży praw do przekładów i ekranizacji.

— To świetnie, może wtedy spłacisz nasz kredyt hipoteczny — komentuje mama i znowu wzdycha. — Uważasz się za drugą Joannę K. Rowling, co? Ale Carl chyba jakoś stracił zapał do tej waszej zabawy — to jest, do tego waszego pisanie. Oboje dorastacie. Może pora znaleźć sobie nowych przyjaciół? Nie masz żadnych koleżanek w nowej szkole?

— Mam, całe mnóstwo — kłamię. — Na przykład Lucy.

Zaprzyjaźniłyśmy się.

To akurat prawda. Lucy i ja zaprzyjaźniłyśmy się tego budzącego tyle obaw pierwszego dnia w Milstead High

9

School. Znałyśmy się jeszcze z poprzedniej szkoły, ale nigdy wcześniej nie odczuwałam potrzeby przyjaźnienia się z żadną dziewczyną — miałam przecież Carla.

Teraz, w nowej pierwszej klasie, znalezienie nowych przyjaciół nie było sprawą łatwą. Prawie wszyscy uczniowie chodzili do mojej starej szkoły i konsekwentnie trzymali się swoich starych znajomych — w parach lub małych grupkach. Doszło do nas kilka nowych dziewczyn, ale one od początku obracały się we własnym gronie. Oprócz nich do równoległej

klasy dołączyła Miranda Holbein, lecz nie sędzę, żebym była dla niej wystarczająco atrakcyjnym towarzystwem.

Dlatego kiedy Lucy uśmiechnęła się sympatycznie i zapytała, czy nie chciałabym z nią usiąść w ławce, poczułam wielką ulgę. Lucy jest typem rozchichotanej trzpiotki; zawsze w rumieńcach, sprawia wrażenie, jakby była nieustannie zawstydzona. Śpiewa w chórze i jest taka grzeczna. Nosi fryzurę na pazia, nieskazitelnie białą szkolną bluzkę, spódnicę o przepisowej długości do kolan i wypolerowane na wysoki połysk brązowe sznurowane półbuty. Wygląda prawie tak samo dziecinnie jak ja. Tak więc siedzimy razem w ławce na wszystkich lekcjach i częstujemy się wzajemnie czekoladą oraz chipsami na przerwach. Rozmawiamy na zwykłe, banalne tematy, takie jak seriale telewizyjne (Lucy najbardziej lubi te o szpitalach, a w przyszłości chciałaby zostać pielęgniarką) i gwiazdy muzyki pop (Lucy ma swoich ulubieńców w kilku boysbandach; otacza ich uwielbieniem jak starszych braci i zna na wyrywki ich znaki zodiaku, ulubione potrawy i dokład-

10

ne tytuły wszystkich hitów ze wszystkich ich albumów, w kolejności występowania na płycie).

Lucy sprawdza się jako przyjaciółka z braku laku, ale za moją najlepszą przyjaciółkę nie uznałabym jej nigdy w życiu. Ponieważ mieszka bardzo blisko szkoły, dosłownie za rogiem, w przerwie obiadowej chodzi do domu. Ja mieszkam za daleko, żeby jeść domowe obiady, zresztą moja mama i tak jest o tej w porze w pracy, zawałona papierami w swojej spółdzielni mieszkaniowej, więc nie może mi usmażyć jajka z frytkami tak jak mama Lucy, która nie pracuje. Podczas każdej przerwy obiadowej

zostaję sama jak palec. W naszej szkole nie wolno używać telefonów komórkowych, więc wysyłam do Carla telepatyczne SMS-y: JESTEŚ?:- (BĘDZIESZ DZIŚ W SA? 3MAJ SIE. ODP!

Dawniej utrzymywaliśmy, że łączy nas tak świetne porozumienie, że możemy się komunikować za pomocą telepatii. Najwyraźniej jednak nasze fale mózgowie nie sprostały wymogom nowej technologii, bo Carl nie odbiera moich mentalnych SMS-ów, a jeśli w ogóle próbuje wysyłać do mnie podobne wiadomości, to one do mnie nie docierają, chociaż wyczekuję ich z utęsknieniem i w najwyższym skupieniu.

Ciągle wypytuję Carla o to, co robił podczas przerwy obiadowej w swojej Kingsmere Grammar, ale jest niezwykle małomówny. Jadł. Czytał.

— Oj, Carl, nie daj się prosić. Wszystko mi opowiedz — domagam się. — Dokładnie. Ze szczegółami.

— Naprawdę chcesz usłyszeć szczegółową relację z mojej wizyty w męskiej toalecie? W porządku, twoja wola.

11

— Przestań, jesteś naprawdę nieznośny! Przecież wiesz, o co mi chodzi. Z kim rozmawiasz? Co robisz? O czym myślisz?

— Może chciałabyś chodzić za mną z kamerą — krzywi się Carl. Sekundę później wyszczerza się w sztucznym uśmiechu i zaczyna imitować rozgorączkowanego reportera. — A oto i Carl Johnson, nieświadomy obiekt naszego zainteresowania. Przyjrzyjmy mu się. Oho! Co też on kombinuje? Podnosi palec! Czyżby nas zauważył? Zamierza zgłosić protest? Ależ nie, po prostu zaczyna dłubać w nosie! Obejrzyjmy to z bliska...

— Fuj!

— Proszę, proszę, przyjaciółka Carla, niejaka Sylvie, pozwoliła sobie na sugestywny komentarz! Skupmy się na moment na małej Sylvie.

Uśmiechnij się do kamery, kotku! — nalega Carl i podsuwa mi pod sam nos palce złożone w kwadrat kadru.

Pokazuję mu język.

— Świetnie, po prostu znakomicie, zuch dziewczyna, wytrzymaj jeszcze chwilę! Witamy państwa w naszym cieszącym się niesłabnącą popularnością programie „Chirurgia na żywo"! Sylvie West od dzieciństwa cierpi na syndrom ostrego języka, lecz doktor Carl Johnson, światowej sławy laryngolog, na państwa oczach położy kres jej problemom! Siostró, nożyczki proszę!

— Oto nożyczki — mówię i energicznie ciacham palcami. — Nasz kanał tematyczny „Historie z dreszczykiem" proponuje państwu opowieść o szalonej dziewczynie doprowadzonej do ostateczności zachowaniem jej najbliższego przyjaciela. Nieszczęśliwa decyduje się zadźgać go nożyczkami!

12

Wymierzam śmiertelny cios w klatkę piersiową Carla, a on wrzeszczy z bólu, traci równowagę i pada u mych stóp, udając śmierć w straszliwych męczarniach. Robi to tak przekonująco, że niemalże widzę kałużę krwi. Pochylam się nad nim. Carl leży całkiem bez ruchu, jego półotwarte oczy patrzą gdzieś w przestrzeń.

— Carl? Carl! — Szturcham go lekko w ramię.

Nie rusza się. Serce zaczyna mi bić szybciej. Ostrożnie pochylam się nad Carlem jeszcze niżej, aż moje długie włosy łaskoczą go w policzki. Ani drgnie. Nasłuchuję. Chyba nie oddycha.

— Carl, przestań, przestraszyłeś mnie! — wołam. Carl podrywa się do siadu tak gwałtownie, że aż zderzamy się głowami. Piszczę.

— Boisz się? I bardzo dobrze! Bo jesteśmy teraz na kanale horroru, a ja jestem duchem, który wrócił z zaświatów, żeby cię prześladować! Masz poważne powody, żeby się bać, Sylvie West — dołączysz do mnie już za chwilę!

Zaciska mi ręce na szyi, ale stawiam zdecydowany opór. Jestem drobna i chuda, lecz kiedy trzeba, potrafię walczyć jak tygrysica. Mocujemy się przez chwilę, aż Carl rozluźnia uścisk i zaczyna mnie łaskotać w szyję. Skręcam się ze śmiechu i w odwecie zaczynam łaskotać jego. Później przez dłuższy czas oboje leżymy na wznak, łapiemy oddech i cicho chichoczymy. Carl wyciąga rękę i obdarza mnie naszym specjalnym, przyjacielskim uściskiem dłoni, który wymyśliliśmy dawno temu, kiedy mieliśmy po siedem lat. Przytrzymuję przez chwilę jego rękę i wiem, że jesteśmy i zawsze

13

będziemy najlepszymi przyjaciółmi. A nawet więcej. Kiedy byliśmy jeszcze mali, z upodobaniem bawiliśmy się w śluby. Carl robił dla mnie pierścionki ze sreberka po cukierkach. Może któregoś dnia podaruje mi prawdziwy pierścionek.

Jak w ogóle mogłabym porównywać gadki-szmatki z Lucy do fantastycznej zabawy z Carlem?

Naprawdę nie ma żadnej dziewczyny, z którą mogłabym pogadać w przerwie obiadowej. Wprawdzie znam i lubię prawie wszystkie, ale nie chcę im narzucać swojego towarzystwa. Któregoś razu, kiedy siedziałam

w bibliotece, zjawiała się tam Miranda Holbein i pomachała do mnie. Tak mnie tym zaskoczyła, że obejrzałam się za siebie, przekonana, że ma na myśli kogoś innego. — Do ciebie macham, wariatko! — parsknęła Miranda.

Niezgrabnie skinęłam jej ręką w odpowiedzi, po czym prędko pozbierałam książki i uciekłam. Nie chciałam zadzierać z Mirandą Holbein. Rok szkolny trwał zaledwie od paru tygodni, a Miranda już zdobyła sobie renomę. Mogłaby zniszczyć każdego, kto by się jej nie spodobał.

A ja się nie podobam samej sobie. Jestem taka nie-wyrośnięta, aż trudno uwierzyć, że skończyłam już podstawówkę. Wyglądam na najmłodszą dziewczynę w mojej klasie. Przezywają mnie Pchełka. Nie, nikt mi specjalnie nie dokucza, jestem raczej uważana za klasową maskotkę — która jest milutka, ale trudno ją traktować całkiem poważnie.

Natomiast Miranda wzbudza powszechny podziw. Sprawia wrażenie znacznie starszej nie tylko ode mnie,

- s 14

ale od nas wszystkich. Nawet w szkolnym mundurku w kolorze butelkowej zieleni wygląda na co najmniej szesnaście lat. Miranda ma intensywnie purpurowe włosy, ewidentnie farbowane, co jest poważnym wykroczeniem przeciwko szkolnemu regulaminowi. Kiedy pani Michaels zwróciła jej uwagę, Miranda okłamała ją w żywe oczy, zarzekając się, że każdy kosmyk w odcieniu fuksji jest naturalny. Włosy nosi niezbyt długie, sięgają jej tuż za ostro zakończony podbródek, ale układa z nich bardzo efektowne fryzury. Często zaplata włosy w drobne warkoczyki, których końce ozdabia kolorowymi wstążeczkami i koralikami.

Gdy wychowawczynie zarzuciła jej nadmierną ekstrawagancję w doborze barw, następnego dnia Miranda pojawiła się w szkole z warkoczykami ozdobionymi zielonymi koralikami i wstążeczkami, pod kolor mundurka. Jej zachowanie zakrawało na jawną kpinę, ale pani Michaels pozwoliła, żeby uszło jej to na sucho!

Można by sądzić, że Miranda ma wrodzony talent do łamania wszelkich reguł. Każda dziewczyna z naszej szkoły chciałaby wyglądać tak jak ona, chociaż po prawdzie Miranda wcale nie jest szczególnie ładna, nie jest też nadzwyczajnie szczupła — i te trochę ob-fitsze kształty najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie, Miranda wydaje się bardzo zadowolona z siebie i często przybiera wyzywającą pozę z rękoma na biodrach, żeby popisywać się swoją figurą. Dziewczyny z jej klasy mówią, że w szatni Miranda nigdy nie zasłania się ręcznikiem. Ponoć po wzięciu prysznicą paraduje całkiem goła, nic sobie nie robiąc z tego, że się na nią gapią.

15

Miranda jest wyjątkowo bystra i mogłaby być pry-muską, gdyby tylko przykładała się do nauki — ale przeważnie się objija i zapomina o odrabianiu zadań domowych. Wie mnóstwo różnych ciekawych rzeczy i ponoć dyskutuje z nauczycielami o malarstwie, operze i architekturze, a jednak nikt nigdy nie nazwał jej kujonem. Co więcej, nikt jej też nie wyzywa od snobek, chociaż Miranda mówi nosowym, dźwięcznym głosem z eleganckim akcentem, który byłby bezlitośnie przedrzeźniany, gdyby chodziło o kogo innego. Pewnie pomaga tu i to, że Miranda nieprawdopodobnie klnie — nie zawsze poza zasięgiem słuchu nauczycieli. A ponadto opowiada niesłychane historie o tym, na co

pozwała swoim chłopakom. Prawie zawsze otacza ją wianuszek dziewczyn piszczących z przejęciem: „Nie?! No coś ty, Miranda!” Dzisiaj w przerwie obiadowej weszłam do damskiej toalety i zastałam tam właśnie gromadę dziewczyn wpatrujących się w Mirandę jak w obraz. Miranda, która przysiadła na krawędzi umywalki, od niechcienia kołysała stopami w butach z gigantyczną klamrą i zabójczym szpicem. Weszłam akurat w połowie jej bardzo obrazowego opisu intymnej sytuacji, w jakiej znalazła się ze swoim chłopakiem poprzedniego wieczoru. Aż przystanęłam, płonąć z zażenowania. Dziewczyny zaczęły chichotać i szturchać Mirandę, ale ona nie przerwała swojej opowieści.

— Miranda, przestań już! Zobacz, Pchełka przyszła.

— Hejka. — Miranda znowu do mnie pomachała. Miała obgryzione paznokcie, lecz to, co z nich zostało,

16

pomalowała starannie czarnym lakierem, a na wewnętrznej stronie nadgarstków wyrysowała sobie pisakiem stylizowane czarne róże. Po chwili wróciła do pikantnych szczegółów swojej wczorajszej randki.

— Miranda! Przestań, Pchełka zaraz się spali ze wstydu!

Miranda uśmiechnęła się z wyższością.

— Może już czas, żeby się dowiedziała, skąd się biorą dzieci — powiedziała. — Co ty na to, Pchełka? Mam cię uświadomić?

— Jestem wystarczająco świadoma, dzięki — odparłam.

Czułam, że powinnam jak najszybciej skorzystać z toalety, ale nie potrafiłam wejść do ubikacji ze świadomością, że one wszystkie będą się przysłuchiwać temu, co robię.

— Być może wiesz z grubsza, o co chodzi, ale wątpię, żebyś miała okazję

wykorzystać tę wiedzę w praktyce — stwierdziła Miranda.

— Hej, nie dokuczaj jej!

— Taka Pchelka nie zadawałaby się przecież z chłopakami — ciągnęła Miranda, przewracając oczyma.

— Zdziwiłabyś się — warknęłam dotknięta do żywego. — Skąd te wnioski? Przecież nic o mnie nie wiesz. Mam chłopaka.

Dziewczyny aż zamarły z wrażenia. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś się odważył odpyskować Mirandzie. Sama byłam zdumiona swoim zachowaniem.

Tymczasem Miranda wcale się nie obraziła.

— W po^pfcu^Sshcę się dowiedzieć więcej — oświadczyłam! — O^otira twoim chłopaku. Opowiadaj.

— Ma na imię Carl — powiedziałam.

— I? — zaczęła drażnić Miranda. — No dalej, opowiedz mi. Jak wygląda?

— Jest bardzo przystojny. To nie tylko moje zdanie, to opinia powszechna. Jest blondynem. Ma piękne, bardzo jasne, proste włosy, które spadają mu na czoło, jeśli przez dłuższy czas nie chodzi do fryzjera. Ma brązowe oczy i rewelacyjną cerę, żadnych pryszczycy. Nie jest zbyt wysoki, ale oczywiście jest znacznie wyższy ode mnie. Nie przykłada specjalnej wagi do ubrań, ale i tak zawsze wygląda świetnie i na luzie.

— No, no — mruknęła Miranda. Było jasne, że trochę mnie podpuszcza, ale mimo to wyglądała na szczerze zainteresowaną. — A jaki ma charakter? Wszyscy możliwie wyglądający chłopacy, których znam, są albo niesłychanie próżni, albo całkiem pogięci.

— Nic z tych rzeczy. Carl ma poczucie humoru, dar do wymyślania najróżniejszych historii i w ogóle świetne pomysły. Jest też bardzo

inteligentny, znacznie bardziej niż ja. Zna się prawie na wszystkim. Kiedy coś go naprawdę interesuje, potrafi o tym opowiadać bez końca, i to tak, że nie zanudza.

— A jak długo już znasz ten ideał? — zapytała Miranda. — A może raczej: czy naprawdę go znasz? Tyle czytasz, może po prostu wymyśliłaś tę historyjkę na poczekaniu?

— No właśnie, przecież taki chłopak w ogóle nie chciałby z nią chodzić!

— wtrąciła się Alison, nowa.

— Ona naprawdę go zna — poświadczyła Patty Price. — Chodziliśmy w trójkę do tej samej klasy.

18

— "Co znaczy, że on jest w naszym wieku — skrzywiła się Miranda. — To jeszcze smarkul! Ja tam się nigdy nie umawiam z rówieśnikami, są tacy głupi i niedojrzali.

— Carl wcale nie jest głupi — zaprotestowałam.

— Zgadza się, jest superzdolny — powiedziała Patty. — Chodzi teraz do Kingsmere Grammar, prawda, Pchełko? Dostał specjalne stypendium. Poza tym świetnie rysuje. W naszej poprzedniej szkole namalował wielki mural, to była scena wenecka przedstawiająca wyrób szkła, wyglądała, jakby była dziełem prawdziwego artysty.

— Interesujące — stwierdziła Miranda. — Chciałabym go poznać.

Słuchaj, Pchełko, przyprowadź go do mnie dziś wieczorem, co?

Zrobiłam na nią wielkie oczy. Żartowała chyba! Pozostałe dziewczyny wyglądały na równie zaskoczone.

— No jasne, już pędzimy! — odparłam.

— Mówię poważnie. Urządzam imprezę, będzie fajnie — powiedziała.

— A ja też mogę przyjść?

— I ja?

— To ja idę z wami!

— Chwileczkę, zaprosiłam Pchelkę, a nie was, dziewczuchy! To specjalne zaproszenie dla Sylvie i jej chłopaka Carla. — Miranda wysunęła stopę i lekko trąciła mnie spiczastym noskiem swojego buta. — Przyjdziesz, Sylvie?

W szkole nikt nigdy nie zwracał się do mnie po imieniu — z wyjątkiem nauczycieli. Byłam tak zaskoczona, że aż zabrakło mi słów.

19

Oczywiście powinnam była odmówić. Pomysł, że Carl i ja moglibyśmy się wybrać na imprezę do Mirandy, był po prostu groteskowy. Ale osobom takim jak Miranda nie można tak zwyczajnie powiedzieć: „Dzięki, ale nie”.

— Byłoby naprawdę miło... — wymamrotałam, przygotowując grunt pod jakąś wymówkę.

Lecz Miranda nie dała mi na nią szansy.

— To super — stwierdziła i zeskoczyła z umywalki. — Bądźcie koło ósmej. Mieszkam przy Lark Drive dziewięćdziesiąt cztery.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, zarzuciła swoją krótką spódniczką i już jej nie było. Inne dziewczyny pobiegły za nią, dalej zebrząc o zaproszenie.

Zostałam sama z walącym głośno sercem i niepewnością, co ja teraz do licha zrobię.

— Miranda Holbein zaprosiła mnie na domową imprezę dziś wieczorem — oznajmiłam Lucy, kiedy wróciłyśmy do klasy na popołudniowe lekcje.

— Coś takiego! — powiedziała Lucy i poczęstowała mnie odłamanym kawałkiem swojego wafelka KitKat. — Wiem, że nieładnie jest obgadywać innych, ale naprawdę nie cierpię tej Mirandy. Straszna z niej efekciara, bez przerwy się popisuje.

— Wiem. Ale zaprosiła mnie do siebie do domu. I Carla też.

— Przecież ona go w ogóle nie zna. Zresztą ciebie też nie zna, Pchełko.

— Wiem. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

— Duża będzie ta impreza? Myślisz, że mnie też zaprosi? — zapytała Lucy z nadzieją w głosie.

— Sądziłam, że jej nie cierpisz?

21

— Bo nie cierpię. W życiu bym nie poszła do niej na imprezę. To, co się tam wyprawia...!

— Co takiego?

— Taka jedna dziewczyna z drugiej klasy zna Mirandę. Jej kuzynka była latem na jednej z tych imprez i podobno... — ciąg dalszy Lucy opowiedziała mi na ucho.

— Bzdury! — zaoponowałam niepewnie. — Zmyślasz, Lucy. Nikt nie robi czegoś takiego publicznie, nie w realu!

— A skąd ty to możesz wiedzieć? Jesteś jeszcze taka niewinna — stwierdziła Lucy.

Miałam ochotę jej przyłożyć, mimo że się przyjaźnimy. Lekceważące traktowanie przez Mirandę i jej fanklub potrafię jeszcze znieść, ale lekceważenie ze strony Lucy to już naprawdę za wiele. Lucy nadal ma trzy ukochane pluszowe misie z Bear Factory, o imionach Billy, Bobby i Bernie, wciąż lubi oglądać na wideo swoje stare disneyowskie bajki, a

rodzice nazywają ją Laleczką.

— No cóż, jeśli wybiorę się na tę imprezę do Mirandy, dłużej niewinna już nie będę — powiedziałam.

— Chyba nie zamierzasz naprawdę tam pójść? — spytała Lucy.

— Jasne, że zamierzam — oświadczyłam, chociaż absolutnie nie miałam takiego zamiaru.

— I Carl też pójdzie?

— Jasna sprawa — powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego mój nos nie wybił jeszcze dziury w ścianie naprzeciwko, skoro tyle nakłamałam.

— A zawsze mówiłaś, że Carl jest taki nietowarzyski — wytknęła mi Lucy.

22

To było kłamstewko dla jej dobra. Kiedy zaprzyjaźniłam się z Lucy, koniecznie chciałam pokazać Carlowi, że udało mi się zawrzeć z kimś bliższą znajomość na przekór temu, że bez niego czułam się tak samotnie i nieswojo, jakby odebrano mi połowę mnie samej. Poza tym chciałam też pokazać Lucy, jak bliskimi przyjaciółmi jesteśmy nadal Carl i ja. Pewnie zamierzałam po prostu się popisać i popełniłam fatalny błąd, zapraszając ich oboje na podwieczorek którejś soboty. To była kompletna porażka. Lucy wystroiła się w jakąś idiotyczną sukienkę z falbankami i buty na obcasach, które były na nią wyraźnie za duże, najprawdopodobniej pożyczyła je od matki. Zrobiła też sobie mocny makijaż, ale zupełnie o nim zapomniała i co chwilę dotykała oczu, więc tusz i cienie całkiem jej się rozmazały i wyglądała jak panda. Wstydziła się zabierać głos przy Carlu, który bardzo ją onieśmielał, a za każdym razem, kiedy on się odezwał, choćby poprosił: „Czy mogłabyś mi podać ciastka?”, zaczynała

chichotać. Chichotała tak histerycznie, że o mało się nie posikała.

Modliłam się o rychłą śmierć.

Carl uciekł do domu natychmiast po tym, jak dopił swoją herbatę. Ledwie zdążył powiedzieć: „No to cześć”. Nie chciałam sprawić Lucy przykrości, więc zełgałam, że Carl przechodzi właśnie bardzo trudny okres, zrobił się nieśmiały i zamknięty w sobie i unika towarzystwa jak ognia.

Carl nie mógł uwierzyć, że zaprzyjaźniłam się akurat z Lucy. Przez dłuższy czas używał jej imienia na określenie wszystkiego, co uważał za szczególnie pretensjonalne, niemodne albo głupie. „Na miłość

23

boską, przełącz na jakiś inny program, ten jest Lucy nie do wytrzymania!”, albo: „Skąd wytrzasnęłaś tę spódnice, jest jakaś taka Lucy, nie sądzisz?”, albo: „Nie wyglądasz dobrze w tej szmince, Sylvie, nadaje ci lucyoidalny wygląd”.

To było nie w porządku. Szczerze mówiąc, wcale nie przepadałam za Lucy, ale przecież musiałam mieć w szkole kogoś, z kim mogłabym pogadać.

— Carl na imprezie w tłumie obcych ludzi? Jakoś tego nie widzę —
podsumowała Lucy.

— Pewnie masz rację — powiedziałam. Wracalam do domu z mętlikiem w głowie. Byłam

pewna, że tak naprawdę wcale nie wybieram się do Mirandy. M a r z y ł a m, że Carl odrzuci jej zaproszenie, a wtedy będę miała gotową wymówkę. Kiedy dotarłam do naszego bliźniaka, zamiast kamiennej ścieżki prowadzącej do mnie wybrałam ścieżkę prowadzącą do Johnsonów.

Zapukałam do ich drzwi frontowych. Otworzył mi Jake, brat Carla. Na

mój widok wydał pomruk rozczarowania i powlókł się z powrotem na górę, zostawiając dla mnie otwarte drzwi.

Jake ma szesnaście lat i chodzi do trzeciej klasy w tej samej szkole, co ja. Nie jest tak zdolny jak jego brat i nie dostał żadnego stypendium. Zresztą w niczym nie przypomina Carla. Ma ciemne, niechlujne włosy i prawie czarne oczy, tak że trudno dostrzec jego źrenice. Jeszcze niedawno był wyjątkowo niski jak na swój wiek, ale teraz zrobił się z niego chudy drągal o wzroście ponad metr osiemdziesiąt. Jake jest całkiem bystry, ale rzadko zawraca sobie głowę zadaniami domowymi. Poważnie przykłada się tylko do gry na gitarze.

24

Zaczęłam się zastanawiać, co Miranda pomyślałaby o Jake'u. Całkiem możliwe, że przypadłby jej do gustu. Do biustu? Tak, Jake pewnie by się nią zainteresował, chociaż jest dopiero pierwszoklasistką. Miałam przeczucie, że o Mirandzie usłyszała już cała szkoła.

— Miranda Holbein zaprosiła Carla i mnie na imprezę dziś wieczorem! — zawołałam za nim w górę schodów.

Jake zatrzymał się na najwyższym stopniu.

— To fajnie — powiedział, starając się ukryć, że ta wiadomość zrobiła na nim wrażenie. Przyjrzał mi się z góry. — Mówisz, że zaprosiła Carla? — Pokręcił głową. — Nic z tego, on nie pójdzie.

— Wiem — odparłam. — A gdzie on jest? U siebie, odrabia lekcje?

— Jak to żałosne małe kujonki — stwierdził Jake i popchnął drzwi do pokoju Carla. — Pudło, jednak nie. Ale jego rower stoi w ogrodzie, więc musi gdzieś tu być.

— W porządku, sama go znajdę — powiedziałam.

Przepelniała mnie satysfakcja. Jake od lat nie zamienił ze mną więcej niż dwóch słów naraz. Jedna wzmianka o Mirandzie Holbein i oto staje się atrakcyjna towarzysko przez samo skojarzenie.

Ruszyłam na poszukiwania Carla. Zaczęłam od salonu, który jest lustrzanym odbiciem naszego, ale salon Johnsonów podoba mi się znacznie bardziej. Zachwyca mnie stojąca w nim pąsowa pluszowa kanapa, kolorowe wyszywane narzuty i mięsiste poduchy, a także olbrzymie czerwone, niebieskie i fioletowe obrazy na ścianach.

25

Mama Carla jest artystką amatorką, swój dom traktuje trochę jak własną galerię. Zawsze też pielęgnowała zdolności plastyczne swoich synów, zachęcając ich do smarowania kredkami po ścianach w kuchni, kiedy byli jeszcze mali. Widnieje tam także kilka moich bohomazów. Na jednej ścianie narysowałam gigantyczną scenę weselną, w rolach głównych ze mną w białej sukni o fasonie bezy i Carlem w białym garniturze — wyglądamy jak reklama proszku do prania. Oprócz nas uwieczniłam kolorowy tłum weselnych gości: moich rodziców, Jake'a, a także mnóstwo znajomych ze szkoły, naszą kotkę Pusię i moją królicę Kłapouchą Lily (obie odeszły dawno temu), jak również Dzikusa, psa Jake'a (który był tak dziki, że któregoś razu uciekł i więcej nie wrócił). Ozdobą odświętnego stroju każdego weselnika był dorodny różowy goździk, nie darowałam nawet kotce i psu, a królicę przyozdobiłam aż dwoma — po jednym goździku za każdym uchem.

Jules, mama Carla, akurat płukała sałatę w kuchennym zlewie.

— Witaj, kochanie — powiedziała, gdy weszłam do kuchni.

— Cześć, Jules — odpowiedziałam.

Jules nie pozwala mi zwracać się do siebie „ciociu Julio”, a już w żadnym wypadku „pani Johnson”. Wszyscy nazywają ją Jules, nawet dzieci z przedszkola, w którym pracuje na pół etatu. Wygląda na to, że dzisiaj w przedszkolu zajmowali się malowaniem palcami — czerwone i żółte ślady małych paluszków popstrzyły całe jej obszerne, kwieciste spodnie.

26

— Carl siedzi chyba w swojej altanie — powiedziała.

— Świetnie, dziękuję.

— Sylvie? — zaczęła, ale urwała i otrząsnęła sałatę z wody. — Czy z Carlem wszystko w porządku?

— W jakim sensie?

— Nie wiem. — Z jednego liścia zdjęła małą gąsienicę i aż się wzdrygnęła. — Faj! W każdym. Jest ostatnio jakiś taki... cichy. Chyba się nie pokłóciliście?

— My się nigdy nie kłócimy — odparłam. Owszem, kłócimy się, ale ja mu bardzo szybko ustępuję, bo nienawidzę, kiedy Carl się na mnie gniewa.

— W takim razie to pewnie coś w szkole — uznała Jules. — Cały czas się zastanawiam, czy to był dobry pomysł, żeby go wyrwać z jego dotychczasowego otoczenia i posłać do Kingsmere.

— Oczywiście, że nie! — zawołałam.

— Moje biedactwo. Domyślam się, jakie to dla ciebie trudne — jakie to trudne dla was obojga. Ale sama wiesz, jakim bystrzakiem jest Carl, a wielu absolwentów Kingsmere Grammar dostaje się później na studia do Oksfordu albo do Cambridge. Carl dobrze sobie radzi z nauką, to na pewno, chociaż ma sporo zaległości do nadrobienia. Może po prostu jest przemęczony? Sama nie wiem. W domu snuje się milcząco z kąta w kąt,

jakby cały czas miał czymś zaprzątniętą głowę.

— Zawsze bywał trochę rozkojarzony — powiedziałam niepewnie.

Pochlebiło mi, że Jules wypytuje mnie o Carla, tak jakbym miała dostęp do wszystkich jego tajemnic, ale wiedziałam też, jak bardzo byłby niezadowolony, że rozmawiałam o nim z jego mamą.

27

— Nadal pracujecie nad tą swoją książką? — spytała Jules.

— Jasne — odparłam, chociaż od września, kiedy zaczęliśmy chodzić do innych szkół, nie wymyśliliśmy nic nowego. Próbowałam pisać dalej w pojedynkę, ale bez Carla to już nie było to samo. Zapisałam raptem dwie strony, po czym uznałam, że pomysł jest tak sentymentalny i głupi, że po prostu je wyrwałam.

— A kiedy będziemy mogli ją przeczytać? — zapytała Jules.

— Kiedy? Rany, nieprędko! Jest dosyć osobista — odparłam.

Jules niespodziewanie wrzasnęła, natknąwszy się na kolejną, tym razem gigantyczną gaśienicę. Wrzuciła sałatę z powrotem do zlewu i puściła na nią strumień zimnej wody.

— Wiem, że należy kupować warzywa z ekologicznych upraw, ale, Boże, jak ja nie cierpię tych paskudztw!

— Carl też ich nie znosi. Brzydzi się wszystkich robali.

W Szklanej Altanie to ja muszę być głównym łapaczem pajaków. Carl zamierza zostać buddystą i nie zabijać żadnych stworzeń, ale zagładę w świecie owadów powitałby z dużą ulgą.

— Wiem coś o tym — uśmiechnęła się Jules. — Ostatnim razem, kiedy podałam sałatę, Carl znalazł na swoim talerzu jakiegoś robaczka i wrzasnął, z czystego zaskoczenia, jak sędzę, ale Jake i Mick byli

bezlitośni. Biedakowi nieźle się dostało — wyzywali go od mięczaków przez cały tydzień.

Mick to mąż Jules. Jest dużym, barczystym mężczyzną z wyraźnie zarysowanym mięśniem piwnym.

28

W spranych T-shirtach i dżinsach wypchanych na kolanach wygląda jak zwykły robotnik, ale jest wykładowcą politologii na uniwersytecie. Odnosi się do mnie zawsze bardzo miło, chociaż czasem się ze mną droczy.

Nazywa mnie Skrytą Sylvie, bo rzadko się odzywam w jego obecności, a kiedy jestem uczesana w dwa warkocze, nie potrafi przejść obok, żeby mnie za jeden nie pociągnąć i nie zawołać: „dzyń, dzyń!”

Carl powiedział kiedyś, że czasami nie może znieść swojego ojca.

Odparłam, że ma szczęście, że w ogóle go jeszcze ma. To zamknęło dyskusję.

Mój tata bynajmniej nie umarł, po prostu wyprowadzi! się od nas dwa lata temu. Przez pierwszych kilka miesięcy widywałam go co weekend, ale potem jego przyjaciółka urodziła mu dziecko i przestał zawracać sobie mną głowę.

Carl i ja mieliśmy masę uciechy, kiedy na potrzeby Szklanii wymyśliliśmy dwóch walecznych królów — wiecznie skorego do żartów dowcipnisia i wiarołomnego donžuana. Zakuci w ciężkie zbroje i oblani potem pod przyłbicami, toczyli zawzięty bój do wtóru ostrej heavymetalowej muzyki, okładając się zapamiętałe ostrymi srebrnymi mieczami. Walczyli przez cały dzień i pół nocy, nie zdoławszy zadać przeciwnikowi nawet najmniejszej rany, aż w ciągu jednej minuty obaj zmarli z wyczerpania i wściekłości.

Jules nieufnie trzepnęła główką sałaty o przeciwległe ścianki zlewu.

— Dam ja wam, ohydne robale! Sylvie, myślisz, że ktoś dokucza Carlowi w szkole?

29

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

— Skąd, wszyscy go podziwiają! — powiedziałam. — U nas każdy tylko marzył o tym, żeby się z nim zaprzyjaźnić.

— Tak, wiem, w podstawówce Carl rzeczywiście był gwiazdą. Ale może teraz jest inaczej? Wszyscy ci chłopcy... Carl mówi, że znalazł sobie nowych przyjaciół, ale jakoś nigdy o nich nie opowiada. Próbowałam go podpytać — nic z tego, kategorycznie ucina rozmowę. Wiesz, o co mi chodzi: „Wszystko w porządku, mamó, daj mi już spokój”.

— Wiem — odparłam. Bo rozmowy ze mną też tak ucina.

— Całe szczęście, że ma ciebie, Sylvie. Chociaż przyznaję, chciałabym, żeby miał więcej przyjaciół. Wiecznie siedzi zamknięty w swoim pokoju albo w altance. Wolałabym, żeby częściej wychodził między ludzi.

— To się dobrze składa, bo akurat przyszłam go zaprosić na imprezę — powiedziałam.

— Naprawdę? To fantastycznie! — Jules tak się ucieszyła, że aż podrzuciła ociekającą wodą sałatę, robiąc sobie prysznic od góry do dołu.

— Chociaż nie wiem, czy Carl w ogóle da się namówić — stwierdziłam.

— Nie wiem nawet, czy sama się wybiorę. Zaprosiła nas jedna koleżanka z mojej szkoły, bardzo dorosła i wyzywająca... Kto wie, co się będzie działo na tej jej imprezie.

Liczyłam na to, że Jules wejdzie w rolę surowej matki i zabroni nam wychodzić z domu, ale ona nie zmieniła entuzjastycznego nastawienia.

— Rozsądne z was dzieciaki, na pewno nie zrobicie nic głupiego. A skoro koleżanka zaprosiła was do domu, jej rodzice pewnie będą mieli na wszystko oko.

Miranda wydawała mi się istotą z tak innego świata, że wcześniej nawet nie pomyślałam, że mogłaby mieć rodziców.

— Nie ma się co przedwcześnie cieszyć — studziłam zapal Jules. — Jak wiadomo, Carl raczej nie jest typem imprezowicza.

— To idź i gcużapytaj!

— To idę.

Kuchennymi drzwiami wyszłam do ogrodu na tyłach domu Johnsonów.

Jest identyczny jak nasz, lecz Jules z właściwą sobie wyobraźnią zasadziła w nim najrozmaitsze krzewy i wielobarwne rośliny ozdobne, ustawiła tam też dziwne posągi, pomalowane na różne kolory. Kiedy przechodziłam przez ogród, zmierzając na jego drugi koniec, w stronę żywopłotu z cisów, za którym stała Szklana Altana, z gałęzi każdego drzewa dobiegał mnie dźwięk poruszanych wiatrem dzwoneczków.

Na pierwszy rzut oka Szklana Altana wygląda jak zwykła, dość obszerna szopa na narzędzia. Zbudowano ją z oheblowanych jasnych desek, ma drzwi zamykane na zasuwkę i dwa nieduże okna. W każde z nich wprawiono okrągły witraż, przedstawiający złotoskrzydłe anioły w białych szatach, sunące po rubinowej posadzce. Pogłaskałam je delikatnie, przesuwając palcem po czarnych spojeniach z ołowiu, co było naszym małym rytuałem, odkąd w zeszłym roku Carl kupił te witraże za pieniądze, które dostał na Boże Narodzenie.

Zapukałam do drzwi w nasz umówiony sposób — wystukując słowo

„szkło” alfabetem Morse’a. Carl powinien był zaraz odpowiedzieć tak samo. Czekałam. W Szklanej Altanie panowała cisza.

— Carl?! — zawołałam.

Usłyszałam ciężkie westchnienie.

32

— Carl? Jesteś tam?

— Nie teraz, Sylvie. Nie gniewaj się. Odrabiam lekcje.

— Muszę z tobą porozmawiać — odparłam, otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Wcale nie odrabiał lekcji. Nie wyciągnął nawet książek ze swojej szkolnej torby. Leżał na wznak z rękoma pod głową na starej pluszowej kanapie i gapił się na żyrandol.

Był to oryginalny wiktoriański żyrandol, nieduży, z dwunastoma kryształowymi wisiorkami, niestety, trzy z nich były ukruszone, a sam żyrandol nie działał. Mick nie zgodził się poprowadzić w altanie przewodów elektrycznych tak, żeby można było żyrandol podłączyć, więc jedynym źródłem sztucznego oświetlenia była goła żarówka, wystająca prosto ze ściany. Carl pomalował ją w kolorowe esy-floresy, żeby wyglądała trochę bardziej dekoracyjnie.

Dwie ze ścian były zastawione regałami o pięciu półkach, początkowo przeznaczonych do przechowywania doniczek i skrzynek do wysiewania nasion. Carl przechowywał tam jednak swoją szklaną kolekcję, ustawioną w równych rzędkach według kolorów: na najwyższej półce połyskiwały miniaturowe kryształowe figurki zwierząt, poniżej kieliszki, pod nimi stały wazony, jeszcze niżej — popielniczki i przyciski do papieru, a najniższą półkę zajmowały najcenniejsze okazy. Na samym środku specjalnej półki

stał Szklany Chłopiec, cichy, zamyślony, z puklami gęstych, szklanych włosów szczesnymi na czoło. Był nagi, ale nie wydawał się tym w najmniejszym stopniu zawstydzony. Stał wpatrzony

33

w dal, ze swobodnie opuszczonymi rękoma, na mocnych nogach. Może się czemuś przyglądał, może na kogoś czekał.

Cioteczna babka Carla nazywała go Kupidynem, ale Szklany Chłopiec nie był małym chłopcem, nie miał też skrzydeł, łuku ani strzały. Gdy Carl jako pięciolatek odwiedził z rodzicami ciotkę Esther, zapalał do niego miłością od pierwszego wejrzenia. Ciotka Esther natomiast od razu zakochała się w swoim nad wiek poważnym, cherubinkowatym ciotecznym wnuku, tak różnym od impulsywnego brata. Na zakończenie wizyty obdarowała Carla swoim Kupidynem.

Rodzice Carla uznali to za dość dziwaczny gest. Nawet Jules była przekonana, że Carl w ferworze zabawy rozbije Szklanego Chłopca w drobny mak. Tymczasem Carl ustawił go na półce i traktował jak skarb. Na swoje szóste urodziny poprosił rodziców o kryształową figurkę jakiegoś zwierzęcia. Kiedy trochę podrośł, zaczął szukać kryształowych wazonów, popielniczek i innych bibelotów na pchlich targach i letnich jarmarkach. Kolekcja przestała się mieścić w jego niewielkim pokoju, więc któregoś lata zaczął po kryjomu przystosowywać na jej potrzeby ogrodową , szopę.

Pomagałam mu w tym dzielnie, brałam też udział we wszystkich jego wyprawach po nowe szklane okazy, chociaż sama nie do końca potrafiłam się zaangażować. Podobają mi się kryształowe wisiorki, w których zapalają się tęczne błyski, ale nie mogę pojąć, co też Carl widzi w tych

wszystkich szklanych durnostojkach. Tak czy inaczej, cieszyłam się bardzo, że dopuścił mnie i

34

do swojego szklanego świata. Szkło z Murano nie ma przede mną tajemnic i zaplanowałam, że pewnego dnia pojedziemy je zobaczyć do Wenecji — może na nasz miesiąc miodowy?

Wszędzie szukałam Szklanej Dziewczyny, tak żeby Szklany Chłopiec miał parę, ale jak dotąd mi się to nie udało. Wobec tego wymyśliłam Kroniki Szklanii. Na samym początku była to baśń o chłopcu i dziewczynie, którzy zostali wygnani do krainy o tak surowym klimacie, że zamarзли i zmienili się w szkło. Tę opowieść razem z Carlem rozwinęliśmy do rozmiarów sagi, osadzonej w realiach szklanego świata, który zamieszkały setki postaci. Szklany Chłopiec i Szklana Dziewczyna zostali królem i królową Szklanii i zyskali rodzinę, przyjaciół oraz śmiertelnych wrogów. Mieli też całą armię służących, wiernych i zdradzieckich, a także prawdziwą menażerię egzotycznych zwierząt, w której znalazły się pingwiny, niedźwiedzie polarne, para włochatych mamutów, a także stado białych jednorożców o szklanych rogach i kopytach.

Wszystko to było dla mnie tak realne, że przeżywając baśniowe przygody, miałam dreszcze w dusznej altance. Ale ostatnio ciągle męczył mnie niepokój, czy Carl potraktuje naszą zabawę poważnie. Ilekroć się ze mnie naśmiewał, niemalże czułam, jak gęsty jad wsącza mi się do żołądka i zatrzuwa mnie kawałek po kawałku.

— Nie dzisiaj, Sylvie, nie mam humoru — powiedział Carl.

Leżał z zamkniętymi oczami, bez ruchu, wyprostowany jak marmurowy posąg na płycie grobowca. Popatrzyłam na jego piękną twarz, długie rzęsy,

wąski nos,

35

delikatne usta. Przez głowę przemknęło mi pytanie, co by się stało, gdybym przekształciła motyw ze znanej baśni i obudziła Carla pocałunkiem. Zachichotałam nerwowo. Carl otworzył jedno oko.

— No co? — odezwał się. — Zmykaj stąd, leć się pobawić, dziewczyneczko.

— Daruj sobie tę dziewczyneczkę, jestem tylko dwa miesiące młodsza od ciebie. I nie zamierzam się w nic bawić. Przyszłam, żeby przekazać ci zaproszenie na imprezę.

— Tylko nie to! — jęknął Carl i z powrotem zamknął oko. — Miej litość, nie zmuszaj mnie, żebym poszedł na imprezę do Lucy.

— Nie chodzi o Lucy. Impreza jest u Mirandy Holbein.

— U kogo? — zdziwił się Carl. — Jakiej znów Mirandy? Nie znam żadnej.

— Ja też nie, w każdym razie niezbyt dobrze, ale słyszeli o niej wszyscy. Powiedziałam Jake'owi, że zaprosiła nas na imprezę — szkoda, że nie widziałeś jego miny! Jestem pewna, że kiedyś już ci o niej opowiadałam. Ona jest po prostu wyjątkowa. Każda dziewczyna chciałaby być taka jak ona, ale żadna nie ma tyle tupetu. Nie mam zielonego pojęcia, czemu nas zaprosiła.

Carl nadal leżał nieruchomo jak pomnik, z tym, że teraz miał otwarte oczy.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego ciągle powtarzasz „nas” — powiedział.

— Tak się złożyło, że napomknęłam dziś o tobie w naszej toalecie.

Miranda i spółka były przekonane, że zmyślam, ale Patty Price włączyła się do rozmowy i dorzuciła kilka informacji.

36

— Chcesz powiedzieć, że jestem głównym tematem rozmów w dziewczynskiej toalecie? — zapytał Carl.

Przestraszyłam się, że zaraz się obrazi. Poczułam ogromną ulgę, kiedy zaczął chichotać.

— Co za scena: oto młode, dobrze ułożone panienki z Milstead High School, każda zamknięta w swojej kabinie, siedzą na swoich tronach i szczebioczą do siebie jak stadko wróbli: Carl, Carl, Carl, Carl, Carl, Carl!

"

Wybuchnęłam śmiechem i przysiadłam na krawędzi jego kanapy, w nogach.

— Posuń się kawałek. No dobrze, Misterze Miesiąca z Milstead, co mam odpowiedzieć Mirandzie?

— A kiedy jest ta jej impreza?

— Już dziś wieczorem. Zdecydowała o tym ot tak. — Pstryknęłam palcami. — Wyobraź sobie, że ni z gruszki, ni z pietruszki idziemy do naszych mam i mówimy: „Cześć, dziś wieczorem urządzam imprezę. Zorganizuj jakieś jedzenie i picie, pomyśl o jakiejś muzyce i wybierz się do kina albo coś”. Czy na młodzieżowych imprezach z prawdziwego zdarzenia w ogóle się je? Myślisz, że Miranda poda prawdziwy alkohol: wino, piwo, wódkę i tak dalej?

— Przekonamy się — stwierdził Carl i usiadł. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

— Chyba nie chcesz naprawdę tam pójść? Zaprosiła nas tak znieńcka, że bez problemu możemy odmówić.

— Dlaczego mielibyśmy odmawiać, skoro to taka niesamowita dziewczyna?

-Bo... Bo będę się tam czuła nieswojo i głupio.

37

— Przecież będę z tobą.

— A poza tym zupełnie nie mam się w co ubrać. Po szkole wszyscy przebierają się w superciuchy. Taka Miranda wygląda na co najmniej osiemnaście lat. A ja? Co ja bym dała, żeby wyglądać trochę bardziej dorośle! — W geście rozpaczy pociągnęłam się za warkocze. — Spójrz tylko na moje uczesanie. Tragedia!

— Możesz rozpuścić włosy, z rozpuszczonymi wyglądasz świetnie — skomplementował mnie Carl.

— Mogłabym włożyć czarną spódnicę i podwinąć ją u góry, byłaby dużo krótsza. Sądzisz, że wtedy wyglądałabym... seksownie?

— W spódnicy pofałdowanej na brzuchu? Raczej nie. Sylvie, chyba nie chcesz przedobrzyć, co? Po prostu włóż dzinsy i jakiś T-shirt, będzie OK.

— Carl pokrzepiająco ucisnął moją rękę. Przytrzymałam jego dłoń.

— Ale nie robisz sobie ze mnie żartów, Carl? Naprawdę idziemy?

— Naprawdę. Bo i czemu nie? Wszyscy nam powtarzają, że mamy dorosnąć, znaleźć sobie znajomych i chodzić na imprezy jak inne nastolatki, więc może chociaż spróbujmy. Nic się nie martw, jeśli będzie strasznie nudno albo impreza wymknie się spod kontroli, wypijemy tylko po drinku i wrócimy do domu.

— Carl... Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale właściwie powiedziałam Mirandzie, że jesteś moim chłopakiem.

— Ale to się chyba zgadza, prawda? — odparł Carl. Jasne włosy opadały mu na czoło i wygląda! zupełnie jak Szklany Chłopiec ustawiony na najniższej półce.

Uśmiechał się do mnie, jego brązowe oczy lśniły. Kryształowe wisiorki połyskiwały w świetle późnego popołudnia i rzucały tęcze refleksy na ściany altanki. Oślepiało mnie szczęście.

Pobiegłam do domu, żeby przymierzyć wszystkie moje ciuchy po kolei i poeksperymentować z włosami przed imprezą. Na schodach spotkałam pannę Miles, która jest naszą sublokatorką. Panna Miles jest bardzo stonowaną starszą panią. Ubiera się także ton w ton, na beżowo: ma kilka beżowych kompletów z dzianiny, beżowe rozpinane swetry, a także grube beżowe pończochy, które ustawicznie opadają i tworzą obwarzanki wokół jej kostek. Włosy farbuje na beżowy blond, a pełną zmarszczek twarz pokrywa podkładem w odcieniu beżu. Raz w tygodniu na suszarce w łazience ociekają z wody jej beżowy stanik i obszerne beżowe majty, co jest dowodem na to, że panna Miles jest w całości monochromatyczna.

— Sylvie, jesteś dziś wesolutka jak szczygiełek! — zauważyła.

— Wybieram się na imprezę — powiedziałam.

— Jakże miło! Mam nadzieję, że pyszności będzie pod dostatkiem i objesz się tortem urodzinowym, galaretką i lodami.

— Taaak — odparłam, wyminęłam ją i pomknęłam do siebie na górę.

Panna Miles najwyraźniej nadal uważa mnie za sześciolatkę.

— A w jakim kolorze jest twoja wizytowa sukienka? — zawołała za mną panna Miles.

— Nie mam żadnej! — odkrzyknęłam jej i wpadłam do mojego pokoju.

Kiedy jeszcze mieszkał z nami tata, mama spała w obecnym pokoju panny Miles. Teraz przeniosła się do najmniejszej sypialni, a ja zajmuję dawną

garderobę, która jest niewiele większa od szafy wnękowej. Mam własne lustro, ale jeśli chcę się w nim cała przejrzeć, muszę wejść na łóżko. Nie spodobałam się sobie w żadnym z moich ubrań. Kiedy mama wróciła z pracy, mój szal przymierzania ciągle trwał.

— Co robisz, Sylvie? — spytała, zaglądając do mnie przez drzwi. — Hej, chyba nie wybierasz się nigdzie w takim stroju. Ta spódnica jest stanowczo za krótka!

— Wiem. I wybrzusza się w talii, Carl miał rację. Wcale nie wyglądam seksownie, wyglądam w niej jak idiotka — stwierdziłam i w rozpaczy zdarłam ją z siebie.

— Nawet nie chcę, żebyś wyglądała seksownie -powiedziała mama.

— Carl mówi, że mam po prostu włożyć dzinsy, ale w dzinsach nie chodzi się na imprezy. No, chyba że w markowych.

— Nie zaczynaj znowu. To pierwsza jakość solidnej marki Tesco, czego więcej mogłabyś chcieć dziewczyna w twoim wieku? I co to w ogóle za impreza? Nic mi o niej nie mówiłaś.

— Bo dopiero dziś dostałam zaproszenie. Impreza też jest dzisiaj, u Mirandy. To dziewczyna z mojej szkoły, chodzi do równoległej klasy.

— Z jakiej okazji zaprosiła was do siebie? I jak wrócisz do domu? Sylvie, jestem wykończona, nie mam najmniejszej ochoty siedzieć do późna i odbierać cię

40

od koleżanki w środku nocy. Zamierzam wziąć kąpiel i położyć się do łóżka zaraz po kolacji.

— Idę tam z Carlem, więc nie ma problemu, odbierze nas jego mama albo tata — powiedziałam.

— Carl też idzie? To co to za impreza? Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

— Przecież ci tłumaczę, że wcześniej o niej nie wiedziałam! Mamo, nie komplikuj. Sama mówiłaś, że powinnam wreszcie wydorosnąć, tak czy nie? Miranda i jej znajomi zachowują się bardzo dorośle.

— I tego się właśnie boję. Same skrajności. Rodzice Mirandy będą w tym czasie w domu, prawda?

— Oczywiście, że tak.

— I nie będziecie pić żadnego alkoholu?

— Ale skąd! — odparłam z przekonaniem. — Mamo, nic mi nie będzie. Zresztą idzie ze mną Carl. Proszę, pozwól mi iść! Jeśli nie pójdę, Miranda drugi raz już mnie nie zaprosi.

— A gdzie ona mieszka?

— Przy Lark Drive.

Mama uniosła brwi ze zdziwienia.

— W takim razie musi być bardzo zamożna — stwierdziła. — Domy w tamtej okolicy kosztują fortunę. Może jednak nie powinnaś iść w dżinsach.

— A niby w czym mam iść? — spytałam, stojąc przed nią w samych majtkach i staniku. Tak naprawdę stanik nie jest mi jeszcze potrzebny, ale nie chciałam być jedyną dziewczyną w klasie, która go nie nosi.

— Bóg jeden wie — westchnęła mama. — W sukni wieczorowej i diademie? — zachichotała.

I — Bardzo śmieszne!

41

Owszem, miałam odświętną sukienkę, ohydny aksamitny wór bez

rękawów, ale była już stara, a na dodatek wyglądałam w niej na góra pięć lat.

Ostatecznie poszłam za radą Carla i ubrałam się w dzinsy i czarny sweter z dekoltem w szpic, który pożyczyłam od mamy. Sweter był z cienkiej wełny i okropnie drapał, nie miałam też złudzeń, że będzie mi w nim za gorąco, ale i tak mógł uchodzić za bardziej wyrafinowany niż wszystkie moje T-shirty. Ukradkiem wypchałam stanik papierowymi chusteczkami, aby nadać sobie trochę pełniejszych kształtów.

Rozpuściłam i rozczesałam włosy, ale wciąż wyglądałam żałośnie smarkato. Za pomocą kolorowych koralików i nitki próbowałam więc skopiować wystudiowane uczesanie Mirandy — nie wiem, czy z lepszym skutkiem.

— Takie są najnowsze trendy w czesaniu długich włosów? — spytała z powątpiewaniem mama. — Może upnę ci jednak jakiś kok?

— Dzięki, ale nie — powiedziałam. — Miranda czesze się właśnie tak. Mniej więcej.

— Nagle w kółko tylko ta Miranda i Miranda — skrzywiła się mama. — Proszę, zapisz mi jej dokładny adres. Boże, sama nie wiem, czy powinnam cię puścić, nawet nie znam jej rodziców. Może lepiej zadzwonię do matki Mirandy i wypytam o szczegóły tej imprezy?

— Nie!!! Umarłabym chyba ze wstydu! Już i tak wszyscy uważają, że jestem wyjątkowo dziecinna. Nabijają się ze mnie i przezywają mnie Pchełką.

— To rzeczywiście niezbyt miło z ich strony — przyznała mama. — Bardzo ci dokuczają?

— Trochę. Ale to nic takiego, można się przyzwycząić.

Mama westchnęła.

— Sama nie wiem. Kiedy chodziłaś do zerówki, było idealnie, wszystkie matki się znały, wszyscy byli tacy sympatyczni. W podstawówce było już trochę gorzej, ale jeszcze całkiem dobrze, natomiast teraz ta szkoła średnia... Jest taka duża i przygnębiająca, nie ma tej dawnej atmosfery, nie jestem z niej do końca zadowolona. Chociaż Carl chodzi do elitarniej szkoły, a Jules i tak podejrzewa, że nie czuje się tam najlepiej. Sądzi, że koledzy mu dokuczają.

— Wiem, mówiła mi. Ale Carl daje sobie radę, mamó. Oboje dajemy sobie radę.

Niespodziewanie mama mocno mnie przytuliła.

— Wiem, wiem — powiedziała i pocałowała mnie w czubek głowy.

— Uważaj na moje włosy!

— Już dobrze, przepraszam. Och, Sylvie, aż trudno mi uwierzyć, że wybierasz się na prawdziwą imprezę. Będziesz się zachowywać rozsądnie, prawda?

— Tak, mamó.

— Tak, przecież wiem, że tak. Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu gadam głupoty. — Potarła ręką czoło, jak zawsze, kiedy jest bardzo zmęczona.

— Przyjedzie po nas Jules albo Mick, tak jak mówiłam, więc możesz spokojnie położyć się wcześniej do łóżka — powiedziałam.

— Jasne, i na pewno bez problemu uda mi się zasnąć, zanim wrócisz! — odparła.

Wychodząc z domu, czułam się naprawdę dziwnie. Mama jadła akurat kolację przed telewizorem. Oglądała serial Coronation Street.

— Baw się dobrze, kochanie — powiedziała. Popatrzyła na swoją porcję spaghetti prosto z mikrofalówki, potem na telewizor i pokręciła głową. —

Wygląda na to, że niepostrzeżenie zmieniłam się w żalostną starą babę — stwierdziła. I dodała ciszej: — Jak się nie będę pilnować, wkrótce zmienię się w pannę Miles! Co ja bym dała za zaproszenie na fajną imprezę!

— Oj, mamó. — Nagle zrobiło mi się strasznie przykro z jej powodu.

— Niepotrzebnie to powiedziałam, idiotycznie się nad sobą użalam i tyle. No już, zmykaj. Wyglądasz ślicznie, kochanie. Udanej zabawy.

Jules podrzuciła nas na Lark Drive. Była tak rozentuzjasmowana, że przez cały czas trajkotała.

— Nie ekscytuj się tak, mamó — Carl studził jej entuzjazm. —

Zachowujesz się, jakbyśmy zostali zaproszeni na przyjęcie do Peaches Geldof! A to tylko zwykła domówka na przedmieściu. Więcej luzu!

Carl w białym T-shircie i niebieskich dzinsach z pewnością wyglądał na w pełni wyluzowanego, nawet bagatelizującego sprawę, a jednak kiwał nogą, co robi zawsze wtedy, kiedy jest spięty. Poczułam do niego nagły przypływ miłości, bo przecież to dla mnie dał się namówić na wizytę u Mirandy. Wyciągnęłam rękę i z wdzięcznością uścisnęłam jego dłoń.

Oboje mieliśmy ręce lepkie od potu.

Podenerwowanie udzieliło się nawet Jules, kiedy skręciła w Lark Drive.

Ulicę jasno oświetlały eleganckie latarnie, stylizowane na wiktoriańskie.

Wszystkie

45

od koleżanki w środku nocy. Zamierzam wziąć kąpiel i położyć się do

łóżka zaraz po kolacji.

— Idę tam z Carlem, więc nie ma problemu, odbierze nas jego mama albo tata — powiedziałam.

— Carl też idzie? To co to za impreza? Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

— Przecież ci tłumaczę, że wcześniej o niej n i e wiedziałam! Mamo, nie komplikuj. Sama mówiłaś, że powinnam wreszcie wydorosnąć, tak czy nie? Miranda i jej znajomi zachowują się bardzo dorośle.

— I tego się właśnie boję. Same skrajności. Rodzice Mirandy będą w tym czasie w domu, prawda?

— Oczywiście, że tak.

— I nie będziecie pić żadnego alkoholu?

— Ale skąd! — odparłam z przekonaniem. — Mamo, nic mi nie będzie. Zresztą idzie ze mną Carl. Proszę, pozwól mi iść! Jeśli nie pójdę, Miranda drugi raz już mnie nie zaprosi.

— A gdzie ona mieszka?

— Przy Lark Drive.

Mama uniosła brwi ze zdziwienia.

— W takim razie musi być bardzo zamożna — stwierdziła. — Domy w tamtej okolicy kosztują fortunę. Może jednak nie powinnaś iść w dzinsach.

— A niby w czym mam iść? — spytałam, stojąc przed nią w samych majtkach i staniku. Tak naprawdę stanik nie jest mi jeszcze potrzebny, ale nie chciałam być jedyną dziewczyną w klasie, która go nie nosi.

— Bóg jeden wie — westchnęła mama. — W sukni wieczorowej i diademie? — zachichotała.

— Bardzo śmieszne!

Owszem, miałam odświętną sukienkę, ohydny aksamitny wór bez rękawów, ale była już stara, a na dodatek wyglądałam w niej na góra pięć lat.

Ostatecznie poszłam za radą Carla i ubrałam się w dzinsy i czarny sweter z dekoltem w szpic, który pożyczyłam od mamy. Sweter był z cienkiej wełny i okropnie drapał, nie miałam też złudzeń, że będzie mi w nim za gorąco, ale i tak mógł uchodzić za bardziej wyrafinowany niż wszystkie moje T-shirty. Ukradkiem wypchałam stanik papierowymi chusteczkami, aby nadać sobie trochę pełniejszych kształtów.

Rozpuściłam i rozczesałam włosy, ale wciąż wyglądałam żałośnie smarkato. Za pomocą kolorowych koralików i nitek próbowałam więc skopiować wystudiowane uczesanie Mirandy — nie wiem, czy z lepszym skutkiem.

— Takie są najnowsze trendy w czesaniu długich włosów? — spytała z powątpiewaniem mama. — Może upnę ci jednak jakiś kok?

— Dzięki, ale nie — powiedziałam. — Miranda czesze się właśnie tak. Mniej więcej.

— Nagle w kółko tylko ta Miranda i Miranda — skrzywiła się mama. — Proszę, zapisz mi jej dokładny adres. Boże, sama nie wiem, czy powinnam cię puścić, nawet nie znam jej rodziców. Może lepiej zadzwonię do matki Mirandy i wypytam o szczegóły tej imprezy?

— Nie!!! Umarłabym chyba ze wstydu! Już i tak wszyscy uważają, że jestem wyjątkowo dziecinna. Nabijają się ze mnie i przezywają mnie Pchelką.

— To rzeczywiście niezbyt miło z ich strony — przyznała mama. —

Bardzo ci dokuczają?

42

— Trochę. Ale to nic takiego, można się przyzwyczać.

Mama westchnęła.

— Sama nie wiem. Kiedy chodziłaś do zerówki, było idealnie, wszystkie matki się znały, wszyscy byli tacy sympatyczni. W podstawówce było już trochę gorzej, ale jeszcze całkiem dobrze, natomiast teraz ta szkoła średnia... Jest taka duża i przygnębiająca, nie ma tej dawnej atmosfery, nie jestem z niej do końca zadowolona. Chociaż Carl chodzi do elitarniej szkoły, a Jules i tak podejrzewa, że nie czuje się tam najlepiej. Sądzi, że koledzy mu dokuczają.

— Wiem, mówiła mi. Ale Carl daje sobie radę, mamó. Oboje dajemy sobie radę.

Niespodziewanie mama mocno mnie przytuliła.

— Wiem, wiem — powiedziała i pocałowała mnie w czubek głowy.

— Uważaj na moje włosy!

— Już dobrze, przepraszam. Och, Sylvie, aż trudno mi uwierzyć, że wybierasz się na prawdziwą imprezę. Będziesz się zachowywać rozsądnie, prawda?

— Tak, mamó.

— Tak, przecież wiem, że tak. Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu gadam głupoty. — Potarła ręką czoło, jak zawsze, kiedy jest bardzo zmęczona.

— Przyjedzie po nas Jules albo Mick, tak jak mówiłam, więc możesz spokojnie położyć się wcześniej do łóżka — powiedziałam.

— Jasne, i na pewno bez problemu uda mi się zasnąć, zanim wrócisz! —

odparła.

43

Wychodząc z domu, czułam się naprawdę dziwnie. Mama jadła akurat kolację przed telewizorem. Oglądała serial Coronation Street.

— Baw się dobrze, kochanie — powiedziała. Popatrzyła na swoją porcję spaghetti prosto z mikrofalówki, potem na telewizor i pokręciła głową. —

Wygląda na to, że niepostrzeżenie zmieniłam się w żalospną starą babę — stwierdziła. I dodała ciszej: — Jak się nie będę pilnować, wkrótce zmienię

się w pannę Miles! Co ja bym dała za zaproszenie na fajną imprezę!

— Oj, mamó. — Nagle zrobiło mi się strasznie przykro z jej powodu.

— Niepotrzebnie to powiedziałam, idiotycznie się nad sobą użalam i tyle.

No już, zmykaj. Wyglądasz ślicznie, kochanie. Udanej zabawy.

Jules podrzuciła nas na Lark Drive. Była tak rozentuzjasmowana, że przez cały czas trajkotała.

— Nie ekscytuj się tak, mamó — Carl studził jej entuzjazm. —

Zachowujesz się, jakbyśmy zostali zaproszeni na przyjęcie do Peaches Geldof! A to tylko zwykła domówka na przedmieściu. Więcej luzu!

Carl w białym T-shircie i niebieskich džinsach z pewnością wyglądał na w pełni wyluzowanego, nawet bagatelizującego sprawę, a jednak kiwał nogą,

co robi zawsze wtedy, kiedy jest spięty. Poczułam do niego nagły

przyływ miłości, bo przecież to dla mnie dał się namówić na wizytę u

Mirandy. Wyciągnęłam rękę i z wdzięcznością uścisnęłam jego dłoń.

Oboje mieliśmy ręce lepkie od potu.

Podenerwowanie udzieliło się nawet Jules, kiedy skręciła w Lark Drive.

Ulicę jasno oświetlały eleganckie latarnie, stylizowane na wiktoriańskie.

Wszystkie

domy stały w pewnym oddaleniu od ulicy, cofnięte w głąb ogrodów. Niektóre z nich były okazałymi rezydencjami z czerwonej cegły, z mnóstwem dekoracyjnych szczytów, wież i wieżyczek.

— A niech mnie szlag! — Jules sięgnęła po gwarę. — Elegancki fyrtel, szykuje się wam fest imprezka, tej.

— Miranda tutaj nie mieszka, to niemożliwe! — zawołałam.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Chciała się zabawić moim kosztem?

No jasne! Wcale nie zamierzała mnie zaprosić na imprezę ani poznać mojego chłopaka. Skłamała, że mieszka w którejś z tych rezydencji, żeby zrobić ze mnie idiotkę. Teraz pewnie zrywa boki ze śmiechu, wyobrażając sobie, jak błąkam się po Lark Drive w poszukiwaniu nieistniejącej imprezy.

— Jules, przepraszam, coś mi się pomyliło — powiedziałam, z trudem powstrzymując łzy. — Wracajmy do domu.

Carl przysunął się do mnie bliżej.

— Wszystko w porządku, nic się nie martw, przecież idziemy razem.

— Ale ja właśnie sobie uświadomiłam, że to głupi żart Mirandy. Założę się, że tu w ogóle nie ma domu o numerze dziewięćdziesiąt cztery. Jestem ostatnią kretynką! — jęknęłam bliska płaczu.

— Te tutaj już nie są takie eleganckie — zauważyła Jules. Przejechaliśmy właśnie obok kilku zupełnie współczesnych, klockowatych domów z filarami udającymi styl regencji. — Co za architektoniczna kaszanka!

To jest dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt dwa — aha! Chodzi o ten ostatni biały dom!

Dom przy Lark Drive 94 nie był wiktoriańską rezydencją, nie był też współczesnym klokiem i niczego nie udawał. Biały, okazały, zbudowany w latach dwudziestych, z płaskim dachem i witrażowymi oknami, był zupełnie inny niż wszystkie domy na tej ulicy. Dyskretnie podświetlony jaśniał jak olbrzymi księżyc.

— O rany, spójrzcie tylko na te witraże art deco! — zawołał Carl.

— Spójrzcie tylko na tę architekturę art deco!

— poprawiła go Jules. — Przepiękny dom. Jestem pewna, że widziałam go na zdjęciach w jakimś kolorowym czasopiśmie. Sylvie, czy twoja Miranda naprawdę tu mieszka?

— Na pewno nie — powiedziałam. — Przejechaliśmy taki kawał drogi na marne. Bardzo przepraszam.

— Może chociaż zapukajmy i sprawdźmy — zaproponował Carl.

— Nie! — zaprotestowałam w pierwszym odruchu.

— No dobrze. Ale założę się, że nikt tu nawet nie słyszał o Mirandzie Holbein.

Carl i ja wysiedliśmy z samochodu. Jules także wysiadła. Próbując ujarzmić swoją czuprynę, założyła włosy za uszy. Potarła plamę z farby na swoich spodniach i westchnęła.

— No cóż, udawajcie, że jestem tylko waszym szoferem — powiedziała. Minęliśmy białą bramę i chodnikiem z kamiennych płyt ruszyliśmy w stronę drzwi wejściowych, patrząc na dom z takim nabożeństwem, jakby był katedrą. Carl

47

podziwiał witraże, olśniony urodą różowych kwiatów, niebieskich motyli i plomiennoczerwonego słońca

o długich promieniach.

Jules niepewnie nacisnęła dzwonek.

— Czy on w ogóle działa? Słyszeliście jakiś dźwięk? Czekaliśmy przez chwilę. Nic się nie wydarzyło.

Jules spróbowała jeszcze raz, teraz już mocniej. Donośny dzwonek rozległ się natychmiast, wszyscy aż podskoczyliśmy z wrażenia. Zaraz potem drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Miranda.

— Cześć — powiedziała całkiem swobodnie. Jednak jej strój swobodny wcale nie był. Miranda

miała na sobie elegancką czarną koronkową bluzkę z długimi rękawami, obcisłą spódnicę i swoje spiczaste buty. Jej białą szyję otaczała czarna aksamitna wstążka, oczy podkreślał mocny czarny makijaż, a usta — ciemnoczerwona szminka. Wyglądała fantastycznie.

— Cześć — odezwałam się drżącym głosem. — Yyy, to jest Carl, a to Jules, jego mama. Czy... Czy twoje zaproszenie na imprezę jest ciągle aktualne?

— Naturalnie — odparła Miranda. — Wejdźcie, proszę.

— Ja ich tylko przywiozłam — wyjaśniła Jules.

— Może wstąpi pani chociaż na drinka? — spytała Miranda.

— Nie, nie — wymówiła się Jules. — O której powinnam się zjawić po Sylvie i Carla?

Miranda wzruszyła ramionami.

— O której pani zechce.

— To może... o jedenastej? — zaproponowała ostrożnie Jules.

48

— Dobrze — zgodziła się Miranda. — Albo trochę później.

Pożegnaliśmy się z Jules i weszliśmy za Mirandą do środka. To znaczy, ja weszłam za Mirandą do środka. Carl został przy wejściu, żeby obejrzeć sobie z bliska witraż w drzwiach. Delikatnie wodził palcem po spojeniach z ołowiu i głaskał połyskujące szkło.

— Carl! — syknęłam.

Miranda przystanęła i przechyliła głowę na bok. Spojrzała na Carla spod zmrużonych powiek.

— Podobają ci się witraże? W takim razie chodź zobaczyć te w oranżerii.

Udaliśmy się w głąb korytarza i przecięliśmy olbrzymią kuchnię o kamiennej posadzce. Poczesne miejsce zajmował tam kredens ze wspaniałą porcelanową zastawą, ozdobioną motywem stylizowanych pomarańczowych kwiatów. Weszliśmy do przeszklonego pomieszczenia, w którym rosły zielone palmy i rozłożyste paprocie, a także mnóstwo różowych i fioletowych storczyków. Tę oranżerię otaczał piękny witrażowy fryz z motywami kwiatowymi i roślinnymi, w którym przeplatały się intensywne odcienie szkarłatu, żółcienie chromowe i rozbielona zieleń. Także szklane drzwi do oranżerii zdobiły witraże, tym razem z postaciami ptaków — drozdów, kanarków, sikorek, srok, papug. Carl chłonał ten widok, wspięty na palce, tak jakby sam miał zamiar zaraz odlecieć. Zaniepokoiłam się, że wygląda na trochę zbyt zachwyconego. Nie chciałam, żeby Miranda pomyślała, że jest jakimś strasznym dziwakiem. Ale niepotrzebnie się martwiłam, Miranda obserwowała go z uśmiechem.

49

— Rewelacja, co? — zapytała.

— Kwiatowy witraż jest oryginalny, pochodzi z lat dwudziestych —

powiedział Carl. — A te ptaki?

— Są nowe. Relatywnie. Drzwi także miały kwiatowe witraże, ale zdarzył się mały wypadek. Uczyłam się jeździć ąquadem, nie wyrobiłam zakrętu i wpadłam prosto na nie. Wyobraźcie sobie, w jakim byłam szoku, krew lała się strumieniami, a mój tata zawołał tylko: „O Boże, moje witraże!”

— Trudno mu się dziwić — stwierdził Carl. — Znacznie łatwiej posklejać ciebie niż taki piękny, oryginalny witraż.

— Racja — zaśmiała się Miranda. — No więc tata zamierzał zlecić rekonstrukcję tych drzwi za ogromne pieniądze i wyglądało na to, że kieszonkowego nie dostanę już do końca życia, ale w jakiejś pracowni witraży natknął się na te ptaki i po prostu musiał je mieć — co zresztą okazało się jeszcze droższe.

— To ile kosztowały? — zainteresował się Carl. Wiem, że myślał o Szklanej Altanie.

— Kilka tysięcy funtów — odparła Miranda.

— No tak — westchnął Carl.

— Jak sprzedamy prawa do ekranizacji książki — wtrąciłam się półgłosem.

— Jakiej książki? — podchwyciła Miranda.

— My... piszemy razem pewną książkę — powiedziałam.

Spojrzałam na Carla, żeby sprawdzić, czy się na mnie nie gniewa. Nasza książka w zasadzie nie była tajemnicą, ale prawie nigdy nie rozmawialiśmy o niej przy obcych.

50

— A o czym? — chciała wiedzieć Miranda.

— To coś z gatunku fantasy — powiedziałam wymijająco.

— Mogę ją przeczytać?

— No cóż...

— Absolutnie nie — odparł Carl.

— Dlaczego? Boicie się, że uznam ją za dziecinną? — dopytywała się Miranda. — Bo jest o smokach, księżniczkach i cudownych pierścieniach?

— Wręcz przeciwnie — stwierdził Carl. — Jest bardzo oryginalna i nie pozwalamy jej nikomu przeczytać, żeby ktoś nie przywłaszczył sobie naszych pomysłów.

Miranda westchnęła. Stanowczość Carla naprawdę mi zaimponowała. W towarzystwie Mirandy czułam się niewiarygodnie skrępowana, tymczasem Carl najwyraźniej nic sobie z niej nie robił.

— To co z tą imprezą? — zapytał. Rozejrzał się wokół. — Zostajemy tutaj?

— Chwileczkę — powiedziała Miranda. — Chodźcie za mną.

Skinęła na nas palcem, czarny lakier zaśnił na jej paznokciu. Wróciliśmy za nią przez kuchnię na korytarz. W jednym z pokoiów od frontu usłyszałam muzykę i skierowałam się w tamtą stronę.

— Nie, nie — powstrzymała mnie Miranda. — To kraina rodziców. My jesteśmy na dole.

Otworzyła inne drzwi, za którymi były schody prowadzące na dół.

— Urządzasz imprezę w piwnicy? — zdziwił się Carl.

51

— I to jaką! — powiedziała. — Będziemy się na zmianę zamykać w ciemnicy. Moje szczury to uwielbiają!

Zamrugalam ze zdumienia. Chyba żartowała, chociaż z Mirandą nigdy nic nie wiadomo.

Na szczęście nie była to zwykła piwnica. Na dole mieścił się zaciszny pokój, w którym stał olbrzymi telewizor i dwie kanapy, zauważyłam też kilka wielkich poduch oraz mnóstwo książek, które wylewały się z półek i piętrzyły w każdym kącie.

— Impreza będzie tutaj — obwieściła Miranda. — W niedużym, ale bardzo starannie dobranym gronie.

Na jednej z kanap w równym rzędzie siedziało już troje nastolatków. Nie chodzili do mojej szkoły. Dziewczyna była bardzo jasnowłosa, bardzo szczupła i bardzo blada. Jej długie do pasa blond włosy miały kremowy, prawie biały odcień, a delikatna cera była niemal przezroczysta. Siedzący po jej lewej stronie chłopak był Azjata o pięknych, wyrazistych brązowych oczach i długich rzęsach, bardzo przystojnym. Jej sąsiad po prawej był czarnoskóry, wysoki i dobrze zbudowany, miał dość ekstrawagancką fryzurę i kolczyk w nosie. Wyglądało to tak, jakby Miranda dobierała sobie przyjaciół, kierując się zmysłem estetycznym, niczym dekoracyjne przedmioty.

— Alice, Raj i Andy — przedstawiła ich Miranda, wskazując na każde po kolei. — A to są Sylvie i Carl.

Bardzo się ucieszyłam, że nie nazwała mnie Pchelką.

— Czego się napijecie? — zapytała i podeszła do lodówki ustawionej w rogu.

52

Szybko zerknęłam, co pije trójka na kanapie. Naprawdę mi ulżyło: Alice piła gazowaną wodę mineralną, a Raj i Andy colę.

— Poproszę o colę — powiedział Carl.

— I ja też — powiedziałam.

Raj zmierzył Carla uważnym spojrzeniem.

— Chyba chodzisz do Kingsmere Grammar, zgadza się? — spytał. — Jestem rok wyżej od ciebie.

— Coś takiego. Fajnie — odpowiedział Carl. Wyglądał na lekko podenerwowanego.

— I chyba trzymasz się z tym piłkarzem, Paulem Ale-golem — dodał Raj.

— Można tak powiedzieć — odparł Car. Zrobiłam w jego stronę wielkie oczy. Nie wspominał, że zaprzyjaźnił się z kimś ze szkoły, z jakimś piłkarzem w dodatku. Carl przecież nie znosi wf-u.

— Co to za Paul? — zapytałam.

Carl zignorował moje pytanie. Patrzył na Andy'ego.

— Ty też chodzisz do Kingsmere?

— Nie, Alice i ja jesteśmy z Southfield — wyjaśnił Andy. — Chodziła tam też Miranda, zanim ją wywalili.

— Miranda, naprawdę wyrzucili cię ze szkoły?! A co takiego zrobiłaś?

— Poszło głównie o to, czego n i e robiłam — nie chodziłam na lekcje, nie odrabiałam zadań domowych, nie nosiłam mundurka, takie tam beznadziejne zawracanie głowy — odparła Miranda i wręczyła nam colę.

Carl usiadł na pustej kanapie, Miranda zajęła miejsce obok niego.

Ostrożnie opadłam na mięsistą poduchę, bardzo zadowolona, że jednak nie włożyłam mini.

53

— Pretensji o bieganie całkiem nago wokół sali gimnastycznej nie nazwałabym zawracaniem głowy — odezwała się Alice.

— Że też mnie tam wtedy nie było! — westchnął Andy.

Miranda sięgnęła do miseczki po chipsa i pstryknęła nim w Andy'ego.

— To był tylko głupi zakład — wyjaśniła. — Nic wielkiego. Nie mogę pojąć, czemu zrobiło się wokół niego tyle szumu.

— A może teraz też się o coś założymy? — zaproponował Andy.

— To nudziarstwo — powiedziała Miranda. — I szczyt infantylizmu. Obejrzymy sobie jakiś film.

W duchu przyklasnęłam temu pomysłowi — oglądanie filmu było znacznie mniej stresujące niż wymyślanie czegoś, co można by powiedzieć. Byłam ciekawa, co też Miranda wybierze; spodziewałam się jakiegoś ostrego pornola. Wybór horroru o grupie nastolatków na imprezie przyjąłam z dużą ulgą. Jego bohaterowie piją, pojadają przekąski i przekomarzają się — zupełnie jak my u Mirandy. Wszyscy sądzą, że rodzice głównej bohaterki są w domu, ale kiedy ona idzie na górę, i żeby poprosić ojca o więcej piwa, nie może go nigdzie znaleźć. Także jej matka gdzieś się rozplynęła. Nagle dziewczyna słyszy tuż za sobą przerażające sapanie, w panice rzuca się pędem do swojego pokoju i rygluje drzwi. Ona i jej przyjaciele siedzą tam jak w potrzasku, a Coś dobija się do drzwi i próbuje wdrzeć do środka.

Bałabym się oglądać ten film w pojedynkę, umierałabym ze strachu nawet wtedy, gdybym podczas projekcji

54

mogła się przytulić do Carla, ale seans filmowy w towarzystwie Mirandy był zupełnie nowym doświadczeniem. Miranda nie odkładała pilota od kina domowego dalej niż na kolana i najlepsze fragmenty puszczała nam jeszcze raz, żebyśmy mogli powtarzać kwestie dialogowe razem z aktorami. Od czasu do czasu przewijała film do przodu na podglądzie,

więc żeby zdążyć z tekstem, musieliśmy bełkotać jak szaleni, musieliśmy też jednym głosem podkładać dźwięk pod efekty specjalne. Przy głośnym sapaniu bawiliśmy się najlepiej.

— Twoi rodzice będą się zastanawiać, co tu się najlepszego wyprawia — zauważył Raj.

— A gdzie tam, są zbyt zajęci swoją prywatną popijawą na górze — stwierdziła Miranda.

Nie byłam pewna, czy mówi poważnie, czy żartuje. Kiedy Coś w końcu przedostało się do środka, Miranda udała przestraszoną i przycisnęła się do Carla. Wprawdzie na czas oglądania filmu wyłączyła światło, ale ekran telewizora rzucał na pokój blady poblask. Widziałam wyraźnie, że złapała Carla za łokieć. Jej ramię wpijało się w jego pachę, tak jakby miała nadzieję, że Carl ją obejmie.

Obserwowałam Mirandę, pocąc się w czarnym swetrze, a serce waliło mi jak młotem. Co ona sobie wyobraża? ! Przecież wie, że Carl jest moim chłopakiem.

Nie potrafiłam ustalić, czy któryś z zaproszonych chłopców — Raj albo Andy — jest z nią bliżej związany, czy obaj są tylko jej kolegami. Może w tych kręgach spontaniczne przytulanie się do znajomych nic nie znaczy? To chyba niemożliwe, żeby Miranda z rozmysłem przystawiała się do mojego chłopaka na oczach nas wszystkich.

Czekałam na reakcję Carla. Nie odepchnął jej, ale też nie otoczył jej ramieniem. Pozostał nieruchomy, jakby zrósł się z kanapą, podczas gdy Miranda wierciła się u jego boku.

— Muszę się napić czegoś mocniejszego — oświadczyła w końcu. — To przez to ciągle gadanie o piwie. Ktoś mi potowarzyszy?

— Co to w ogóle za pytanie, kotku? — odparł Andy.

— Dam ja ci k o t k a! — prychnęła Miranda i zamierzyła się pięścią na jego nos.

Andy udał, że jej oddaje, ale zamiast tego zaczął ją laskotać. Miranda piszczała i skręcała się ze śmiechu, w końcu oboje wylądowali na dywanie i te zapasy ukazały wszem wobec rozległy widok pulchnych, lecz kształtnych ud Mirandy. Bez względu na to, czy Andy był jej chłopakiem, czy nie, poczyniała sobie z nim bardzo śmiało. Widocznie taki już miała zwyczaj.

Pomyślałam o Carlu i o mnie. Nam też zdarza się czasem siłować, ale to zupełnie co innego. Nasze zapasy są dziecinne i dla wygłupu, bez żadnego podtekstu erotycznego. Powodem pewnie jest to, że znamy się niemal od zawsze. Kiedy w dzieciństwie zostawałam u Johnsonów na noc, Jules układała Carla i mnie do snu w jednym łóżku. Gdy zachlapaliśmy się farbą albo utylialiśmy w błocie, pakowała nas razem do wanny.

Wyobraziłam sobie wspólną noc albo wspólną kąpiel z Carlem w obecnej sytuacji.

— Sylvie, tobie też piwo dobrze by zrobiło, jesteś czerwona jak cegła. — Miranda obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem z poziomu podłogi. — Hej, ty się rumienisz, dziewczyno!

— Dziwisz się? Spójrz tylko na siebie, rozwaloną na podłodze w spódnicy podkasanej do pasa — powiedział Raj i obciągnął na niej spódniczkę, cmokając z dezaprobatą jak stara ciotka. — Mnie też przynieś puszkę, moja panno.

— Ktoś jeszcze chce piwo? — spytała Miranda.

Zerknęłam na Carla. Nigdy w życiu nie próbowałam piwa i byłam prawie pewna, że on też nie. Zawsze zga-dzaliśmy się co do tego, że piwo obrzydliwie śmierdzi.

— Carl? — Miranda podparła się na łokciu. — Napijesz się piwa?

— Jasne — odparł Carl, jakby nie było sprawy. Wobec tego ja też powiedziałam, że się napiję.

— Alice? — kontynuowała Miranda.

— Piwo? Nie, za dużo kalorii — powiedziała Alice.

— Dla mnie tylko woda.

— Jak tak dalej pójdzie, skończysz pod kroplówką wśród innych anorektyczek — stwierdziła Miranda.

— Sylvie, chodź ze mną, potrzebuję pomocy, żeby to wszystko przynieść. Poczułam się absurdalnie dumna, że o pomoc poprosiła właśnie mnie.

Poszłam za nią na górę.

— Jeśli chodzi o Carla, miałaś rację, jest naprawdę słodki — przyznała Miranda. — Nie miałabym nic przeciwko, żeby był moim chłopakiem.

— Ale... chodzi już ze mną — podkreśliłam.

— Wiem, wiem, tak tylko żartowałam — powiedziała i wzięła mnie pod rękę.

— A Raj i Andy? Jesteś z którymś z nich?

— Nie, to tylko kumple — wyjaśniła. — Chociaż nie wątpię, że marzą o tym, żeby chodzić z taką gorącą laską jak ja. — Zatrzepotała rzesami i przegięła się wyzywająco, opierając rękę na biodrze. Wydaje mi się, że żartowała.

— To gdzie się podziewa twój chłopak? — spytałam, kiedy weszłyśmy do

kuchni.

58

— Akurat w tej chwili nie mam żadnego.

— Jak to? Przecież dzisiaj w kiblu opowiadałaś o nim Patty i reszcie!

— A, tak je tylko podpuszczałam — zaśmiała się. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej cztery puszki

piwa oraz dużą butelkę gazowanej wody mineralnej. Wszystkie puszki rzuciła do mnie, jakbyśmy wykonywały jakąś skomplikowaną zonglerską ewolucję. Jedna z nich wyslizgnęła mi się z rąk na kamienną posadzkę i narobiła straszego klekotu, ale na szczęście nie wybuchła. Miranda zanurkowała głębiej do lodówki i wydobyła z niej ser, winogrona oraz wytrawny pasztet, a następnie przeszukała jedną z szafek i znalazła krakersy, chipsy i wielką tabliczkę szwajcarskiej czekolady. W innej szafce odkryła prawie pełną butelkę szkockiej whisky. Wszystkie zdobycze zgarnęła beztróska do torby na zakupy, podrzuciła wysoko butelkę mineralnej i z gracją ją złapała, po czym wyszczerzyła się do mnie w szerokim uśmiechu.

— Czas na piknik — powiedziała.

Kiedy wracałyśmy korytarzem w stronę schodów do piwnicy, znenacka otworzyły się drzwi do salonu. Miranda wyrwała mi puszki z piwem i błyskawicznie wrzuciła je do torby, żeby zniknęły z widoku. Brodaty mężczyzna wytknął głowę przez drzwi.

— To było piwo, dobrze widziałem? — zapytał.

— Wszystko przez Sylvie, tatku. Tankuje przynajmniej osiem dużych w trakcie imprezy, inaczej nie umie się bawić — powiedziała Miranda.

Wydałam słaby jęk. Tata Mirandy obdarzył mnie uśmiechem.

— Nie pozwól mojej córce sprowadzić się na złą drogę — powiedział. — A więc to ty jesteś Sylvie. Chodzicie razem do szkoły? Zaraz, zaraz, to przecież niemożliwe, jesteś jeszcze za mała.

Wzięłam głęboki oddech. Nienawidzę z całego serca, kiedy ludzie uważają mnie za smarkulę.

— No to dałeś popis, tato, naprawdę! — Miranda przewróciła oczyma. — Sylvie chodzi do równoległej klasy. Nie zwracaj na niego uwagi, Sylvie. Lepiej wracajmy już na dół.

— Oj, przepraszam, przepraszam cię najmocniej, Sylvie. Bez okularów jestem ślepy jak kret — tłumaczył się pan Holbein. — Bardzo się cieszę, że Miranda znalazła sobie przyjaciół w nowej szkole. Wpadnij do nas jeszcze kiedyś, koniecznie! — Skinął mi ręką na pożegnanie i wycofał się do salonu.

— Twój ojciec chyba nie zdaje sobie sprawy, że ludzie ze szkoły chętnie by się pozabijali, żebyś tylko zwróciła na nich uwagę! — powiedziałam.

— Czyżby? — spytała Miranda. — Tobie jakoś na tym niezbyt zależało. Kiedy cię zaprosiłam, wyglądałaś na prawie obrażoną. W życiu nie sądziłam, że przyjdiesz.

— A Patty i cała reszta twojej paczki? Dlaczego ich też nie zaprosiłaś?

— Są w porządku, ale zadaję się z nimi tylko na potrzeby szkolne. To ograniczone gąski, jedna w drugą prawie takie same. A ty jesteś inna.

— Fakt, wyglądam jak sześciolatka.

— Tatko kompletnie nie ma wyczucia. A zresztą co w tym złego, że wyglądasz na trochę młodszą, niż

naprawdę jesteś? Przecież nie zachowujesz się jak smarkula. I naprawdę okropnie zazdroszczę ci, że masz Carla — i tego, że znacie się od tak dawna i macie wspólne pasje, piszecie razem książkę, coś fantastycznego. Na dodatek on jest taki przystojny, to niesprawiedliwe! Mam propozycję: za jednego Carla dam ci ich obu, Raja i Andy'ego. Co ty na to?

— Odpada.

— Skapiradło! No nic, wracajmy. Carl może już kręcić z Alice. Założę się, że jej też wpadł w oko.

— Alice to twoja najlepsza przyjaciółka z poprzedniej szkoły?

— Tak jest. Hej, ty możesz zostać moją najlepszą przyjaciółką z obecnej szkoły!

— Fajnie — odparłam, siląc się na obojętny ton. Pochlebilo mi to bardzo, ale i trochę zmartwiło. Nie

byłam przekonana, czy sprawdzę się w roli przyjaciółki Mirandy. No i co zrobię z Lucy? Zaczęłam prawie żałować, że tego wieczoru nie spędzam w jej towarzystwie. Przy Lucy mogę się zachowywać całkiem swobodnie, na luzie, i mówić, co mi tylko przyjdzie do głowy. Wiem, że Carl się jej podoba, ale Lucy przynajmniej się do niego nie klei i nie próbuje go poderwać.

Zaczęłam się zastanawiać, co będzie, kiedy wszyscy wypijemy piwo. Całe szczęście, że Alice nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną Carlem

— gdy wróciliśmy do piwnicy, rozmawiała z Andym na jakieś szkolne tematy. Raj i Carl także gadali o szkole. Podeszłam do nich i szybko usiadłam obok Carla, żeby zdążyć przed Mirandą.

61

— Co to za Paul? — zapytałam go jeszcze raz.

— Taki jeden chłopak z mojej klasy — odpowiedział Carl.

— I naprawdę interesuje się piłką?

— Ba, gra jak młody David Beckham! — wtrącił się Raj. — Ponoć ma szansę na kontrakt w którymś z poważnych klubów piłkarskich, co nie, Carl?

— Możliwe — odparł Carl. — Nie zwierza mi się, aż tak dobrze go nie znam. Chociaż w sumie znają go wszyscy.

— Widać jesteśmy podobni! — ucieszyła się Miranda. Przytuliła się do nich obu. — Ja też fascynuję się piłką. W Southfield byłam kapitanem żeńskiej drużyny, prawda, Alice?

— Do czasu, kiedy przed pokazowym meczem reprezentacji wetknęłaś sobie dwie piłki pod koszulkę i wyszłaś tak na boisko przy wszystkich rodzicach -zachichotała Alice.

Kiedy Miranda przewróciła torbę do góry dnem i butelka whisky wypadła na podłogę, powitano ją wybuchem radości.

— Laphroaig, znakomity wybór! — stwierdził Carl tonem konesera.

Pierwszy wypił łyk prosto z butelki. Zrobił to ze znanstwem, przyznając, nawet się nie wzdrygnął. Przełknął whisky z miną pełną uznania, po czym otarł usta wierzchem dłoni, gestem, jakby robił to przez całe życie. Po nim butelkę przejęła Miranda i pociągnęła z niej solidnie. Potem pił Andy. Po nim Raj, który przechylił butelkę tak sprytnie, że prawie nic się z niej nie wydostało. Postanowiłam pójść jego śladem i zatkałam szyjkę językiem.

Czułam, jak whisky

62

pali mnie w jego czubek — smakowała jak torf, była piekąca i obrzydliwa. Kiedy butelka trafiła do Alice, ta pokręciła głową i skromnie upiła łycalek

swojej wody. Piwo piliśmy prosto z puszek. Jego smak też mi nie odpowiadał. Wprawdzie nie paliło w język, ale było kwaśne i paskudne. Trzeba było się zmusić, żeby je przełknąć; najchętniej od razu bym je wypluła. Zjadłam trochę winogron, żeby zabić ten smak. Bacznie obserwowałam Carla — co chwila podnosił swoją puszkę do ust, a kiedy butelka whisky zrobiła pełne okrążenie, wypił z niej kolejny łyk.

— Myślałem, że piwa i whisky nie należy mieszać — powiedział Raj po wypiciu następnego bardzo ostrożnego, miniaturowego łyčka.

— Pij piwo i whisky — bliźni będzie ci bliski! — Miranda sugestywnie uniosła brew.

— Nie, nie, od whisky i piwa nawet orientacja się kiwa! — zawołał Andy.

Porozumiewawczo poruszył brwiami i puścił oko do Raja i Carla. —

Lepiej miejcie się na baczności, moi śliczni!

Miranda rozdzieliła jedzenie. Nie było widelców ani noży, więc żeby się poczęstować serem albo czekoladą, trzeba było odgryźć sobie kawałek.

Zacząłam się zastanawiać, dlaczego wcale nie czuję się pijana. Niemal nie spróbowałam whisky, ale wypiałam już pół puszki piwa, a żadnego efektu nie było widać. Może trzeba je pić puszka za puszką? Nie mogłam sobie tego w ogóle wyobrazić — równie dobrze można by próbować wlać w siebie kilka butelek syropu na kaszel.

63

— Mogę się napić twojej wody, Alice? — poprosiłam

ją-

Alice podała mi butelkę, wypiałam kilka łyków i to był błąd. Dostałam czkawkę.

— Ale numer, Sylvie już się załapała! — zaśmiała się Miranda.

— Wcale nie jestem pijana! — zaprotestowałam, —i To przez tę wodę, jest gazowana.

Czknęłam wyjątkowo donośnie i obrzydliwie dwa razy pod rząd, po czym zatkałam sobie usta ręką.

— Może lepiej nie pij już tego piwa, Syl. Daj, dokończę twoją puszkę — zatroszczył się o mnie Carl.

— Nie jestem pijana — powiedziałam i pociągnęłam z puszkii kolejny łyk. O mało się nie zakrztusiłam, bo znów dopadła mnie czkawka.

— Musimy jakoś odwrócić jej uwagę — stwierdziła Miranda. — Na przykład w coś zagrajmy. O, mam pomysł: może zagramy w butelkę?

— Super! — zawołał Andy.

— Super duper, po prostu genialoza! — dodał Raj.

— Boże, jacy wy jesteście prymitywni! — westchnęła Alice.

Carl i ja nie odezwaliśmy się ani słowem. Nie wiedzieliśmy dokładnie, na czym polega gra w butelkę, ale nie podejrzewaliśmy, żeby to było coś na poziomie zabawy w chowanego.

— W takim razie będziemy potrzebować butelki — powiedziała Miranda. Sięgnęła po whisky, upiła jeszcze jeden spory łyk i mocno zakręciła butelkę.

64

— Usiądźcie w kole, moi kochani, i zaraz puścimy tę flaszkę w ruch — oznajmiła.

Czknęłam, westchnęłam i usiadłam po turecku na podłodze. Kiedy siadałam, poczułam dziwne wahnięcie i lekko zakręciło mi się w głowie. Może jednak troszeczkę się wstawiłam.

Carl podszedł do mnie i usiadł obok. Miejsce obok niego zajęła Miranda,

przy niej zasiadł Andy, dalej Alice, a Raj usiadł po mojej drugiej stronie. Zaczął chichotać i wszystkich nas zaraził tym śmiechem, nawet Alice, która przecież nie miała szansy się upić.

— No to cyk — powiedziała Miranda i energicznie zakręciła butelką. Butelka z początku wirowała bardzo szybko, potem coraz wolniej i wolniej. Wpatrywaliśmy się w nią jak zahipnotyzowani. Kiedy wreszcie się zatrzymała, jej zakrętka wskazywała prosto na Carla.

— Oho! — zawołała Miranda. — Wypadło na ciebie, Carl.

Zauważyłam, że Carl przełknął ślinę, mimo że pozornie nie stracił nic ze swojego luzu.

— No i? — zapytał.

— No i musimy teraz wybrać osobę, z którą będziesz się całował — wyjaśniła i zakręciła butelką jeszcze raz.

Butelka wirowała i wirowała, a my nie spuszczaaliśmy z niej oczu. Dobrze wiedziałam, przy kim się zatrzyma.

— A to dopiero! To chyba będę ja! — Miranda uśmiechnęła się drapieżnie, pokazując drobne ząbki.

— To było ustawione! — zawołał Andy, dotknięty tym, że Miranda nie wybrała jego.

— Właśnie, oszustwo! — zawtórował mu Raj.

65

— Niby jak miałabym oszukiwać? — broniła się Miranda. — Przecież zakręciłam butelką jak należy! Zamknijcie paszcze. No dobrze, czas na kiziu-miziu. Carl, czekam.

— Tak przy wszystkich? — zapytał Carl.

— A w czym problem? — spytała Miranda. Carl znowu przełknął ślinę.

— To trochę... dziecinne — powiedział przebiegle. Wstał i wyciągnął rękę do Mirandy. — Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz.

Rozpromieniona Miranda podniosła się z zadowolonym uśmiechem.

Chwyliła rękę Carla. Znowu czknęłam. Spojrzała na mnie.

— Chyba ci to nie przeszkadza, co, Sylvie? To przecież tylko zabawa — powiedziała.

— Jasne, w porządku — odparłam. A co innego miałam powiedzieć przy nich

wszystkich?! Patrzyłam, jak Carl i Miranda za rękę wychodzą z pokoju i wstępują w ciemność za drzwiami.

•/>

— Oszukiwała, to oczywiste — stwierdził Andy i na próbę zakręcił butelką.

— Ciii! — uciszył go Raj. — Słuchajcie! Zamarliśmy bez ruchu, w milczeniu. Nic nie usłyszeliśmy. Czknęło mi się żałością.

— Na litość boską, czkasz jak stara pijaczka! — skrytykował mnie Andy i zaczął mnie przedrzeźniać.

— Ciekawe, co oni tam robią? — zapytał Raj. Z obleśnym mlaskaniem pokrył pocałunkami własną rękę.

— Och, Carl, jejku, jaki ty jesteś seksowny! — zakwilił idiotycznym, dziewczęcym głosem.

— Zamknij się! — warknęłam. Moje serce biło tak mocno, jakby miało mi się za chwilę wyrwać z piersi i zabarwić na szkarłatno czarny sweter mamy. Ja jeszcze nigdy nie całowałam się z Carlem.

Nie wiedziałam, co zrobić. Powinnam wybiec na zewnątrz i odciągnąć od siebie tych dwoje? Andy miał

rację, nie tylko czekałam, ale i zachowywałam się jak pijaczka — w pijanym widzie nie miałam dosyć przytomności umysłu, żeby powstrzymać mojego chłopaka przed migdaleniem się z moją koleżanką! Ale nikt poza mną nie widział żadnego problemu. Może taka jest norma, może wszystkie wyluzowane nastolatki na imprezach w to grają? Wprawdzie Lucy nie próbowała pocałować Carla, ale pewnie miała na to ochotę. Miranda miała i bez wątpienia z rozkoszą dopięła swego. Wcale nie ukrywała, że Carl jej się podoba, i to od chwili, w której go zobaczyła. A co czuł Carl? Nie mogłam odsunąć od siebie natrętnych wyobrażeń tego pocałunku: Carl całuje Mirandę, jego miękkie usta dotykają jej uszminkowanego dzióbka, jego ręce bawią się jej drobnymi warkoczykami. Gwałtownie wstałam z miejsca. Pokój się zachybotał, a ja razem z nim. Czułam się tak, jakbym stała w łodzi podczas burzy. Mimo to z uporem zrobiłam pierwszy krok w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz, Sylvie? — zainteresowała się Alice.

— Podpatrywać — powiedział Raj. — Chodźcie, zerknijmy na to wszyscy!

Ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wrócili Carl i Miranda. Andy i Raj przywitali ich oklaskami i gwizdami. Zaróżowiona i triumfująca Miranda wkroczyła do środka z rękoma opartymi na biodrach i odrzuciła włosy do tyłu. Carl wszedł spokojnym krokiem, z kciukami wsuniętymi do przednich kieszeni dżinsów, co świadczyło o tym, że dokłada wszelkich starań, żeby wyglądać na opanowanego. Zauważył mój

wzrok i uśmiechnął się do mnie blado. Jeśli miało mnie to uspokoić, nie

zadziałało.

— Siadaj, Sylvie! Może teraz los uśmiechnie się do ciebie! — powiedziała Miranda i schyliła się, żeby zakręcić butelką.

— Właściwie dlaczego to ty kręcisz butelką, Miranda? Ja też chcę spróbować — powiedział Raj.

— Bo to mój dom, Raj. Siedzimy w mojej piwnicy i gramy w grę, którą ja wymyśliłam. I tak się jakoś składa, że to ja kręcę butelką — odparła Miranda.

— Coś za dobrze ci idzie z tą flaszką! Dla odmiany spróbuj zakręcić moją.

— Alice właśnie dopiła swoją mineralną do ostatniej kropli.

— A ty co, jesteś wielbłądem? — przygadała jej Miranda. — Nie, nie chcemy tu jakichś plastikowych śmieci, do tej gry potrzebna jest porządna butla ze szkła. I cyk! — Znowu wprawiła ją w ruch.

Tym razem butelka kręciła się wolniej, zrobiła raptem dwa okrążenia i zaczęła zmniejszać prędkość. Przez chwilę wyglądało na to, że zatrzyma się przy mnie, ale obróciła się jeszcze kawałek, minęła Raja i wskazała na Alice.

— No i proszę bardzo! — zawołała Miranda. — Sprawdźmy teraz, kochana, kto ci da sooczystego buziaka!

Zakręciła butelką jeszcze raz. Alice westchnęła i przewróciła oczyma, udając, że nic jej to nie obchodzi. Na jej bladej skroni zauważyłam jednak bijący puls. Może Alice też liczyła na objęcia Carla?

— Raj! — obwieściła Miranda, gdy butelka się zatrzymała.

69

Raj głośno oblizwał wargi, cmoknął kilka razy i z zapalem rzucił się w kierunku Alice.

— Opanuj się! — skarciła go Alice. — Przecież nie tutaj! Na zewnątrz. Godnie wymaszerowała z pokoju, a Raj drobnym kroczkiem pobiegł za nią. Nie było ich może dwie sekundy i Alice wróciła do środka.

Dostali mizerne oklaski.

— I to już wszystko? Moje cioteczne babki, kiedy mnie całują, wkładają w to więcej serca! — pożalił się Raj.

— W takim razie musisz wziąć korepetycje z uwodzenia, chłopczyku — skrzywiła się Alice.

— Miranda, daj mi jeszcze jedną szansę! — poprosił Raj, kiedy butelka znowu zaczęła wirować.

— Nie mogę, nie mam na to żadnego wpływu. To czysty spirytyzm, mój drogi. Fatum, czy jak to tam nazwiemy. Zgodzisz się, Sylvie?

Uśmiechnęła się do mnie. Odruchowo odpowiedziałam jej tym samym.

Ponownie wprawiła butelkę w ruch. Wiedziałam, czym to się skończy.

Butelka wirowała. Czułam się tak, jakbym kręciła się w kółko razem z nią, wirowaliśmy tak szybko, aż dostałam zawrotów głowy i zabrakło mi tchu.

Butelka zwolniła i wszyscy obserwowaliśmy, jak się zatrzymuje, wskazując na mnie.

— Oho! — zawołała Miranda. — Sylvie, twoja kolej! Przełknęłam ślinę.

— Dzięki, chyba nie skorzystam — powiedziałam.

— Co to w ogóle za odpowiedź?! — parsknęła Miranda. — Więcej charakteru, dziewczyno! Oczywiście, że skorzystasz.

- s

70

— Nie. Przekazuję ten przywilej Rajowi, który chciał dostać jeszcze jedną szansę.

— Tak nie można! No już, Sylvie, przestań mędrkować i gramy dalej. Musimy sprawdzić, kto będzie twoim partnerem do buzi-buzi. — Spojrzała na mnie. — A kogo byś chciała? Użyj swojej wewnętrznej siły i sama pokieruj tą flaszką!

Wiedziałam, że nie mam na to żadnych szans. Miranda była mistrzynią w kręceniu butelką: odpowiednie ułożenie palców, jeden ruch nadgarstka i zakrętka mogła wskazać kogokolwiek. Mimo to wpatrywałam się w butelkę i próbowałam nakłonić ją do poruszania się zgodnie z moją wolą. Chciałam oczywiście, żeby zatrzymała się przy Carlu. Nie miałam zamiaru całować się z nikim innym. A jednak się bałam. Kocham Carla. Nie mogę się pogodzić z tym, że pocałował Mirandę. Chciałam, żeby całował mnie. Marzyłam o tym tyle razy. Nie robiliśmy tego jeszcze nigdy. Z początku pewnie byłoby pewnie trochę dziwnie, bo wychowaliśmy się razem. Ale kiedyś na pewno do tego dojdzie. Na litość boską, mamy się przecież pobrać! Kiedy mieliśmy po siedem lat, Carl obdarował mnie szklanym „diamentem”, który znalazł w bożonarodzeniowej strzelającej zabawce-niespo-dziance. A kiedy bawiliśmy się w ślub, wyczarował dla mnie obrączki ze złotych papierków po cukierkach toffi.

Wygląda na to, że chociaż się starałam, nie myślałam o Carlu wystarczająco mocno. Zakrętka prześlizgnęła się obok niego, minęła Mirandę i zatrzymała się przy Andym.

— Interesujący wybór, Sylvie — powiedziała Miranda, unosząc brew.

71

Darowałam sobie komentarz, nie chciałam sprawić przykrości Andy'emu. Nie wiedziałam, co dalej.

Carl delikatnie uściśnął moją rękę, dodając mi odwagi. Z wdzięcznością

oddałam mu uścisk i wstałam, starając się nie uciekać przed Andym wzrokiem.

— OK? — zapytałam.

— Jasne — odpowiedział Andy i też się podniósł.

Podeszliśmy do drzwi, otworzyliśmy je i wyszliśmy w ciemność. Po omacku zrobiłam o krok za dużo i wpadłam na jakąś szafkę.

— Ostrożnie! Chodź, jestem tutaj — odezwał się Andy. — Gdzie się podziałaś? Taka z ciebie pchełka.

— Właśnie tak przezywają mnie w szkole — powiedziałam. — Zawsze byłam drobna jak na swój wiek, ale wszyscy mówią, że już niedługo błyskawicznie to i nadrobię, tylko jak na razie jeszcze mi się nie udało, niby jest nadzieja i trzymam się jej kurczowo, bo strasznie głupio być ciągle taką małą i wyglądać tak beznadziejnie i dziecinnie — wyrzuciłam z siebie jednym tchem*

— Ciii — powiedział łagodnie Andy. — Mielśmy się całować.

W ciemności wyciągnął ku mnie ręce i schylił głowę. Niezgrabnie zderzyliśmy się nosami. Zaczęłam histerycznie chichotać.

— Znowu masz czkawkę? — uśmiechnął się Andy. — Nie, zaraz, zaraz, chyba niepostrzeżenie samo ci przeszło!

Ostrożnie ujął moją twarz w obie ręce, przechylił moją głowę lekko na bok i pocałował mnie w kącik warg, tak delikatnie, że sama nie byłam pewna, czy to już.

72

Był to tak niewinny i słodki buziak, że poczucie ulgi aż mnie osłabiło.

Wróciliśmy do pokoju i zajęliśmy swoje miejsca. Carl patrzył na mnie z niepokojem.

— Wszystko w porządku? — spytał szeptem.

— No jasne, że w porządku — odpowiedziała mu Miranda.

Sądziłam, że skoro wszyscy wzięli już udział w grze, skończymy tę zabawę, ale Miranda zawzięcie kręciła butelką dalej. Miranda i Raj. Alice i Andy. Potem znowu Miranda. Butelka zwolniła bieg i zatrzymała się przy Alice.

Raj gwizdnął przez zęby. Andy wyszczerzył się w uśmiechu. Spojrzałam ze zdumieniem na nich obu.

— Zakręć jeszcze raz — poleciła Alice.

— Nie ma mowy! — zaprotestował Raj. — Trzeba zrobić, co butelka każe, takie są reguły.

— Reguły są takie, że chodzi o parę dziewczyna--chłopak — powiedziała Alice.

— Tym razem wypadło tak, że będzie dziewczyna--dziewczyna — stwierdził Raj. — No dalej, Alice, nie psuj nam zabawy.

Alice westchnęła, ale wstała. Pasma jasnych włosów założyła za perłowe płatki uszu i pokazała Rajowi język. Przy jej bladej cerze okazał się zaskakująco różowy.

— Chodź, Alice. — Miranda pociągnęła ją za rękę.

— Nie wychodźcie! Zostańcie tutaj, dziewczyny, i dajcie nam się nacieszyć tym widokiem! — błagał Raj.

— Weź na wstrzymanie, chłopcze — powiedziała Miranda.

Zniknęły na zewnątrz.

73

— O rany! — wymamrotał Andy.

Carl spojrział na mnie ze zmarszczonym czołem. Czekaliśmy. Najpierw

dotarły do nas wybuchy śmiechu, potem mlaskanie i głośne jęki.

— Słyszycie?! — ekscytował się Raj.

— Wyluzuj, tylko tak cię podkrecają — powiedział Carl.

— I to z powodzeniem — przyznał Raj. Miranda i Alice pod rękę wróciły do pokoju, ciągle

chichocząc. Miranda uklękła, żeby znów zakręcić butelką.

— Ciekawe, czyja teraz kolej? — zapytała.

— Nie możemy zagrać w coś innego? — spytał Carl. — Jeszcze się wam nie znudziło?

— Skąd, dopiero teraz zaczyna się robić ciekawie — odparła Miranda, puszczając butelkę w ruch. Zakrętka wskazała na Carla.

— O właśnie, teraz ty, Carl. Sprawdźmy jeszcze, z kim...

Zakręciła butelką jeszcze raz. Carl westchnął i odchylił się do tyłu, wyciągając ręce za głowę, tak jakby w ogóle go to nie obchodziło.

Śledziłam ruch butelki za niego, ciekawa, na kogo wypadnie tym razem.

Nie na mnie. Nie na Mirandę. Nie na Alice.

Wypadło na Raja.

— O nie! — zawołał Raj.

— O tak — powiedziała Miranda.

— Oszukujesz! Zrobiłaś to naumyślnie! — oskarżył ją Raj.

— I kto nam teraz psuje zabawę? — wytknęła mu Alice.

74

— Ja — odezwał się Carl i wstał. Wyciągnął do mnie rękę. — Chodź, Sylvie, chyba czas już na nas.

— Oj, Carl, nie bądź takim sztywniakiem! — łagodziła Miranda.

— Wyluzujcie, chłopcy, to przecież tylko zabawa. My to zrobiliśmy —

powiedziała Alice.

— Dobrze, niech będzie, zgoda na mały buziak w policzek, mój mały — powiedział Raj afektowanym głosem, pretensjonalnie wymachując wte i wewte wiotką ręką.

— To nie jest śmieszne, to dziecinada — stwierdził Carl. Spojrzał na mnie.

— Idziesz, Sylvie?

— Tak — powiedziałam, wiedząc, że kiedy raz podejmie decyzję, nie ma sensu się z nim kłócić.

Ale Miranda nie zamierzała ustąpić tak łatwo. Stała obok i popatrzyła na Carla tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczyma.

— Carl, nie odchodź. W porządku, nie musisz całować Raja. Zgadzam się, nie jest najbardziej zachęcającym obiektem.

— No wielkie dzięki! — oburzył się Raj. — Mam swoich amatorów, zapewniam cię. Widocznie nie jestem w jego typie.

— Zagramy w coś innego — kusiła Miranda.

— Mam już dosyć gier — powiedział Carl. — Cześć, Mirando, dzięki za zaproszenie. Cześć wszystkim.

Podniósł rękę na pożegnanie i wyszedł. Bezsilnie wzruszyłam ramionami i poszłam za nim.

Miranda nie pofatygowała się, żeby nas odprowadzić. Schody musieliśmy pokonać po omacku, potykając się w ciemnościach, bo nie udało nam się znaleźć

75

włącznika. W końcu oślepił nas blask bijący z jasno oświetlonego korytarza. Wiszący na ścianie zegar w kształcie gwiazdy wskazywał dopiero dziesiątą czterdzieści.

— Jules nie pojawi się przed jedenastą — zauważyłam.

— W takim razie poczekamy na nią na zewnątrz — powiedział Carl.

Jeszcze raz pogłodził witraż na drzwiach wejściowych i otworzył je.

Na zewnątrz było zimno, a my nie mieliśmy ze sobą kurtek. Zaczęłam się trząść.

— Poskacz trochę w miejscu — poradził mi Carl.

— Nie mogę, kręci mi się w głowie. Myślisz, że jestem pijana?

— Raczej wątpię.

— Carl, o co ci chodzi? — spytałam, wsuwając dłoń pod jego ramię.

— O nic. Wszystko OK.

— To dlaczego wyszedłeś?

— Przecież wiesz. Zaczęło się robić nudno.

— Jakoś ci to nie przeszkadzało, kiedy całowałaś Mirandę. Carl...? Czy ty ją tak poważnie pocałowałaś?

— A jak się całuje niepoważnie?

— No wiesz, czy pocałowałaś ją w usta? Tak naprawdę, romantycznie, jak na filmach?

— Myślałem, że właśnie o to chodziło. A co, Andy cię nie pocałował?

— Nie bardzo. I nikt też nie oczekiwał, że ty i Raj odstawicie scenę miłosną!

— Słuchaj, Raj chodzi do mojej szkoły, nie chcę, żeby zaczął o tym rozpowiadać. Teraz rozumiesz?

76

— Chyba nie — powiedziałam. — Hej, a co to za nowy znajomy?

— Jaki znajomy? — spytał Carl.

— Raj powiedział, że zaprzyjaźniłeś się z jakimś piłkarzem. Nic mi o nim

nie mówiłeś.

— Bo nie ma o czym — odparł Carl i ruszył prosto przed siebie.

Pobiegłam za nim.

— Nie zostawiaj mnie tu samej!

— Nie zostawiam. Chodzę, żeby się rozgrzać — powiedział Carl. Wziął mnie za rękę. — Boże, ale masz zimne ręce. Przepraszam. Spróbujmy coś z tym zrobić. — Ujął moje ręce w obie dłonie i zaczął je rozcierać.

— Dlaczego tak się wściekasz, Carl?

— Nie wściekam się na ciebie, zezłościłi mnie twoi znajomi.

— Ale Miranda ci się spodobała.

— Wcale nie. Jest taka zaborcza, przez cały czas musi być w centrum uwagi. Uważa się za nie wiadomo co, a tak naprawdę jest po prostu żalosna.

— Całuje też żałośnie?

— Nie wiem, nie mam zbyt dużego doświadczenia w tej dziedzinie.

— No tak, ale podobało ci się to?

— Było w porządku. W miarę. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, jakoś specjalnie mnie to nie ruszyło.

— To może dla porównania powinienes pocałować kogoś jeszcze — wymamrotałam.

— Jeszcze czego! Na przykład Raja?!

77

— Nie! — Wzięłam głęboki wdech. Dla kurażu wypłam stanowczo za mało, ale uznałam, że i tak muszę się zdobyć na odwagę. — Na przykład mnie.

Carl złagodniał. Przytrzymał moje ręce, pochylił się nade mną i ucałował...

mój nos.

— Proszę bardzo. Zadowolona?

— Nie wnoś!

— Ale masz bardzo ładny nosek, śliczny, zgrabny i uroczo zadarty.

— Pocałuj mnie jak należy!

— Nie mogę, Syl, to za duże ryzyko. Mogłaby nas zaślepić namiętność i zniszczylibyśmy taką piękną przyjaźń — zażartował.

Głęboko zraniona uwolniłam się z jego uścisku. Dla mnie to nie był temat do żartów. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Carl nie chce mnie pocałować.

— Sylvie? Nie chmurz się tak, proszę. Słuchaj, przepraszam, że zepsułem ci wieczór. Wszyscy oni naprawdę działali mi na nerwy, nie zależy mi na takim towarzystwie. Ale na twoim zależy mi bardzo. Mam pomysł. Może pobawimy się jutro w Szklanię?

— Naprawdę? — zapytałam. — Ostatnio ciągle nie masz ochoty.

— Jutro po południu w Szklanej Altanie. Jesteśmy umówieni?

— No pewnie — powiedziałam.

X

Kiedy Jules punktualnie o jedenastej zastała nas trzymających się za ręce przed domem Mirandy, nie ukrywała zaskoczenia.

— Miałam nadzieję, że będę mogła wejść po was do środka — powiedziała. — Jak tam jest?

— Fantastyczne witraże, czerwony lakierowany stolik projektu Eileen Gray w korytarzu, w kredensie porcelana z pracowni Clarice Cliff...

Byłabyś zachwycona, mamó — odpowiedział Carl.

— A jak Miranda i jej goście? — spytała.

— Znacznie odstają od standardów wnętrza — stwierdził Carl.

— To znaczy jacy są? — zapytała Jules z niepokojem.

— Oj, mamó. Domyślasz się przecież. Zepsuci. Powierzchowni. Bogaci.

— Sylvie, lepiej ty opowiadaj — poprosiła Jules.

79

Spełniłam jej prośbę najlepiej jak umiałam. Mirandę, Alice, Raja i Andy'ego scharakteryzowałam ze szczegółami, przekazałam też Jules ocenzurowaną relację z wydarzeń wieczoru — bez wzmianek o picciu piwa i whisky oraz o seansie gry w butelkę.

Gdy wróciłam do domu, musiałam opowiedzieć to samo jeszcze raz mojej mamie. Ubrana w koszulę nocną siedziała przy komputerze w dużym pokoju i sączyła wino z supermarketu, słuchając jakiejś starej składanki z lat osiemdziesiątych, z piosenkami Blondie, Yazzy i Annie Lennox — była to muzyka, przy której bawiła się dawno temu, kiedy jeszcze chodziła do klubów.

Podeszłam do niej z obawą, bo mama czasem miewa płaczliwe nastroje, lecz ona obdarzyła mnie zaskakująco promiennym uśmiechem i zaczęła wypytywać o przebieg wieczoru. Wyłączyła komputer, ale płyty pozwoliła grać dalej i słuchała mnie, wystukując rytm palcami stóp.

— Wygląda na to, że bardzo miło spędziłaś czas, córeczko. Tak się cieszę — powiedziała w końcu, wstała z miejsca i mocno mnie przytuliła.

Najprawdopodobniej wypiła już więcej niż kieliszek wina, bo trzymając mnie w objęciach, zaczęła się lekko kołysać, a potem zakreśliła mną w kółko i pociągnęła mnie do tańca. Najpierw się trochę wygłupialiśmy, a potem wymyśliłyśmy własny układ taneczny: krok do przodu, krok do tyłu, kołysanie biodrami i obrót. Nasz taniec powtarzałyśmy coraz szybciej

i szybciej, aż całkiem pomyliłyśmy kroki i zaczęłyśmy się śmiać.
Zachowywałyśmy się jak siostry, więc postanowiłam się jej zwierzyć.

80

— Chciałabym być taka jak Miranda — powiedziałam.

— Jest bardzo ładna?

— Nie, nie bardzo, ale zachowuje się tak, jakby była — wyjaśniłam.

— Rozumiem — powiedziała mama.

— I jest bardzo zainteresowana Carlem — dodałam.

— Ojjoj! A co na to Carl? Odwzajemnia jej zainteresowanie? — spytała mama.

— Mówi, że nie. Powiedział nawet, że ona go irytuje. Nazwał ją bogatym biedactwem.

— W takim razie nie masz się czym martwić, głuptasku.

— Niby tak... — Nie mogłam przecież powiedzieć mamie, że Carl pocałował Mirandę, a mnie nie.

— Mniejsza o Carla — stwierdziła mama. — A inni chłopcy? Żaden nie wpadł ci w oko?

Spojrzałam na nią z wyrzutem.

— Mamo! Przecież wiesz, że zależy mi tylko na Carlu.

— Wiem, że wy dwoje jesteście nierozłączni od małego, ale przecież robicie się coraz więksi. Chyba już czas na nowe przyjaźnie?

— Carl jest moim najlepszym przyjacielem i moim chłopakiem, a któregoś dnia się pobierzemy, dobrze o tym wiesz!

— To była tylko dziecinna zabawa. Syl, nie ma sensu planować małżeństwa z Carlem. Nie ma sensu planować małżeństwa z kimkolwiek. Bo i jaki z niego pożytek? — zapytała, pocierając puste miejsce na palcu,

na którym kiedyś nosiła obrączkę. Ale zaraz się do mnie uśmiechnęła. —
Cóż, pożytek z mojego jest

81

taki, że mam ciebie. A więc warto było — dodała i uściskała mnie. —
Chodźmy już spać. Tobie to dobrze, w sobotę możesz się powylegiwać, ale
ja znowu wstaję do tej choleralnej roboty.

Pocałowała mnie na dobranoc i natychmiast spojrzała na mnie
podejrzliwie.

— Piłaś piwo?!

— A ty piłaś wino?

— Ja nie mam trzynastu lat, Panno Impertynentko.

— A ja mam już prawie czternaście.

— Zamierzasz wydać przyjęcie z tej okazji?

— Nie! Wystarczy urodzinowy podwieczorek z Carlem.

Jego urodziny wypadały pierwsze. Prezent miałam już od dawna gotowy,
starannie zapakowany i schowany na dnie mojej szafy z ubraniami. Był to
stary kryształowy kielich do szampana, o nóżce oplecionej zieloną szklaną
gałązką winorośli. Znalazłam go w sklepiku z różnościami, prowadzonym
przez fundację Cancer Research. Nie wiedziałam, czy kielich jest bardzo
stary ani czy ma jakąkolwiek wartość, pomyślałam po prostu, że jest
piękny. Żałowałam tylko, że nie ma pary, bo wtedy Carl i ja moglibyśmy
wznieść w nich toast różowym szampanem w dniu naszego ślubu.

Położyłam się do łóżka i całą noc śniłam o Carlu, ale przez mój sen
przewijali się także Miranda, Raj, Andy i Alice. Butelka wirowała bez
końca i ja też musiałam się chyba kręcić w kółko, tak długo, aż zupełnie
straciłam głowę. Otaczały mnie nieprzeniknione ciemności, nie mogłam

wyczuć rękoma nikogo ani niczego, co pozwoliłoby mi złapać równowagę. Po omacku szukałam

82

Carla, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć. Nie było go przy mnie. Musiał się wymknąć z pokoju.

Kiedy się obudziłam, telefon dzwonił i dzwonił. Było już dobrze po dziesiątej. Na moim nocnym stoliku mama zostawiła dla mnie filiżankę herbaty, która zdążyła całkiem wystygnać. Zbiegłam na dół w piżamie, zastanawiając się, czy to dzwoni Carl — miałam nadzieję, że nie zamierza odwołać naszego spotkania w Szklanej Altanie.

Ale to była tylko Lucy, która umierała z ciekawości, jak się bawiłam na imprezie u Mirandy.

Opowiedziałam jej dokładnie, co się wydarzyło, ciekawa, co o tym wszystkim sądzi. Lucy przerywała mi piskami pełnymi niedowierzania. — Co za krowa z tej Mirandy! — zawołała z emfazą. Nigdy wcześniej Lucy nie była tak blisko użycia przekleństwa. — I pomyśleć, że pocałowała Carla! A on jej tak zwyczajnie pozwolił?!

— To była tylko taka zabawa — wyjaśniłam niepewnie. — Tak dla zgrywy.

— Pchełka, nie bądź głupia, ona próbuje odbić ci Carla! Uch, aż mi się niedobrze robi! Na twoim miejscu nie chciałabym mieć z nią więcej nic wspólnego!

Byłam prawie pewna, że Miranda nie będzie więcej chciała mieć nic wspólnego ze mną po tym, jak wyszłam z jej imprezy. Uznałam, że nie powiem Lucy, że zaoferowała mi, żebym została jej najlepszą przyjaciółką — to by ją tylko jeszcze bardziej rozjuszyło. Lucy zaproponowała,

żebyśmy po południu pochodziły po sklepach, ale jej odmówiłam, tłumacząc, że wybieram się do Carla.

— No tak — powiedziała. — A mogę też przyjść? — zapytała zaraz.

83

Wzięłam głęboki oddech.

— Zamierzamy popracować nad naszą książką.

— Chętnie popracuję z wami. Jestem dobra z angielskiego, zresztą sama wiesz. Ostatnio poważnie myślę o tym, żeby zostać pisarką, jak dorosnę.

Napisałam już całą masę historyjek o moich misiach.

Zamknęłam oczy. Wiedziałam aż za dobrze, jak zareagowałby Carl, gdybym przyprowadziła Lucy i zaproponowała włączenie Billy'ego, Bobby'ego i Berniego w poczet bohaterów Szklanii.

— Nasza książka to sprawa osobista, pracujemy nad nią tylko Carl i ja.

Piszemy ją w altance Carla.

Lucy prychnęła do słuchawki.

— Wypisujecie tam jakieś świństwa czy co? — zapytała.

— Oczywiście, że nie! — zaprzeczyłam ostro.

— A jednak trochę to dziwaczne. Co to za altanka?

— To ogrodowa szopa, w której Carl przechowuje swoje szklane skarby.

— I to też jest chyba trochę dziwne: chłopak, który zbiera szklane figurki!

— Nie tylko figurki. Carl zbiera najróżniejsze przedmioty ze szkła, ma fantastyczną kolekcję.

— No to mi ją pokażcie. Proszę. Zaproś mnie do siebie na popołudnie i zabierz mnie do Carla!

— Nie mogę, Lucy. Carl nie wpuszcza do altany nikogo poza mną.

Ciężko obrażona Lucy odłożyła słuchawkę. Byłam zmartwiona, że

sprawiłam jej przykrość, ale nijak nie mogłam temu zaradzić.

84

Resztę przedpołudnia spędziłam na wymyślaniu nowych epizodów z dziejów Szklanii, żeby zrobić wrażenie na Carlu. Stworzyłam nową postać, księżniczkę Mirandarete, która zamieszkiwała olśniewający pałac ze śniegu. Sportretowałam ją ubraną w czarną aksamitną suknię, białą futrzaną czapę i takiż kołnierz oraz czarne buty na wysokich obcasach ze stali. Zdecydowałam, że jej ulubieńcami będą leopard biały jak śnieg oraz czarny jaguar, a także olbrzymia czarna wrona, która przysiadła na jej ramieniu. Obok księżniczki narysowałam królową Sylvianę. Królowa była władczynią całej Szklanii, toteż przedstawiłam ją w ceremonialnych, purpurowych szatach i koronie z rubinami oraz godnych królowej rubinowych pantofelkach, a jednak przy księżniczce Mirandarete Sylviana wypadła mizernie i blado. Leopard i jaguar księżniczki wyglądali tak, jakby mogli schrupać na śniadanie dwa obdarzone mową syjamskie koty królowej.

Westchnęłam. Pośrodku kartki, pomiędzy księżniczką a królową, dorysowałam króla Carlo. Brakowało mi już miejsca, więc postać Jego Królewskiej Wysokości musiała być bardzo szczupła i pozbawiona niektórych elementów monarszego stroju, takich jak zwyczajowy długi tren z gronostajów. Narysowałam jego kryształową, wysadzaną okrągłymi rubinami koronę i błękitną szarfę na jego piersi; jedwabny garnitur, który swoją biel zawdzięczał bieli kartki, wycieniowałam starannie jasnoszarym pisakiem. U mankietów królewskiej koszuli zabłyśły rubinowe spinki, a na stopach zaśniły szklane buty. Naszkicowałam jego kochaną twarz, duże brązowe oczy, zgrabny mały nos, pięknie wykrojone

delikatne usta. Jego wargi się uśmiechały, ale oczy nie patrzyły w lewo, w moją stronę. Były zwrócone w prawo, ku natrętnej księżniczce.

Nagle chwyciłam czarny pisak i pokryłam gryzmoła-mi cały mój rysunek.

Na obiad zrobiłam sobie tosta z serem. Wiedziałam, że Jules nie miałyby nic przeciwko temu, żebym do nich wpadła i zjadła razem z nimi, ale Carl umówił się ze mną wyraźnie na popołudnie, a nie chciałam, żeby pomyślał, że mu się narzucam. Próbowałam rozpracować jego definicję popołudnia. Podejrzewałam, że miał na myśli godzinę trzecią, ale nie byłam w stanie wysiedzieć spokojnie dłużej niż do drugiej.

Wyszłam tylnymi drzwiami do naszego ogrodu. Właściwie nie był to już ogród, tylko nieużytek. Mama dawno temu przestała kosić w nim trawę, sadzić nowe rośliny i wyrywać chwasty.

— Muszę się skupić na kwestiach priorytetowych — usprawiedliwiała się. Pierwszego lata po wyprowadzce mojego ojca nasz trawnik kilkakrotnie skosił tata Carla, ale później zarzucił tę praktykę, a mama była zbyt dumna, żeby go o to poprosić. Potem przez jakiś czas wynajmowałyśmy pokój studentom, którzy parę razy próbowali kosić trawę, ale prowadzenie kosiarki po linii prostej najwyraźniej przekraczało ich możliwości. Kiedyś mama przyłapała ich na braniu narkotyków i wypowiedziała im mieszkanie, z obawy, że mnie zdemoralizują i wszyscy trafimy do kryminału.

Panna Miles pasjami lubi się bawić w ogrodniczkę, posadziła tu i ówdzie kilka bratków, ale do koszenia

trawy nie ma dosyć siły. A mama w ogóle chciałyby się pozbyć trawy —

marzy o ogrodzie w stylu japońskim, wyłożonym gładkimi szarymi kamykami, pomiędzy których wyrastają ozdobne krzewy.

— Kiedyś, gdy będę wreszcie miała dosyć czasu i pieniędzy... — mawia mama. — Kiedyś, kiedyś... gdy świny zaczną trzepotać swoimi skrzydełkami i wzbiją się w powietrze, aż im zamajtają raciczki...

Postanowiłam, że kiedy Carl i ja opublikujemy Kroniki Szklanii i zbijemy na nich fortunę, urządzę dla niej ten wymarzony ogród. Kupię też mamie wyszywane kimono, specjalnie do ogrodu. Będzie mogła sobie leżeć na futonie, czytać haiku i popijać zieloną herbatę...

Przez kępy dorodnych pokrzyw, ogóreczników i mleczy dobrnęłam do bramy w drewnianym płocie, znajdującej się na drugim końcu ogrodu.

Przeszłam przez nią do kolorowego, pełnego kwiatów ogrodu Johnsonów i skierowałam się do Szklanej Altany. Zastukałam do drzwi naszym specjalnym kodem, ale nie usłyszałam odpowiedzi.

Odczekałam minutę. Mogłam pójść po Carla do domu — albo wejść do Szklanej Altany i tam na niego poczekać. Carl nigdy mi nie powiedział, że nie chce, żebym tam zaglądała pod jego nieobecność. Nie musiał. Była to przestrzeń dużo bardziej prywatna niż jego własny pokój, bywałam tam tylko na jego zaproszenie.

Wiedziałam, że powinnam na niego poczekać, ale aż świerzbila mnie ręka. Wyciągnęła się jakby niezależnie ode mnie, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Nie włączyłam światła.

Przez witraże w oknach do wnętrza altany sączył się czerwony, niebieski i zielony poblask, oswajający półmrok. Spojrzałam na równe rzędkie szklanych eksponatów. Wyciągnęłam rękę i delikatnie pogłaskałam palcem

gładkie włosy Szklanego Chłopca. Podniosłam szklany kielich i udałam, że upijam z niego łyk. Obejrzałam jeden po drugim przyciski do papieru, zaglądając do ich szklanych światów. Ręka lekko mi drżała, ale byłam bardzo uważna.

Dotknęłam — na szczęście — każdego ze szklanych skarbów Carla i zdjęłam z półki wielką księgę z Kronikami Szklanii. Usiadłam po turecku na kanapie z naszym dziełem na kolanach i zaczęłam przerzucać kartki. Kroniki Szklanii prowadzimy w starej księdze rachunkowej o marmurkowych okładkach, która jest taka ciężka, że trzeba ją trzymać oburącz. Wkleiliśmy

88

do niej tyle rysunków i szkiców, dopisków i aneksów, że strony zrobiły się sztywne jak wykrochmalone prześcieradła, co dodatkowo utrudnia lekturę. Początkowe rozdziały to dość dziwaczny miszmasz. Wyjątkowo dziecinnemu wstępowi mojego autorstwa towarzyszy mnóstwo bardzo kiepskich rysunków, przedstawiających mieszkańców Szklanii, którzy stoją rzędem jeden obok drugiego i uśmiechają się tym samym uśmiechem od ucha do ucha, trzepoczą długimi rzęsami i wszyscy patrzą w lewo, bo w tym właśnie czasie nauczyłam się rysować twarze z półprofilu i byłam bardzo dumna ze swoich plastycznych osiągnięć. Również stopy wszystkich postaci są zwrócone w lewo, ponieważ jeszcze wtedy nie umiałam rysować stóp ustawionych na wprost. Moi bohaterowie wyglądają jak dziwnie poprzebierani tancerze rewii, którzy zaraz zaczną tańczyć kankana.

Do mojego wstępu Carl dołączył także kilka własnych rysunków — są to bardzo staranne ilustracje przedstawiające produkcję weneckiego szkła.

Carl jest też autorem historii Szklanii od jej prapoczątków, kiedy to antyczni Szklarzycy wzniesli tam pierwsze kryształowe pałace, bajecznie później ozdobione przez Szklawenecjan, którzy wyposażyli je we wspaniałe żyrandole, lustra i olbrzymie serwantki, pełne mieniących się wszystkimi barwami kryształowych dzbanów, mis, salaterek, czarek, talerzy, lichtarzy i najrozmaitszych kielichów misternej roboty.

Wydałam edykt, że w Szklanii określonym trunkom odpowiada określony kolor kielichów, z których należy je pić: białe wino można podawać tylko w bezbarwnym

89

kryształach, czerwone — w szkle rubinowym, likier blue curacao — w szkle barwionym na niebiesko, likier cassis — w fioletowym, miętowy — w zielonym, a whisky — w kielichach bursztynowej barwy. Nie poskapiłam też czasu na wymyślanie potraw dopasowanych kolorem do kryształowych talerzy. Miseczki z kolorowego szkła millefiori miały na przykład służyć do podawania wielobarwnych owocowych cukiereczków.

Opowieści ze Szklanii w obecnym kształcie zaczęliśmy spisywać, kiedy mieliśmy po dziewięć albo dziesięć lat. To z tamtych czasów pochodzą pierwsze wpisy do Kronik Szklanii, które stopniowo rozwinęły się w sagę o królewskim rodzie, znaczną datami urodzin, ślubów i licznych śmierci. Bohaterowie Kronik chadzali na wojny, odpierali najazdy wrogów i tłumili rewolucje robotników zatrudnionych w wielkich hutach szkła. Podczas szklanej epoki lodowcowej trzęśli się z zimna nawet w szatach z gronostajów i bardzo się przestraszyli, kiedy wskutek uderzenia pioruna podczas gwałtownej burzy Kryształowy Pałac pękł na pół od sklepienia po fundamenty.

Oboje z Carlem wymyślaliśmy te historie na gorąco i od razu je odgrywaliśmy, w twórczym rozgorączkowaniu wchodząc sobie nawzajem w słowo; staraliśmy się zapisać wszystko jak najszybciej i gryzmoliliśmy, aż bolały nas ręce. Przepadaliliśmy w Szklanej Altanie na całe godziny, lecz nigdy nie zauważaliśmy upływu czasu.

Wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy Carl poszedł do nowej szkoły. Tyle mu tam zadają, że nie ma już czasu

90

ha wymyślanie nowych dziejów Szklanii — a kiedy ma czas, nie ma na to ochoty.

Byłam ciekawa, czy Carl robi może jakieś notatki. Z nadzieją rozejrzałam się po altance. Na półce stały dwa czarne zeszyty, ale oba były bez reszty poświęcone szkłu: w pierwszym znalazłam opisy szklanych wyrobów zgromadzonych w Muzeum Wiktorii i Alberta, ulubionym muzeum Carla, a w drugim — kolorowe akwarele przedstawiające okienne witraże z obszaru całej Wielkiej Brytanii. Wetknięty za nie, na półce chował się czarny kwadratowy szkicownik. Przekartkowałam go z uśmiechem. Były w nim kopie prerafaelic-kich witraży, wykonane kolorowymi pisakami rysunki prac Dale'a Chihuly'ego, wystawionych w Muzeum Wiktorii i Alberta, a także delikatne ołówkowe szkice szklanych rzeźb René Lalique'a z muzeum w Brighton. Po nich następowało kilka pustych stron, a za nimi, prawie na samym końcu zeszytu, odkryłam projekty Carla. Były to szkice Szklanego Chłopca w różnych pozach — Carl narysował go stojącego na palcach, przeciągającego się, siedzącego, szybującego w powietrzu na wibrujących szklanych skrzydłach. Z każdym kolejnym rysunkiem Szklany Chłopiec nabierał życia. Tutaj biegł sprężystymi

susami, z oczyma zmrużonymi od wiatru, widać było energiczną pracę jego ramion. Tu, z odstawioną w tył nogą, przymierzał się do kopnięcia niewidzialnej piłki. Na tym rysunku podskakiwał z radości, boksując pięścią powietrze w geście triumfu.

Z trzaskiem zamknęłam szkicownik i odłożyłam na jego sekretne miejsce za dwoma zeszytami, pod tym samym co poprzednio kątem.

91

Zaczęłam myśleć o szklanej dziewczynie i przybrałam kilka wystudiowanych póz. Czy Carl byłby skłonny mnie narysować, czy raczej by mnie wyśmiał? Pewnie. zbyłby mnie żartem, tak samo jak poprzednio, kiedy pocałował mnie w nos.

Dlaczego nie pocałował mnie jak należy? Nagle naszła mnie myśl, że może mam ohydny, nieświeży oddech, i wpadłam w panikę. Co prawda Andy nie cofnął się z wyrazem obrzydzenia na twarzy, ale przecież mógł mnie pocałować z heroiczej grzeczności! Zakryłam usta dłonią i chuchnęłam — nic nie wyczulam, lecz nie uspokoiło to moich obaw.

Może nie w tym rzecz, że ohydnie czuć mi z ust — może ja po prostu wyglądam ohydnie? Ostatnio zepsuła mi się trochę cera, ale staram się to jak najstaranniej maskować. Wciąż wyglądam żenująco smarkato jak na mój wiek, choć na szczęście w odpowiednich miejscach zaczynam się już odrobinę zaokrąglać — tak, odrobinę to najwłaściwsze słowo. Przy Mirandzie wyglądam, jakbym była niedożywiona albo niedorozwinięta. Czy Carl ukrywa przede mną, że ona mu się podoba? Jestem przecież jego dziewczyną, prawda? No to dlaczego ja mu się nie podobam? Może powinnam go zapytać prosto z mostu? W końcu to nic takiego. Jest moim najlepszym przyjacielem, rodzony brat nie byłby mi bliższy. To dlaczego

tak się tego obawiam, czemu tak się wstydzę?

Carl zjawił się w Szklanej Altanie pół godziny później.

— Cześć, Sylvie — powiedział, nie okazując żadnego zdziwienia ani złości, że wtargnęłam do jego samotni.

92

Miał na sobie biały T-shirt, niebieskie dżinsy i białe adidas, swój zwykły strój, w którym widziałam go już dziesiątki razy, ale dziś wydawał mi się jakiś odmieniony, wyglądał naprawdę świetnie. Patrzyłam na jego gładką, brzoskwiową cerę, nieduże zagłębienie u nasady szyi, mięśnie zarysowujące się na ramionach, płaski brzuch, opięty plecionym skórzanym paskiem.

— Syl, posuń się kawałek — powiedział, trącając mnie lekko stopą w adidasie.

Poczułam jego chłopięcy zapach, przywodzący na myśl gorące tosty, ale dziś była w nim jeszcze jakaś nieznana mi, ostra cytrusowa nuta. Kilka razy wciągnęłam powietrze nosem.

— Złapałaś katar? — zapytał Carl. Otworzył Kroniki Szklanii i przerzucił kilka pierwszych kartek.

— Co to za zapach?

Carl też zrobił wdech przez nos.

— Twój szampon?

— Nie, to nie ja, to ty tak pachniesz. — Przysunęłam się do niego bliżej.

— Na pewno.

— Chcesz powiedzieć, że mnie czuć? — zaniepokoił się Carl.

— Nie. To znaczy tak, ale przyjemnie. Jakby perfumami.

— Nie używam perfum! Wypróbowałam tylko kropelkę płynu po goleniu

Jake'a — wyjaśnił mi Carl.

Spojrzałam na jego gładką skórę.

— Przecież się nie golisz!

— Ale to jeszcze nie znaczy, że nie mogę ładnie pachnieć — stwierdził Carl. — Ty się czasami perfumujesz.

93

Jeden jedyny raz skropiłam się ukradkiem francuskimi perfumami mamy, które były już zresztą stare i zwietrzałe — dostała je od ojca na urodziny dawno, dawno temu. Flakon kurzył się na jej toalecie całymi latami.

Próbowałam je zużyć, tak żeby ładna kryształowa buteleczka mogła trafić do kolekcji Carla, ale mama wpadła we wściekłość, a Carl narzekał, że ten zapach wyciska mu łzy z oczu i kręci w nosie.

Woda po goleniu najwyraźniej go nie uczulała. Zaczęłam się zastanawiać, czy użył jej specjalnie dla mnie, i serce zabiło mi mocniej.

— Podoba mi się ten zapach — powiedziałam szybko. — Pachnie dużo ładniej na tobie niż na Jake'u.

Carl uśmiechnął się do mnie i wrócił do wertowania Kronik.

— Myślisz, że król Carlo i królowa Syhdana używają perfum? — zapytał.

— Latem w czasie Wielkiego Fetoru, kiedy w Szklanii wysiadła szklawiktoriańska kanalizacja, na pewno byli zmuszeni zlewać się pachnidłami i chować swoje królewskie nosy w jedwabnych chusteczkach...

— Z pewnością, a wszystko przez to, że przez wlot do studzienki ściekowej do kanałów dostał się wraży szpieg i wysadził główny zbiornik z nieczystościami. Fekalia zalały połowę powierzchni kraju i całą rodzinę królewską trzeba było nosić w lektykach, aby nie po-kalać monarszych stóp. Poza tym z cuchnących kanałów wychynęły olbrzymie szczury i

Szklanię dotknęła prawdziwa plaga: szczury były wszędzie, rzucały się na niemowlęta, gnieździły w spiżarniach, nocą przebiegały po twarzach śpiących ludzi. W tej sytuacji królowa

94

Sykiana poleciła swoim wspaniałym syjamskim kotom wytępić ohydne gryzonie...

— Lecz one okazały się do tego zupełnie niezdolne, bo to były rozpieszczone koty pokojowe. Na widok szczurów tchórzyły i chowały się za aksamitną kanapą królowej, miaucząc żałośnie. Nie, tu potrzebny był prawdziwy szczurołap, najlepiej prosto z Hameln. Król Carlo zauważył go przez okno — szczurołap nadchodził beztroskim krokiem od strony pałacowych ogrodów. Jego pstrokata peleryna wlokła się po cuchnącym błocie, a mimo to pozostała czysta; co dziwniejsze, nieczystości nie miały się także jego szykownych trzewików nie od pary. W swoim czerwono-żółtym stroju szczurołap wyglądał jak nie przymierzając piłkarz. I rzeczywiście, kiedy na pobliskiej grządce zobaczył hodowane na konkurs, dorodne królewskie dynie, nie mógł się powstrzymać przed kopnięciem jednej z nich. Ruszył za nią jak wiatr, zręcznie dryblując na ścieżce wysypanej rubinowym żwirem i ani na chwilę nie przestając grać na fujarce. Królowa SyMana także wyjrzała na podwórzec, rozchyliwszy aksamitne zasłony. Na widok pięknej twarzy szczurołapa, jego szerokich ramion i długich, umięśnionych nóg obleczonych w pstrokate rajtuzy zabrakło jej tchu w piersi...

— Nie, wcale nie! Była tylko ciekawa, kim jest ten dziwacznie odziany szaleniec. Czerwony i żółty to niezbyt szczęśliwe połączenie. I jak on śmiał zerwać królewską dynię! Królowa zażądała ukarania tego im-

pertynenckiego intruza. Został wtrącony do lochu...

— Co przyjął ze wzruszeniem ramion i nie stawiał najmniejszego oporu, widząc, że królowa SyMana jest

95

najwyraźniej niepoczytalna. Czyżby to było chwilowe zaćmienie umysłu pod wpływem jego fizycznego uroku? Niewykluczone. Tak więc szczurołap siedział w lochu o chlebie i wodzie, miał jednak ze sobą dynię i zabijał czas, wydłubując z niej miąższ przy użyciu fujarki. Miąższem tym urozmaicał swą ubogą dietę. Tymczasem inwazja szczurów przybierała na sile, także w jego lochu żółte szczurze zębiska błyskały w świetle mizernego ogarka świecy. Wystarczyło jednak, że szczurołap zagrał osiem taktów pewnej uwodliwej melodii, a szczury zaczynały się zachowywać jak zahipnotyzowane. Dźwięk fujarki napełniał szczurze serduszka nieznaną nostalgią, biedne gryzonie zatrzymywały się bez ruchu i tylko zgrzytały ze zgryzoty. Król Carlo osobiście odwiedził tajemniczego więźnia i naocznie przekonał się o jego mocy. Uwolnił go natychmiast i przykazał mu, aby obszedł miasto dookoła, grając na fujarce, i zahipnotyzował wszystkie szczury w okolicy. Szczurołapowi wystarczyło jedno okrążenie, żeby to uczynić; następnie wyprowadził szczury wys-o-o-o-ko na sam szczyt Góry Ognistej, budzącego grozę szkłań-skiego wulkanu, gdzie gryzonie zaczęły się miotać jak szalone, bo rozpalona skorupa z lawy parzyła je w łapki. Szybkonogi szczurołap ledwie dotykał stopami ziemi, nie poniósł więc najmniejszego uszczerbku. Cały i zdrowy zbliżył się zamaszystym krokiem do samej krawędzi rozżarzonego piekła, ciągle wygrywając na fujarce swą jakże sugestywną melodię, a wszystkie

szczury pobiegły za nim i skłębioną, popiskującą masą runęły pr-o-o-o-sto w ogień i co do jednego spłonęły żywcem. Tym sposobem ogólny fetor panujący

96

w Szklanii tylko się wzmógł, bo dołączył do niego straszliwy swąd spalonego szczurzego mięsa, i w obliczu tego smrodliwego problemu postanowiono, że... Spojrzał na mnie.

— No dalej, Sylvie, opowiadam już i opowiadam. Teraz twoja kolej.

Westchnęłam, próbując coś wymyślić. Tak naprawdę wcale nie miałam ochoty ciągnąć tej opowieści. Czułam się zahipnotyzowana jak te biedne szczury. Carl już od dawna nie był tak pomysłowy, tak podekscytowany, tak bez reszty pochłonięty sprawami Szklanii. Wcześniej marzyłam o tym, żeby znów traktował naszą zabawę poważnie, jak wtedy, kiedy byliśmy mali, ale teraz nie byłam już taka pewna, czy naprawdę tego chcę. Zwykle to ja miałam lepsze pomysły, to ja wymyślałam nowe postacie, to ja planowałam zwroty akcji. Teraz czułam się zbędna, zaskoczona, zepchnięta na boczny tor. Nie potrafiłam przeniknąć do tej opowieści. Siedziałam w ogrodowej szopie i trzymałam w ręce szklany przycisk do papieru, podczas gdy Carl bawił w Szklanii razem z królem i tym irytującym szczurołapem, który wyraźnie triumfował, oczarowawszy wszystkich swoim dziwnym ubiorem i ordynarną melodyjką. Chciałam, żeby zniknął z mojego królestwa.

— Królowa SyMana, niesłusznie uznana za szaloną i nieogłędą decyzją króla skazana na odosobnienie w swojej komnacie, bynajmniej nie próżnowała. Od pierwszej chwili czuła, że szczurołap jest niebezpiecznym czarnoksiężnikiem. Rzucił czar nie tylko na szczury, lecz także na dzieci,

kobiety i mężczyzn, w tym na samego króla. To on zlecił szpiegowi zniszczenie

97

systemu kanalizacyjnego Szklanii. Wszystko to stanowiło część nikczemnej intrygi, której celem było zjednanie sobie przychylności w kręgach zbliżonych do króla, po to, by w odpowiednim momencie sięgnąć po władzę.

— Co za bzdury! — przerwał mi Carl. — Wszystko psujesz!

— Chwileczkę, teraz moja kolej, ty już opowiadałeś i opowiadałeś.

Niczego nie psuję. Poczekaj na dalszy rozwój akcji. Otóż królowa Sylviana przewracała się niespokojnie z boku na bok w swej jedwabnej pościeli z łabędziego puchu, zastanawiając się, co teraz począć. Jej własna magiczna moc osłabła, gdyż królowa, jak zawsze wtedy, gdy wiedziała, że jest w niełasce u króla, popadła w straszliwą depresję. Zaczęła myśleć o wszystkich kobietach świata, które posiadały moc wystarczająco potężną, by pokonać czarnoksiężnika jego własną bronią. Spojrzała w swoje czarodziejskie kryształowe zwierciadło, a jego fasetki rzuciły tęczowe błyski na jej twarz. Olśniona królowa zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, w zwierciadle zamiast własnego odbicia ujrzała pełną, lecz urodziwą twarz czarodziejki o kruczych włosach, księżniczki Mirandarette, przyrządzającej magiczne eliksiry w swoim lodowym pałacu w Śnieżnym Stepie. Królowa Sylviana zadrżała, wiedziała bowiem, do czego zdolna jest Mirandarette. Wśród czarodziejek księżniczka wyróżniała się bezwzględnością, miłosierdzia zaś nie okazywała nigdy, ponieważ w jej sercu tkwił okruch lodu. A jednak była teraz jedyną nadzieją Sylviany. Królowa Sylviana zebrała wszystkie swoje magiczne siły i wysłała w

przestrzeń telepatyczne wezwanie dla Mirandarette. Księżniczka tylko się uśmiechnęła.

98

Przywdziała swą białą, futrzaną szubę, przywołała sanie zaprzężone w renifery i z szybkością przekraczającą prędkość światła pomknęła po wieczornym niebie prosto do Szklanii. Kiedy jej sanie dotarły nad udręczone brudem i smrodem miasto, renifery aż odwróciły swe obciążone porożami głowy i ciągle unosząc się w powietrzu, zaczęły drobić w miejscu, byle nie wylądować na tak zanieczyszczonym terenie.

Księżniczka Mirandarette uniosła jednak swe zdobne kamieniami księżycowymi berło i trzykrotnie nim skinęła, a wtedy natychmiast zaczął padać gęsty śnieg, który zasypał prawie całą Szklanię. Wkrótce spod śnieżnej pokrywy wystawały tylko najwyższe iglice i pinakle. Jej berło zaśniło jeszcze raz, księżniczka zatoczyła nim obszerne koło i nagle temperatura spadła tak gwałtownie, że nawet skóra samej Mirandarette, ubranej w puszyste futro, przybrała widmowy, błękitny odcień. Chwilę później jej ramię wystrzeliło w górę i wezwało słońce, śnieg stopniał niemal natychmiast, zabierając ze sobą nieczystości i cały fetor. Szklania została tak cudownie oczyszczona, że aż lśniła w słonecznym blasku. Także księżniczka Mirandarette promieniała, od całej jej postaci było niezwykle światło. Król Carlo wyszedł ze swego pałacu, zadziwiony, komu udało się dokonać tego cudu, i ujrzał Mirandarette w całej jej krasie. Oczarowany jej urodą...

— Nie, to nieprawda! — przerwał mi Carl.

— Ależ owszem, oczarowany jej urodą, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, chociaż utrzymywał, że jest mu zupełnie obojętna. Nawet jej

należycie nie podziękował...

99

— Bzdura! Sylvie, zamknij już dziób!

— Nie, to nie żadna bzdura, to bardzo piękna historia. Słuchaj dalej, bo mam pewien pomysł, jak rozwiązać tę intrygę...

— Nie słucham! — bronił się dziecinnie Carl, zakrywając uszy rękoma.

— Słuchaj! — Chwyciłam go za ręce i odciągnęłam je na bok. Chętnie snułabym dalej moją opowieść, ale w tej sytuacji musiałam ją znacznie skrócić. — Król Carlo pokochał księżniczkę Mirandarete tylko dlatego, że rzuciła na niego czar. To nie była jego wina! Jednak wkrótce potem księżniczka spotkała szczurołapa, który znów grał na swojej fujarce, i wtedy to ona padła ofiarą potężnego uroku. Mirandarete poszła za szczurołapem tak samo bezwolnie jak te okropne szczury, a on wprowadził ją do krainy, z której przybył. Oboje opuścili Szklanię już na zawsze, a król Carlo i królowa Sylviana odetchnęli chłodnym i czystym powietrzem i popatrzyli sobie głęboko w oczy, wszystkie złe czary przysły, król i królowa odnowili przysięgę małżeńską i żyli długo i szczęśliwie — wyrzuciłam z siebie, ciągle trzymając Carla za ręce.

I zamilkłam. Carl także milczał. Patrzyliśmy na siebie. My też spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. To był idealny moment. Czekałam. I czekałam, i czekałam — ale Carl nie pochylił się ku mnie i nie pocałował mnie. Przeniósł wzrok ponad moim ramieniem i patrzył za mnie, na Szklanego Chłopca stojącego na półce.

W poniedziałek Lucy nadal była naburmuszona, za to Miranda zachowywała się nadspodziewanie poufale. Podczas przerwy obiadowej podbiegła i wyściskała mnie, jakbyśmy się od wieków przyjaźniły.

— Cześć, Sylvie — powiedziała. — A może byśmy tak gdzieś sobie wyskoczyły? Chyba jeszcze nic nie jadłaś? Może wymkniemy się przez tylną bramę i zjemy frytki na mieście?

Opuszczanie terenu szkoły w czasie przerw było surowo zabronione, a ja zazwyczaj byłam karną i potulną uczennicą — a jednak kiwnęłam głową na znak zgody. Próbowałam udawać, że to dla mnie nic wielkiego, ale serce waliło mi jak młotem, kiedy wyslizgnęłyśmy się ze stołówki kuchennym wyjściem, ostrożnie przemknęłyśmy obok dostawczej furgonetki i wybiegłyśmy na zewnątrz przez bramę dla obsługi.

Ruszyłyśmy pędem, pomknęłyśmy aż do końca ulicy

101

i zatrzymałyśmy się dopiero za rogiem, wybuchając śmiechem.

— No i proszę! Wiedziałaś, że to będzie łatwizna! — triumfowała Miranda. — Znajdźmy teraz jakiś bar z frytkami.

— Nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

— Nigdy — uśmiechnęła się Miranda. — Wywierasz na mnie zły wpływ, Sylvie, to oczywiste. Tylko patrzeć, jak sprowadzisz mnie na złą drogę.

— Jasne, bo jestem zepsuta do szpiku kości — powiedziałam.

— Jesteś, jesteś! Niby kto się obściskiwał z moim chłopakiem w piątek wieczorem?

— Słucham?!

— Kiedy wyszliście, Andy nadawał o tobie bez końca. Naprawdę wpadłaś mu w oko.

— Bzdura! Poza tym Andy nie jest twoim chłopakiem. To raczej ty obściskiwałaś się z m o i m! — Przełknęłam ślinę. — Naprawdę się całowaliście?

Spojrzała na mnie uważnie.

— Chyba nie zrobiło ci to wielkiej różnicy, co? To była tylko taka zabawa. Nie chciałam nikogo urazić. Czasem mnie trochę ponosi, ciągle przeginam. Kiedy Carl wyszedł, myślałam, że zaraz się potnę. Przecież chciałam, żeby było wesoło!

— Aha — mruknęłam bez przekonania.

— Carl chyba nie jest na mnie wściekły, co? Wzruszyłam ramionami.

— Jesteś szczęściarą, że masz takiego chłopaka. Carl jest taki inteligentny! Faceci są najczęściej niewiarygodnie prymitywni, tylko by się wygłupiali.

Andy i Raj

102

są raczej w porządku, ale i tak działają mi na nerwy. Kiedy wyszliście, zorganizowali konkurs puszczenia bąków, wyobrażasz sobie?! Cieszyłam się, że już was nie ma. To było obrzydliwe! Alice i ja zostawiłyśmy ich samych i poszłyśmy do mnie na górę posłuchać muzyki. Alice trochę sobie potańczyła — ma obsesję na punkcie teledysków, ogląda je na okrągło i wyspecjalizowała się w różnych układach tanecznych. Nieuleczalny przypadek. Należy do grona moich absolutnie najlepszych przyjaciółek na śmierć i życie, ale czasami mnie wkurza. Czy to nie okropne?

— Chyba nie. Moja przyjaciółka też mi czasem działa na nerwy — powiedziałam pod nosem. Czułam się okropnie nielojalna względem Lucy, ale taka była prawda.

— Bardzo często wkurzam samą siebie — ciągnęła Miranda. — Sylvie, ciebie też wkurzam?

— Nic a nic — zełgałam grzecznie.

— Ale Carla na pewno tak — drążyła. Zwlekałam z odpowiedzią.

— Wszystko jasne — westchnęła. — Wiem, wiem. Dla większości facetów mam zbyt dominującą osobowość, to musi razić natury tak skomplikowane jak Carl. Tak bym chciała umieć po prostu być! Ale nie, ja zawsze muszę się popisywać i nadawać ton.

— Co ci świetnie wychodzi i dobrze o tym wiesz! Skrzywiła się.

— Coś ty, to mi wychodzi tylko z ludźmi, na których mi nie zależy.

— Jak na przykład ze mną — zauważyłam. — To znaczy, że nie zależy ci na moim towarzystwie, tak?

103

— Nie, nie, nie — zaprzeczyła Miranda. — Od początku mnie intrygowałaś. Trzymasz się z tą rozchichotaną gąską Lucy, ale od razu widać, że jesteście zupełnie różne. W przerwach obiadowych snujesz się zatopiona we własnych myślach, z tajemniczym wyrazem twarzy, i aż podskakujesz, kiedy do ciebie zagadać, tak jakbyś przebywała w zupełnie innym świecie.

— W Szklanii — wyrwało mi się. Zaraz zakryłam usta ręką.

— Gdzie?

— Nie, nigdzie.

— Hej, powiedz mi. Gdzie? Powiedziałaś „w Szklanii”? Czy ma to jakiś związek z tą historią, którą wymyśliliście razem z Carlem?

— Za dużo kombinujesz, Miranda, przestań!

— Czy Szklania jest podobna do Szklanego Miasta? No wiesz, tego, o którym w dzieciństwie pisało rodzeństwo Bronte?

— A to nie były siostry Bronte, Charlotte i Emily? Autorki tych strasznie grubych wiktoriańskich powieści?

— Właśnie one. Same wcale nie były strasznie grube, były to trzy wiotkie,

eteryczne siostry i miały jeszcze brata, bez którego na dobrą sprawę mogłyby się obejść. Nie czytałaś Dziwnych losów Jane Eyre? O właśnie, wiedziałam, przecież przypominasz mi Jane, tę nieprzewidywalną, pełną temperamentu ma-rzycielkę. Musisz to koniecznie przeczytać, Sylvie, i Wichrowe Wzgórza też. Ta powieść ma po prostu niesamowity początek — a także koniec, tylko środek jest niepotrzebnie taki zapętlony.

104

— Czy obie nie są przypadkiem długie i trudne? To przecież klasyka.

— No tak, ale zarazem wspaniałe, niezwykle dramatyczne historie miłosne — to się nie wyklucza. Spodobają ci się, zobaczysz. A jak się wciągniesz,

zacznesz czytać o rodzeństwie Bronte, o ponurej plebanii na

wrzosowiskach Yorkshire, gdzie mieszkało, i o dwóch wymyślonych

światach, Szklanym Mieście i Angrii, o których w dzieciństwie pisało

drobnym maczkiem miniaturowe książeczki. Zawsze wyobrażałam sobie,

jak świetnie byłoby mieć taką rodzinę, z którą można by wymyślać różne

rzeczy. Kiedy byłam mała, uwielbiałam się bawić w udawanie i

zaprzyjaźnione dzieci też do tego nakłaniałam, ale zgadzały się wyłącznie

pod przymusem. Wszystkie uważały mnie za straszną dziwaczkę.

Szczęście, że was poznałam, teraz we trójkę możemy założyć Klub

Dziwolągów! Opowiedz mi wszystko o tej Szklanii.

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę! To nasz sekret od najdawniejszych czasów. Carl chyba by mnie zabił, gdybym się wygadała.

Obawiałam się, że Miranda się na mnie obrazi, ale ona tylko wzruszyła ramionami i wybuchnęła śmiechem.

— Dobrze już, dobrze, ale wymyślić mój własny świat chyba mi wolno?

Mali Bronte bawili się w Szklane Miasto i Angrię, a moja kraina będzie się

nazywała Sangria, tak jak ten hiszpański poncz — w zeszłym roku w Madrycie piliśmy go całymi litrami.

— Ty też?!

— Ja wypiałam kieliszek, niech ci będzie. Ale moi rodzice zwyczajnie gasili nim pragnienie. No więc

105

w Sangrii fontanny będą tryskać czerwonym winem, mieszkańcy będą wyluzowani i skłonni do tańców i swawoli, będzie tam wiecznie trwało bardzo upalne lato, a sama Sangria będzie wyspą, tak żeby w każdej chwili można było pójść sobie popływać w ciepłym morzu razem z delfinami — o właśnie, będzie można pływać z delfinami, z którymi będę się porozumiewała w ich własnym języku, o tak. — I zaprezentowała mi serię pisków i mlasków, machając przy tym rękoma, które miały udawać płetwy. — Dobrze mi idzie, co? Jak już ci się w końcu znudzi bunkrowanie w tej twojej Szklanii, wpadnij do mnie z wizytą.

— Z przyjemnością — powiedziałam. — Pod warunkiem, że będę miała swojego oswojonego delfina.

— Mówisz — masz! Podaruję ci także twoją własną oswojoną piranię, która na próby głaskania będzie reagować pieszczotliwym podskubywaniem. Osobiście wepnę ci we włosy ozdoby z pereł i naturalnych koralii i przewiążę je aksamitną zieloną wstążką z wodorostów. Sprezentuję ci aksamitną wieczorową suknię w odcieniu morskiego błękitu, zapinaną na guziki z prawdziwych pereł, i będziemy popijać sangrię z zielonych kielichów...

— Wykonanych w Szklanii — wtrąciłam się. — To będzie mój dar dla ciebie.

— A ponieważ jesteś bardzo dobrze wychowana, po kilku tygodniach spędzonych u mnie, w tak wspaniałej gościnie, będziesz musiała mi się zrewanżować zaproszeniem do twojego... szklanego domu?

— Raczej pałacu — sprostowałam. — Tak naprawdę byłaś już w Szklanii. Twoją wizytę opisałam w Kronikach.

106

Miranda aż przystanęła na środku chodnika.

— Naprawdę? A byłam wtedy sobą czy postacią fikcyjną?

— W zasadzie i jedno, i drugie.

— Co niby mam przez to rozumieć?

— Mówiłam ci już, że to tajemnica, Miranda.

— Hej, tak się nie robi! Nie możesz tak po prostu wykorzystać mnie jako bohaterki swojej historii, a potem odmówić mi podania jakichkolwiek szczegółów! Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć? Zrobiłaś ze mnie czarny charakter? Opisałaś mnie jako Mirandę Maniacką Wiedźmę, z brodawkami na nosie i czarną szczecina na brodzie? Przyznaj się! Sama dobrze wiem, że jestem zwichrowana.

— I niezbyt domyślna na dodatek. Nie jesteś żadną maniaczką ani wiedźmą, jesteś księżniczką Miranda-rette, słynną czarodziejką.

— Cudnie! A kogo udaje mi się oczarować? Może Carla?

— W żadnym wypadku. Carl jest królem i został poślubiony mnie — wyjaśniłam.

— To niesprawiedliwe! Nie dość, że masz Carla na wyłączność w realu, to sytuacja powtarza się w Szklarni?!

— Właśnie tak.

— Ale ja jestem słynną czarodziejką?

— Najlepszą.

— W takim razie mogę zebrać wszystkie moje magiczne moce i raz-dwa ściągnąć króla Carla do Sangrii. Do jego kielicha dosypię proszków nasennych i ułożę króla do snu w moim wielkim, wyściełanym aksamitem

107

łożu, a sama przytulę się do jego boku. Rano, gdy król się obudzi, będę pierwszą istotą, którą zobaczy — i w ten sposób, jak po maśle, uda mi się go zdobyć.

— Nie, nic z tego! — zaprotestowałam i szturchnęłam ją łokciem.

— Auu! Ależ ty jesteś koścista. Zabolalo! No dobrze, mój czar będzie działał na króla tylko w Sang-rii, w Szklanii możesz go mieć dla siebie. Od czasu do czasu Carl wpadnie do mnie na krótki urlop, umowa stoi? Zaraz, zaraz, skoro jestem taką wspaniałą czarodziejką, jak to się dzieje, że nie mogę wyczarować zwykłej frytkami? W tym ciągu zapyziałych sklepików jakaś przecież powinna być!

— Myślałam, że już w niej kiedyś byłaś?

— Ale skąd, dotąd zawsze byłam grzeczną dziewczynką i nie urywałam się ze szkoły na przerwach. Wszystko przez ciebie, Sylvie. Masz na mnie fatalny wpływ!

Szturchnęłam ją jeszcze raz, a ona mi oddała. Szłyśmy ulicą, wymieniając kuksańce i chichocząc, kiedy minął nas autobus.

— Zobacz, akurat jedzie do centrum! Złapmy go! —i zawołała Miranda.

— Przecież do drugiej musimy być z powrotem!

— No to będziemy, wpadniemy tylko na chwilę do McDonalda. Oj, Sylvie, zgódź się!

Schwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Mocowałyśmy się przez

kilka sekund, ale w końcu pozwoliłam jej zawlec się na przystanek i wciągnąć do autobusu.

— Rewelacja! — wysapala ze śmiechem Miranda, kiedy ciężko opadłyśmy na siedzenie z przodu autobusu.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłyśmy — powiedziałam. — Jeśli nas ktoś zobaczy i powiadomi szkołę, będziemy miały poważne kłopoty.

— No tak, bo wypad do miasta na mały lunch to przecież straszne przestępstwo — stwierdziła Miranda. — Robią to tysiące ludzi! Za to właśnie nienawidzę systemu edukacji. Wystarczy, że nie nałożysz szkolnego krawata, i już robią z tego obrazę moralności i Bóg wie jakie wykroczenie. To czysty idiotyzm! A jeszcze tyle lat kształcenia przed nami. Marzę o chwili, kiedy wreszcie będę mogła bezkarnie powiedzieć, że wszyscy mogą mi co najwyżej skoczyć.

— A co chcesz robić po szkole? Wybierasz się na studia?

Miranda wzruszyła ramionami.

109

— Chyba do wyższej szkoły plastycznej.

— Carl też chciałby studiować sztuki piękne, ale jest taki zdolny, że jego rodzice nalegają, żeby zdawał do Oxfordu albo do Cambridge.

— I zastosuje się do ich życzeń?

— Nie wiem — westchnęłam. — Ostatnio sama nie wiem, co Carl tak naprawdę myśli. Odkąd chodzi do Kingsmere Grammar, wszystko się skomplikowało. Jakoś tak zamknął się w sobie.

— Sądziłam, że układa się wam idealnie: komunia dusz, wyimaginowane światy, wspólne pasje literackie i tak dalej?

— No tak, sporo w tym prawdy. Tylko że w dzieciństwie byliśmy sobie tak

bliscy, jakbyśmy byli jedną osobą. CarliSylvie — mówili o nas w domu. A teraz Carl to Carl, a ja jestem Sylvie i boję się, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Właściwie nie mam pojęcia, dlaczego ci to wszystko opowiadam, przecież wiem, że chcesz go poderwać.

— Może interesuję się nim tylko dlatego, że jest twoim chłopakiem, a nie moim — powiedziała Miranda. — Jeśli to cię pocieszy, Carl nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Wiesz, myślę sobie, że nasze rozważania nad Carlem nie mają specjalnie sensu. Założę się, że akurat w tej chwili Carl nie zadrećza się z naszego powodu.

Dojechałyśmy do centrum i wysiadłyśmy z autobusu. Miranda pociągnęła mnie w stronę galerii handlowej.

— Na dole mają McDonalda, ale równie dobrze możemy pójść na taras restauracyjny. Lubisz tajskie jedzenie? A może masz ochotę na porządną pizzę, a nie to stołówkowe paskudztwo?

110

Zajrzałam do portmonetki, były w niej same drobne.

— Wystarczy mi tylko na frytki — powiedziałam przeprasząco.

— Hej, to chyba oczywiste, że cię zapraszam.

— Wcale nie. Niby dlaczego miałabyś za mnie płacić?

— Bo jestem zepsutą małą snobką i zawsze to ja płacę. Tylko dlatego ludzie wytrzymują w moim towarzystwie — stwierdziła Miranda.

Popatrzyłam na nią.

— Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serio.

— Ja też nie.

— W takim razie ustalmy, że ja wytrzymuję z tobą, bo cię lubię — i płacę sama za siebie. Umowa stoi?

— Zgoda. Czyli kurs na McDonald.

W McDonaldzie było pełno matek z małymi dziećmi i grup nastolatków. Kilku chłopaków w charakterystycznych fioletowych marynarkach od razu rzucało się w oczy.

— Zobacz tylko, czy oni nie są z Kingsmere? Myślisz, że Carl też tu przychodzi?

— Nic mi o tym nie mówił. Chyba raczej nie.

— Ale mógłby przyjść! Koniecznie podsuń mu ten pomysł, Sylvie! Moglibyśmy się tu spotkać i zjeść razem lunch. Byłoby fantastycznie! Pogadalibyśmy sobie o Szklanii i Sangrii.

— Nie wolno ci o tym nawet wspomnieć! Obiecuj, że tego nie zrobisz! — domagałam się. — Byłby na mnie wściekły.

Odebrałyśmy zamówione frytki i usiadłyśmy przy stoliku.

111

— Chyba się go nie boisz?

— Nie. Ale nie chcę mu sprawić przykrości.

— Jesteś dla niego taka dobra. Nigdy nie myślałaś o tym, żeby się trochę pozgrywać? Odrobinę pokapry-sić, nie mieć humoru, może udać, że wpadł ci w oko ktoś inny?

— To na nic, Carl za dobrze mnie zna. No i nikt mi nie wpadł w oko.

— O rany, co za beznadzieja. Już lepiej zapchaj sobie dziób frytkami, żeby nie wygadywać takich głupot, Sylvie. No dobrze, jasne, że w tej sytuacji nie mogę uderzać do Carla. Będziemy musiały go nakłonić, żeby kogoś dla mnie znalazł. A ten zaprzyjaźniony piłkarz, o którym wspomniał Raj? Znasz go?

— Nie. To chyba niemożliwe, żeby się przyjaźnili. Carl nie lubi piłki

nożnej.

— Ale może lubi tego chłopaka?

— Jakoś nigdy o nim nie wspomina.

— W takim razie ty to zrób! Zobacz, czy jest szansa, żebyśmy się spotkali. Może być u mnie. Obiecuję, żadnych głupich zabaw w butelkę. No, chyba że zaczniemy się na serio migdalić — ty z Carlem, ja z piłkarzem. Mam tylko nadzieję, że z wyglądu przypomina bardziej Davida Beckhama niż Wayne'a Rooneya. Może Carl da się zaprosić do mnie jeszcze raz, chociażby tylko po to, żeby podziwiać witraże? Albo możemy się spotkać u ciebie, jeśli tak mu będzie wygodniej.

— U mnie nie jest zbyt wygodnie, niestety. Już nie. — Skubnęłam frytkę i zaczęłam układać pozostałe od największej do najmniejszej.

Miranda, co dość zaskakujące, taktownie milczała.

112

— Mój ojciec wyprowadził się dwa lata temu. Ostatnio już w ogóle mnie nie odwiedza, zresztą wcale mi na tym nie zależy. Alimenty też płaci niezbyt regularnie. Mama pracuje, ale spłacamy jeszcze kredyt na dom i musiałyśmy przyjąć lokatorkę. Musiałam się wynieść z mojego pokoju i gnieźdźę się teraz w garderobie. Nie mam gdzie przyjmować gości.

— Nie jestem żadnym wielkim gościem, zmieściłabym się. No dobrze, w porównaniu z tobą mam trochę ciała, ale to chyba akurat nic nadzwyczajnego. Na pewno jakoś bym się wcisnęła do twojej garderoby. A chłopcy mogliby się położyć na twoim łóżku — albo nawet pod nim! Miranda zademonstrowała mi swoją koncepcję, posługując się pudełkiem po frytkach jako modelem mojego pokoju. Z papierowej serwetki zrobiła łóżko, na którym ułożyła piętrowo cztery frytki i udała, że jedna z dwóch

frytek na górze całuje frytkę leżącą pod nią.

— Wariatka! Masz zegarek? Która już może być godzina?

— Nie mam pojęcia. Wpół do pierwszej? Skoczmy jeszcze na chwilę do TopShopu, jest na pierwszym piętrze — powiedziała Miranda. Wpakowała sobie do ust wszystkie cztery frytki naraz i przeżuła je z wyraźną lubością.

— Spóźnimy się do szkoły!

— Wcale nie. Boże, co z ciebie za trzęsipupa! Wstąpimy tam tylko na chwilę i błys-ka-wicz-nie rozeznamy sytuację, zgoda?

Pozwoliłam się wyciągnąć z McDonalda i zawieźć schodami do TopShopu. Oczywiście na błyskawicznym

113

rozeznaniu sytuacji się nie skończyło. Miranda zobaczyła czarną koronkową bluzkę na ramiączkach i oświadczyła, że właśnie o takiej marzyła przez całe życie.

— Mam ze sobą sporo kasy. Wystarczy mi bez problemu.

— No to ją kup — tylko szybko!

— Muszę ją najpierw przymierzyć, może mi być za ciasna w moim bujnym biuście.

— Już się tak nie przechwalaj!

— Och, ja się nie przechwalam, ja się żalę! Mam z nim same kłopoty.

— Jak chcesz, możemy się zamienić. Ja jestem płaska jak deska i mam już tego serdecznie dosyć. Wyglądam jak chłopak!

Zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie dlatego Carl nie chciał mnie pocałować. Może po prostu nie wyglądam wystarczająco ponętnie i dojrzałe? , Spojrzałam na połyskliwą czarną bluzkę, kuszącą cieniutkimi ramiączkami i obszyciem z różowej koronki.

— Myślisz, że byłoby mi w niej do twarzy? — zapytałam z wahaniem.

— No jasne, wyglądałabyś super! Chodź, przymierzmy ją obie.

Zdjęłam bluzkę z wieszaka i ruszyliśmy do przebieralni. Miranda bez skrupowania ściągnęła szkolny sweter i bluzkę. Do szkoły powinnyśmy nosić zwykłą, białą bieliznę, ale Miranda miała na sobie prześliczny pomarańczowy stanik haftowany w turkusowe kwiatuszki.

— Cudo! — zachwyciłam się. — Szczęście, że nie miałaś dzisiaj wf-u.

114

Odwrociłam się do niej plecami, żeby się rozebrać. Mój skromny biały stanik wyglądał jak bandaż i zawstydziłam się go okropnie. Szybko wciągnęłam na siebie czarną bluzkę i z nadzieją spojrzałam w lustro, licząc, że doświadczę cudownej przemiany. Moje odbicie odpowiedziało mi badawczym spojrzeniem. Wyglądałam, jakbym włożyła zwykły, ciepły podkoszulek, w dodatku za duży. Jego ramiączka zsuwały się z moich chudych ramion, odsłaniając ramiączka stanika, a materiał marszczył się paskudnie.

Zerknęłam na Mirandę. Ta sama bluzka na niej wyglądała zupełnie inaczej. Opinała ją ciasno niczym gorset, naprężone czarne ramiączka odznaczały się na tle jej gładkiej, białej skóry, a koronki wokół dekoltu rozciągnęły się do granic możliwości. Wystające spod bluzki pomarańczowe ramiączka jej stanika stanowiły egzotyczny kontrast. Miranda prezentowała się rewelacyjnie.

— To niesprawiedliwe! — stwierdziłam, ściągnęłam to koronkowe cudo i błyskawicznie wrzuciłam na siebie szkolną bluzkę.

— Hej, poczekaj, nie zdążyłam zobaczyć, jak leży na tobie!

— Nie było na co patrzeć, leżała okropnie.

— Niemożliwe. Oj, Sylvie, nie bądź taka! Może powinnaś przymierzyć mniejszą?

— Mniejszych nie produkują. W normalnych sklepach w ogóle nie ma dla mnie ubrań! Chyba będę dożywotnio skazana na sklepy z ubrankami dla dzieci!

— Ale wymyślasz! — zaśmiała się Miranda i niespodziewanie uścisnęła mnie na pocieszenie.

115

W tej samej chwili kotara się odchyliła i do wnętrza naszej kabiny dyskretnie zajrzała ekspedientka. Na widok dwóch przytulających się dziewcząt w bieliźnie aż zamarła z wrażenia.

— Z przymierzalni należy korzystać pojedynczo! — wykrztusiła z wypiekami na twarzy. — Proszę się natychmiast ubrać i opuścić nasz sklep.

Wycofała się i energicznie zasunęła za sobą kotarę, aż zagrzechotały żabki.

— O rany, ona myśli, że wpadłyśmy tu na szybki numerek! — Miranda wybuchnęła śmiechem.

— O Boże — wyjąkałam i oblałam się jaskrawym rumieńcem. —

Miranda, ubieraj się, ale już! Wychodzimy!

Lecz śmiech Mirandy okazał się wyjątkowo zaraźliwy. Ja też zaczęłam chichotać i za nic nie mogłam przestać, chociaż zatykałam sobie usta ręką i przygryzałam wargi.

Parskając i kwicząc, wytoczyłyśmy się z kabiny. Czułam na sobie pełen dezaprobaty wzrok wszystkich ekspedientek. Miałam ochotę jak najszybciej stamtąd uciec, ale Miranda nie dała mi szansy.

— Czekaj, zamierzam kupić tę bluzkę!

— Teraz?! Chyba żartujesz!

— Ani trochę. Przecież mi w niej ładnie, tak czy nie?

— Ale wszyscy się na nas gapią, myśląc, że jesteśmy... No wiesz.

— No i co z tego? A nawet gdyby, to co? Dorośnij, Sylvie!

Wiedziałam, że Miranda ma rację, a jednak czułam się strasznie zażenowana, kiedy czekałam z nią w ko-

116

lejce do kasy. A popisy Mirandy wcale nie ułatwiały mi sprawy — objęła mnie w pasie i bombardowała czułymi spojrzeniami.

— Przestań! — syknęłam.

— Daj spokój, co z twoim poczuciem humoru, moja malutka? — śmiała się Miranda.

Kiedy wreszcie wyszliśmy ze sklepu i na dużym, ozdobnym zegarze zobaczyłam, która jest godzina, moje zdenerwowanie powiększyło się jeszcze bardziej.

— O nie! Dochodzi druga! Spóźnimy się jak nie wiem co i będą problemy!

No to pięknie! Dalej, biegniemy!

Zerwałam się do biegu, ale Miranda mnie powstrzymała.

— Zaczekaj, Sylvie. Weź głęboki oddech i zacznij myśleć. Masz rację, jeśli teraz wrócimy do szkoły, rzeczywiście będą problemy. Jak wkroczymy do klasy w połowie pierwszej popołudniowej lekcji, będzie oczywiste, że przerwę spędziłyśmy poza terenem szkoły. Ale jeśli w ogóle nie wrócimy, wszyscy pomyślą, że się źle poczułyśmy albo coś i odesłano nas do domu. Przecież po południu i tak nikt nie sprawdza obecności, prawda? Nauczyciele nawet nie zauważą, że nas nie ma.

— Ale inne dziewczyny tak!

— Żadna się nie odważy mnie zakablować. Myślisz, że Laleczka Lucy na ciebie naskarzy?

— Naskarzyć nie naskarzy, ale może się o mnie martwić i powiedzieć komuś, że się boi, czy mi się coś nie stało.

— No tak, Lucy może zacząć panikować. Lepiej wyślij jej SMS-a, pożyczę ci moją komórkę.

— Lucy nie ma komórki.

117

— Typowe! Co za dziewczucha, żadnego z niej pożytku! Nie rozumiem, co ty właściwie w niej widzisz? To przecież nudna, ograniczona, zadowolona z siebie lizuska!

— Lucy wcale taka nie jest! To znaczy, nie do końca — zaprotestowałam.

— Biedaczka, Carl też się ciągle wyzłośliwia na jej temat.

— O proszę! Wiedziałaś, że Carl i ja to bratnie dusze. Tak czy inaczej, miejmy nadzieję, że Lizuska Lucy będzie trzymać dziś język za zębami, bo do szkoły wrócić już nie możemy i koniec. A skoro tak, to dlaczego nie miałybyśmy sobie sprawić odrobiny przyjemności? Rozejrzyjmy się spokojnie po galerii. O, mam pomysł, możemy podkreślić sprzedawczynię we wszystkich sklepach po kolei, udając, że się migdalimy w przymierzalniach. Sylvie, co za mina! No przecież żartuję! Oj, nie bądź taka, nie bocz się na mnie!

— Jeśli zwiejemy z całego popołudnia, kłopoty będziemy miały jak w banku. A co zrobimy z zadaniami domowymi?

— Nie histeryzuj, dziewczyno! Odpiszesz od Lucy. W szkole na pewno nikt nie zauważy naszej nieobecności, ale n a w e t gdyby, zawsze możesz powiedzieć, że w czasie przerwy obiadowej źle się poczułaś albo strasznie

rozbolała cię głowa czy coś w tym rodzaju — i musiałś pójść do domu. Nie martw się tak, wciskanie kitu nauczycielom to łatwizna. Poważnie! — Łatwizna, ale ze szkoły jednak cię wywalili — zauważyłam. — Chyba nie sądzisz, że wylali mnie z budy za taki drobiazg jak kilka opuszczonych godzin! — stwierdziła

118

Miranda. — Oj, Sylvie, rozchmurz się trochę i spędźmy miło czas. Rozchmurzyłam się, bo ponuractwo i psucie nam obu zabawy rzeczywiście było bezcelowe.

— Niech ci będzie — powiedziałam. — Bawmy się dobrze.

I naprawdę było bardzo miło. Obeszłyśmy całą galerię, odwiedzając wszystkie, co do jednego, sklepy z ciuchami, chociaż za każdym razem, kiedy Miranda chciała sprawdzić, jak w czymś wygląda, trzymałam się z dala od przymierzalni.

Dałam się jej jednak namówić na wspólne przymierzanie butów i miałyśmy niezłą zabawę, paradując kolejno na niebotycznych obcasach, w ciężkich buciorach i delikatnych sandałkach. Miranda dostosowywała swój chód do przymieranego obuwia — godnie sunęła, energicznie maszerowała, a nawet zatańczyła charlestona w ozdobionych dżetami butach stylizowanych na lata dwudzieste. Bałam się, że z tego sklepu też nas wyrzucą, ale obsługiwał nas młody, pryszczaty sprzedawca, który zastygł w przysiadzie i gapił się na Mirandę jak urzeczony. Ja też patrzyłam na nią z podziwem, chociaż w głębi duszy miałam ochotę kopnąć ją za to, że się tak bezwstydnie popisuje. Trzeba jednak przyznać, że robiła to po prostu fenomenalnie. Jednoosobowy Teatr Objazdowy

Mirandy Holbein przenosił się z miejsca na miejsce i dawał przedstawienia wszędzie, zawsze z tym samym impertynenckim wdziękiem.

Jeszcze nigdy się tak dobrze nie bawiłam podczas chodzenia po sklepach.

Carl lubi szperać w sklepikach z różnościami, prowadzonych przez instytucje chary -

119

tatywne, a także odwiedzać targi staroci, ale galerii handlowych nie cierpi i jego noga dobrowolnie by tam nie powstała. Zakupy z mamą przeważnie ograniczają się do szybkiej rundki po Tesco. Samo oglądanie wystaw w galeriach handlowych zwykle ją przygnębia, bo nie mamy dosyć pieniędzy nawet na skromne szaleństwa. Któregoś sobotniego popołudnia wybrałam się do galerii razem z Lucy, ale nie był to zbyt udany wypad. Wstąpiłyśmy do domu towarowego na filiżankę herbaty i babeczkę, jak para starych ciotek w perłach, a potem włóczyłyśmy się po piętrach bez celu. Lucy ożywiła się tylko w sklepie Bear Factory.

Kiedy Miranda oświadczyła, że też chce tam pójść, byłam dość zaskoczona. Wczuła się w nastrój sklepu do tego stopnia, że sięgnęła do kontenera z niewypchany-mi jeszcze przytulankami i zaczęła się bawić wiotkimi ciałkami misiów, czekającymi na wypełnienie ziarnami fasoli i metamorfozę w krzepkie pluszowe niedźwiadki.

— Chcę być tylko twój, Sylvie — szepnęła błagalnie i pogłaskała mnie małymi, pustymi w środku łapkami jednego z nich. — Oddaj mnie do wypchania i spraw, że moje atlasowe serduszko zabije tylko dla ciebie.

Była wyjątkowo przekonująca, prawie tak dobra jak Carl. Nie umiałam się oprzeć temu wezwaniu. Wzięłam na ręce misia wybranego przez Mirandę.

Miał żałośnie zwieszony łeppek, duże, brązowe oczy i nieśmiały uśmiech;

jego troszkę staroświecki urok sprawił, że nazwałam go Albertem. Miś pokiwał łepkiem z aprobatą.

Miranda zaniósła go do wypchania.

— Nie, zaczekaj! Przestań! — zawołałam. — Jeśli zostanie wypchany, będziemy musiały go kupić.

120

— No to co? Nie mówiłam przecież, że zamierzam go ukraść! Mam dosyć kasy na jednego małego misia i jeszcze sporo mi zostanie.

— Naprawdę tak ci zależy na Albercie? — spytałam.

— Mnie nie, wariatko. Tobie. Zamierzam go kupić dla ciebie.

— Ale nie możesz...

— Jasne, że mogę. Tylko popatrz! — powiedziała Miranda i podała misia do wypchania. — Proszę nie oszczędzać na wypełniaczu, każdy porządny miś musi mieć okrągły brzusek. Zgadzasz się ze mną, Albercie? — Prowadzony jej ręką Albert pokiwał głową.

Sprzedawczyni z Bear Factory tylko się uśmiechnęła, najwyraźniej przyzwyczajona do tego, że jej klienci się wygłupiają.

Miranda zdecydowała, że na piersi Alberta zostanie naszyte czerwone atłasowe serduszko; nagrała też krótką wiadomość.

— Grrr! Nazywam się Albert i dla Sylvie dałbym się pokrroić! — wymruczała aksamitnym, niedźwiedzim głosem.

Zszywaniu Alberta przyglądałyśmy się jak para dumnych rodziców, a kiedy miś trafił w moje ręce, poczułam ten cudowny, zapierający dech w piersiach przypływ emocji, który pamiętałam ze świąt Bożego Narodzenia w bardzo wczesnym dzieciństwie. Nie mogłam się powstrzymać przed przytuleniem Alberta, chociaż martwiłam się, że wyglądam głupio.

— Ale, ale! — zawołała Miranda. — Musimy go jeszcze zaopatrzyć w jakiś misiowy przyodziewek.

121

— Te ubranka są naprawdę strasznie drogie! Albert świetnie obejdzie się bez nich — protestowałam.

— Bzdura! To wiktoriański miś w kwiecie wieku, przecież nie może paradować goły!

Miranda wybrała dla Alberta koszulę, kamizelkę w odcieniu kanarkowym, spodnie i eleganckie czerwone trzewiczki.

— No i proszę! Całkiem stylowo, chociaż to tylko wariacja na temat stroju z epoki — uznała. — Może uda nam się znaleźć dla niego jeszcze jakiś płaszcz i cylinder? I czy nie wyglądałby wspaniale z hebanową laseczką? To miś z charakterem, Sylvie — pogratulowała mi, tak jakbym stworzyła Alberta osobiście.

Dyskretnie zapłaciła, nie afiszując się swoją hojnością, i kiedy wyszliśmy ze sklepu, podała mi reklamówkę z Albertem.

— To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam! — powiedziałam, rzucając się jej na szyję.

— Cóż, jesteś najwspanialszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam — odparła Miranda.

Byłam tym zachwycona, ale i zaniepokojona. Teraz już bardzo chciałam być przyjaciółką Mirandy — ale co zrobić z Lucy? A znacznie ważniejsze — co zrobić z Carlem? Czy nie będzie zazdrosny o Mirandę? Co on tak naprawdę o niej myśli?

11

Wieczorem wybrałam się do Carla. Jules powiedziała mi, że jest u siebie i

odrabia lekcje. Zapukałam do drzwi jego pokoju i weszłam do środka. Carl wcale nie odrabiał lekcji — leżał na łóżku z rękoma pod głową i gapił się w sufit.

— Carl?

Tylko mruknął w odpowiedzi. Nie było to zbyt gościnne.

Stałam pośrodku jego pokoju i rozglądałam się dookoła. Pokój Carla w niczym nie przypominał Szklanej Altany, wyglądał, jakby zamieszkiwało go kilku co najmniej Carlów — w bardzo różnym wieku. Drewniana arka Noego wciąż dryfowała po parapecie. Podstarzała pluszowa żyrafa pasła się na spłowiałym dywaniku. Piotruś Królik Beatrix Potter, *Where the Wild Things Are* Maurice'a Sendaka i *Frog and Toad Are Friends* Arnolda Lobela wyglądały z kąta regału z książkami.

123

Z sufitu zwieszały się marionetki. Ściany pokoju były wyklejone dziełami Carla: rysunkami niebieskich psów i czerwonych koni jeszcze z okresu przedszkolnego, wizerunkami starożytnych Rzymian zażywających kąpieli w łaźni oraz plakatami połyskujących złotą farbą egipskich sarkofagów, które malował w podstawówce.

Oczywiście bardziej współczesny dobytek Carla też był reprezentowany — składały się na niego komputer, książki z dziedziny szklarstwa, używana kolekcja Penguin Modern Classics oraz czasopisma dla kolekcjonerów szkła i staroci, ułożone porządnie w stosiki.

Pokój Carla zawsze był wyjątkowo schludny. Na podłodze nigdy nie wałały się porozrzucane ciuchy, pod łóżkiem nie leżały śmierdzące skarpety, talerze z psującymi się resztkami jedzenia nie stały na dywanie, jak to zwykle bywa w chłopięcych pokojach. Nie byłq w nim też żadnych

plakatów z porozbieranymi, obfito-biustymi panienkami o dziecinnych buziach. Wiedziałam, że Carl nie poleciałby na Beyonce ani na Britney.

— Carl, powiedz mi, kto ci się tak naprawdę podoba? — zapytałam.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

— Co takiego?

— Kto jest w twoim typie? No wiesz, z celebrytek?

— Pytasz jak moi kumple ze szkoły. Oni o niczym innym nie rozmawiają.

— No to która podoba ci się najbardziej?

— Nie wiem. To mnie zupełnie nie interesuje. Nie znam żadnej z tych kobiet, więc czemu miałbym się ślinić na widok ich zdjęć?

-

124

— A tegoroczna nagroda dla Mistrza Politycznej Poprawności trafia do pana Carla Johnsona! — obwieściłam i udałam, że wręczam mu wymyślony puchar.

Nie dał się wciągnąć do zabawy. Dalej gapił się w sufit w kompletnym bezruchu. Gdyby nie to, że miał otwarte oczy, mogłabym przysiąc, że śpi.

— Ostatnio dużo czasu spędzasz w poziomie, Carl. Lepiej uważaj, bo jak się przyzwyczaisz do pozycji horyzontalnej, będziesz zbyt słaby, żeby utrzymać się na nogach, kiedy już wreszcie wstaniesz — stwierdziłam. Po chwili milczenia podjęłam temat: — A która ze znanych ci dziewczyn jest w twoim typie?

Carl westchnął.

— Nie znam żadnych.

— Nie zgrywaj się, to nieprawda. Co sądzisz na przykład o... — Znów zamilkłam i wbiłam sobie paznokcie w dłonie. Zdecydowałam się pójść na

łatwiznę, chociaż wiedziałam, że to podłe. — ...o Lucy?

— Ooo, Lucy, rzeczywiście, Lucy jest po prostu boska! — zawołał. —
Sylvie, odpuść!

Czułam się podle, wykorzystując Lucy w ten sposób, mimo że ona
przecież nic o tym nie wiedziała. Ale może już nie muszę być dłużej
lojalna wobec niej?

Lucy zadzwoniła do mnie o piątej, żeby zapytać, gdzie ja się do choinki
podziewałam. Kiedy zgodnie z prawdą odparłam, że poszłam z Mirandą na
wagary, była bardzo zbulwersowana. Zaczęła zgrywać wielką moralistkę i
wzorową uczennicę i naprawdę przesadziła, mówiąc, że postawiłam pod
znakiem zapytania pomyślny przebieg mojej dalszej edukacji. Myślę, że
była po prostu zła, bo urwałam się z lekcji z Mirandą,

125

a nie z nią. Jej kazania słuchałam cierpliwie przez dziesięć minut. Lucy
rozwodziła się szeroko nad złym wpływem, jaki wywiera na mnie
Miranda. Wprawdzie nie powiedziała nic, co byłoby zasadniczo
nieprawdziwe, ale znudziła mnie do tego stopnia, że w końcu jej
przerwałam:

— Och, przestań już gdakać, Lucy. Miranda to moja przyjaciółka.

I Lucy odłożyła słuchawkę. Wyglądało to na koniec naszej przyjaźni —
ale czy to ważne, skoro przyjaźnię się teraz z Mirandą?

— A Miranda? — zapytałam Carla.

Milczałam zbyt długo i Carl zgubił wątek naszej rozmowy.

— A co z nią? — spytał. Przełknęłam ślinę.

— Podoba ci się?

— Nie — odparł Carl.

— Ani trochę? Jest taka żywiołowa, wystrzałowa, energiczna. Nie można oderwać od niej oczu.

— Już ci powiedziałem, że mi się nie podoba. Nie jest w moim typie. Chodziłam po pokoju w tę i z powrotem, próbując zebrać się na odwagę. „A czy ja jestem w twoim typie? Podobam ci się?”, powtarzałam w myśli. Ale nie mogłam się zdobyć, żeby zadać te pytania na głos. Wróciłam do Mirandy.

— Miranda nie mieści się chyba w żadnym typie. Jest wyjątkowa, nigdy wcześniej nie spotkałam dziewczyny takiej jak ona. I nie chodzi mi tylko o to, jak się ubiera, ale o jej relacje z innymi ludźmi, o jej błyskot-

126

liwość. Miranda lubi szokować, jak na przykład wtedy, kiedy udaje, że chce cię poderwać — tak przynajmniej sędzę, że to udawane zainteresowanie — ale potrafi też być zaskakująco miła dla mnie. Nigdy nie zgadniesz, co mi dziś kupiła!

— W kółko tylko Miranda i Miranda! — zniecierpliwił się Carl. — Zaraz, może ona jest w twoim typie? Podoba ci się?

— Zamknij dziób! — warknęłam. Przypomniałam sobie tamtą ekspedientkę i poczułam, że się czerwienię.

— Syl? Przepraszam cię, to było głupie. Słuchaj, myślisz, że Miranda miałaby ochotę wybrać się na kręgle?

Spojrzałam na niego z niepokojem.

— Chcesz się z nią umówić na kręgle? — zapytałam.

— Nie tylko z nią. Moglibyśmy się wybrać razem, na przykład w piątek wieczorem.

— W trójkę?

— Może uda mi się namówić jeszcze któregoś chłopaka ze szkoły. Ale nie wiem na pewno.

— A którego?

— Zobaczą, kto będzie chciał przyjść. — Carl odkaszlnął i usiadł na łóżku. — Paul wspominał, że lubi kręgle. Może znajdzie czas.

— Ten piłkarz? -Tak.

Usiadłam na dywaniku obok żyrafy Carla i pogłaskałam ją po długiej, miękkiej, lekko przywiedłej szyi. Dziwna rzecz, wszystko układało się dokładnie według planu Mirandy. Może ona naprawdę jest potężną

127

czarodziejką, tak jak wzorowana na niej Mirandarette? Skoro Carl nie jest nią zainteresowany, to dlaczego chce ją zaprosić na kręgle? I czemu akurat na kręgle?

— Przecież ty nie lubisz grać w kręgle — zauważyłam.

— Pomyślałem, że może być fajnie.

— Kiedyś poszedłeś pograć z Jakiem i byłeś okropnie niezadowolony.

— Tak jak ze wszystkiego, co robię razem z Jakiem

— odparł Carl. Przeciągnął się. — To jak, w ten piątek? Ty i Miranda, Paul i ja?

— Niech będzie.

— Super — uśmiechnął się do mnie Carl. Był to obezwładniająco uroczy uśmiech, brązowe oczy Carla lśniły. Przestałam piętrzyć domysły i odpowiedziałam mu uśmiechem.

— Teraz to już naprawdę muszę się zabrać do lekcji

— powiedział delikatnie Carl. Sięgnął po swoją szkolną torbę i wyjął z niej książki i zeszyty.

— Zawsze masz tyle zadane! — westchnęłam.

— A tobie zawsze zadają tak mało! — odpowiedział Carl. — I nawet te nieliczne zadania nie zawsze odrabiasz.

— Dzisiaj wieczorem nie mam nic do roboty. Nawet nie wiem, co było zadane, bo Miranda i ja wagarowały-śmy przez całe popołudnie.

Wiedziałam, że to go zaalarmuje i odwróci jego uwagę od lekcji.

Opowiedziałam mu o naszej popołudniowej eskapadzie. Carl nie potrafił ukryć, że ten wyczyn zrobił na nim wrażenie. Kiedy jeszcze chodziliśmy razem do szkoły, często snuliśmy plany wagarów

128

I

idealnych. Wymyśliliśmy nawet najlepszą wymówkę i opracowaliśmy szczegółowy przebieg naszego kradzionego wolnego dnia, ale nigdy nie zdołaliśmy wcielić tych planów w życie.

— Miranda ma niezły tupet — przyznał Carl. — Ale powinnyście uważać, żeby nie przesadzić. Chyba nie chcecie sobie narobić kłopotów w szkole?

— Lucy sądzi, że mnie wyleją.

— Ją pewnie by wylali.

— I najwyraźniej już nie chce się ze mną przyjaźnić — powiedziałam, tuląc do siebie żyrafę.

— To chyba dobrze, co? Przecież teraz masz Miran-dę.

— No tak. Miranda mówi, że chce być moją najlepszą przyjaciółką, ale wiesz, jaka ona jest, z nią to nigdy nic nie wiadomo. Za chwilę może już nie będzie chciała się ze mną przyjaźnić i zostanie moim największym wrogiem. I co wtedy? — spytałam, dramatycznie przyciskając żyrafę do piersi.

— Jak to co? Wtedy nadal będziesz miała tego samego najlepszego przyjaciela co zawsze: mnie — powiedział Carl.

Wyciągnął rękę i wymieniliśmy nasz specjalny, przyjacielski uścisk dłoni. Miałam ochotę przytrzymać jego rękę, ale Carl delikatnie oswobodził palce i otworzył podręcznik. Przez kilka minut siedziałam po turecku na dywanie i przyglądałam się, jak Carl się uczy, a potem poszłam do domu. Ulicą właśnie nadchodziła mama z wielkimi siatami pełnymi zakupów. Wyglądała jak wyrzut sumienia. Podbiegłam, żeby jej pomóc.

129

— Myślałam, że do Tesco wybierzemy się razem w niedzielę rano! — usprawiedliwiałam się, wnosząc do środka bliskie rozerwania się plastikowe reklamówki.

— Hej, uważaj, w tamtej są jajka! Nie zabieraj mi wszystkich, są dla ciebie zbyt ciężkie!

Wspólnie wtaszczyłyśmy zakupy do kuchni i z ulgą postawiłyśmy je na podłodze. Mama wstawiła wodę na herbatę i zabrała się do rozpakowywania toreb, krążąc między kuchennymi szafkami a lodówką. Wzięłam sobie banana i dyskretnie skierowałam się w stronę drzwi.

— Zaczekaj, Sylvie, nie uciekaj jeszcze. Chciałabym z tobą porozmawiać — powiedziała złowróźnie mama.

Zastygłam z bananem podniesionym do ust. Przeżułam pierwszy kęs, ale jakoś nie byłam w stanie go przełknąć. Czyżby w szkole zauważyli moją nieobecność i już poinformowali o niej mamę, dzwoniąc do niej do biura? Jakiś wścibski sąsiad widział mnie z Mirandą na zakupach? Ekspedientki ze sklepu z koronkowymi bluzkami zdołały ustalić nasze nazwiska i zatelefonowały ze skargą do szkoły?

Stałam bez ruchu, ściskając w ręce nieszczęsnego banana.

— A wiesz, że chociaż banany uchodzą za małpi przysmak, zjedzone w nadmiarze powodują u małp sensacje żołądkowe? — zaczęłam trajkotać, byle tylko zagadać sytuację. Wygłosiłam kompletnie niedorzeczną przemowę na temat bananów, poczynając od zawartego w nich bogactwa potasu, a na ich roli w komedii slap-stickowej kończąc, podczas gdy mama parzyła dla nas

130

herbatę. Potem usiadła przy stole i wskazała mi miejsce naprzeciw, a ja nadal nawijałam o bananach, starannie obierając z włókien mój nadgryziony egzemplarz i nadając mu nożem kształt smukłej, białej kobiety.

— Przestań się bawić jedzeniem! Ta kiść kosztowała mnie prawie funta. To pożywienie, a nie jakaś plastelina. Zjedz go zaraz! — zażądała mama. Odłożyłam banana i nóż na stół. Mama nie sprawiała wrażenia bardzo rozeźlonej. Gdyby dowiedziała się o moich wagarach, byłaby okropnie wściekła — a to znaczy, że o nich nie wiedziała. W takim razie o co jej mogło chodzić? Zerknęłam na nią ukradkiem i przyłapałam ją na równie ukradkowym spojrzeniu rzuconym w moją stronę. Obie zachichotałyśmy niepewnie. Mama miała błyszczące oczy i zaróżowione policzki, tak jakby przez naszą kuchnię wiał rzeński wietrzyk.

— Na niedzielę rano mam pewne plany — wypaliła wreszcie. — Nie sądziłam, że będziesz miała coś przeciwko temu. Myślałam, że mogłabyś sobie dłużej pospać, a potem wpaść do Carla. I może chciałabyś zostać u Johnsonów także na niedzielny obiad. Jules powiedziała, że nie ma sprawy, robi pieczeń, więc na pewno dla wszystkich wystarczy.

— A dokąd to się wybierasz, mamó? — zapytałam zaskoczona.

— Miałam zamiar skoczyć sobie na basen — odpowiedziała.

Zrobiłam na nią wielkie oczy. Nie przypominam sobie, żeby mama kiedykolwiek chodziła na basen. Nie sądzę, żeby w ogóle miała kostium kąpielowy! Do czego to dochodzi: najpierw Carl chce pójść na kręgle,

131

teraz mama wybiera się popływać. Czy następna będzie Lucy, która zapragnie uczyć się tańca erotycznego? A może Miranda zacznie śpiewać w kościelnym chórze?

— To ty umiesz pływać? — zdziwiłam się.

— Umiem. To znaczy, kiedyś umiałam. Żabką szło mi nawet nie najgorzej. Zademonstrowała mi podstawowe ruchy rąk przy żabce. Wyglądała na podenerwowaną. Wyobraziłam sobie, jak moją bladą, pulchną mamę ochlapuje wodą banda rozwrzeszczanych dzieciaków.

— Pójdę z tobą, mamó. Skąd ci przyszedł do głowy pomysł z pływaniem? Nagle postanowiłaś zadbać o kondycję czy co?

— To już bardziej „czy co” — wyznała mama. — Nie wybieram się na nasz miejscowy basen, tylko do fitness klubu w centrum Londynu.

Chociaż tak do końca to jeszcze nie wiem. Może to w ogóle głupi pomysł i powinnam dać sobie z tym spokój? — Zakryła twarz rękoma i pokręciła głową. — Najwyraźniej lekko mi odbiło. Wiem, że to tak wygląda, ale nic na to nie poradzę. Zawsze jestem taka rozsądna, że mam już tego naprawdę dosyć!

Wydała dziwny dźwięk. Nie wiedziałam, czy się śmieje, czy płacze.

— Mamó? — Delikatnie odciągnęłam jej rękę od twarzy.

Uśmiechnęła się do mnie, chociaż oczy miała mokre.

— Sylvie, chodzi o to, że na niedzielę umówiłam się z pewnym panem.

— O Boże! — wykrzyknęłam. — Ale po co? I co to za jeden? Ktoś od ciebie z pracy?

132

— Daruj sobie, córeczko, moi koledzy z pracy są tak młodzi, że mogliby być moimi synami! Nie. Obiecujesz, że nikomu nie powiesz, nawet Carlowi?

— Obiecuję.

— Jeszcze nie spotkałam tego mężczyzny osobiście, znamy się tylko z Internetu.

— Mamo!

— Nie rób takiej miny, nie umówiłam się z nim na jakimś półpornograficznym czacie, tylko na portalu „Nie macham — tonę”. Gdzieś o nim przeczytałam i postanowiłam go sprawdzić. Spotykają się tam ludzie z poczuciem humoru i można się do nich zwrócić po wsparcie.

— Kiedy się tonie?! Nie idziesz na żaden basen, wykluczone!

— Nie, głuptasku, to tylko aluzja do wiersza Stevie-go Smitha Nie machałem — tonąłem. Zawsze bardzo go lubiłam, bo jest żartobliwy, a jednak przebija z niego cicha rozpacz. Chyba znam to uczucie. Nie cierpię mojej pracy, nie mogę znieść faktu, że po naszym domu kręcą się obcy lokatorzy, choćby to była biedna panna Miles, nienawidzę tego, że wieczorami zawsze siedzę w domu — jak tylko uporam się z obowiązkami domowymi, zalegam przed telewizorem. Odnoszę wrażenie, że moje życie już się skończyło, a nie mam jeszcze czterdziestki! — Mama wzięła głęboki oddech. — Dlatego kiedy odwiedziłam tę stronę i przekonałam się, że setki ludzi są równie zdesperowane jak ja, a może nawet bardziej,

doznałam uczucia niezwyklej ulgi. Od czytania niektórych historii po prostu pęka serce!

— Pytanie, czy są prawdziwe — zauważyłam.

133

Mama zamrugnęła.

— No tak. Masz rację, zawsze istnieje pewne ryzyko, że część z nich jest zmyślona. Ale są i takie — nie, takich sytuacji po prostu nie można wymyślić!

— Mamo, w coś ty się najlepszego wplątała?!

— W nic! Ja tylko nawiązałam kontakt z kilkoma osobami. Raz na jakiś czas spotykamy się na czacie, to wszystko. Jedne osoby są marudne, ale inne to prawdziwi kawalarze. Pewien mój znajomy, Geny, jest naprawdę uroczy i ma kapitalne poczucie humoru. Między nami od samego początku jakoś zaiskrzyło. Znasz to uczucie, że nadajesz z kimś na tych samych falach? — Spojrzała na mnie wyczekująco, rozjaśnionymi oczyma.

— Przecież sama powiedziałaś, że jeszcze się nawet nie spotkaliście.

— No i właśnie się spotykamy! Umówiliśmy się na tę niedzielę, idziemy na basen. Wiem, że to trochę dziwne miejsce na pierwszą randkę.

Skrzywiłam się mimo woli.

— Sylvie, nie bądź taka!

— Nie jestem, mamo, po prostu się o ciebie martwię. Boję się, że ten facet cię skrzywdzi. I to dosłownie! A jeśli to jakiś szalony nożownik?

— Mało prawdopodobne.

— Może cię zaciągnąć w ciemną alejkę i zgwałcić!

— Nie bądź niemądra, córeczko. To już zupełnie nieprawdopodobne. Nie sądzę, żeby Gerry dał radę zaciągnąć mnie dokądkolwiek, bo tak się

składa, że jest niepełnosprawny.

— O Boże.

134

Wiem, że powinnam się tego wstydzić, ale przez głowę przemknęła mi wizja mężczyzny z dwoma głowami, za to pozbawionego rąk i nóg.

Mama spiorunowała mnie wzrokiem.

— Geny miał wylew przed dwoma laty i...

— Jest stary?!

— Nie, tylko kilka lat starszy ode mnie. Był budow-lańcem, miał żonę i dwójkę dzieci. Ciężko pracował, dobrze mu się wiodło, założył własną firmę, kupił wielki dom, ekskluzywny samochód, prowadził wygodne życie. Potem wdał się w romans z piękną młodą dziewczyną...

— Mamo!

— Wiem, wiem, Gerry też nie jest z tego dumny. Tak czy inaczej, odszedł do tej dziewczyny i dwa miesiące później doznał rozległego wylewu. Całe życie mu się rozleciało: dziewczyna go rzuciła, żona nie chciała go przyjąć z powrotem, leżał w szpitalu, trzy miesiące spędził na intensywnej terapii. Cierpiał na prawostronny paraliż od pasa w dół, ale wrócił do zdrowia i chociaż wyraźnie utyka na prawą nogę, nic więcej mu nie dolega. Tak przynajmniej twierdzi. Gerry przywiązuje teraz wielką wagę do swojej kondycji i często chodzi na basen w jakimś londyńskim prywatnym fitness clubie. Opisał mi go ze szczegółami, marmury, te klimaty. Kiedy odpowiedziałam, że musi tam być fantastycznie, on mnie zaprosił na niedzielę.

— Jesteś pewna, że wiesz, w co się pakujesz, mamo? A jeśli to jakiś zboczeniec?

— A co strasznego może mi się przydarzyć na basenie? Jeśli Gerry mi się nie spodoba, po prostu więcej

135

się nie spotkamy. Zaprosił mnie też na lunch, ale przecież zawsze mogę mu odmówić. Mimo wszystko mam ochotę spróbować.

— I nie boisz się pójść na randkę z zupełnie obcym facetem?!

— Pewnie, że się boję! — powiedziała mama. — W głębi duszy sama nie mogę uwierzyć, że się naprawdę zgodziłam. Ale co mi tam, lepsze to niż siedzenie w domu i użalanie się nad sobą.

— No to znakomicie — stwierdziłam, z trudem dobywając głos.

I tak byłam zdania, że mama oszalała. A może po prostu poczułam się zagrożona? Moja mama zaczyna biegać na randki, a ja nie byłam jeszcze na żadnej. Chociaż nie, chwileczkę. Czy piątkowe kręgle z Carlem liczą się jako randka? I kogo Carl na nią zaprosił — mnie czy Mirandę?

Poczucie winy z powodu Lucy nie dawało mi spokoju, więc kupiłam dla niej tabliczkę czekolady i nowe wydanie magazynu „Heat”. Lucy wyraźnie odtajała. Ucięłyśmy sobie dłuższą pogawędkę na temat Bear Factory, różnych rodzajów produkowanych tam pluszaków i ich rozkosznych ubranek. Nie powiedziałam jej jednak, że Miranda obdarowała mnie Albertem.

Tymczasem Miranda z zadowoleniem rozgłaszała wszem wobec, że my dwie wybieramy się na kręgle z Carlem i Piłkarzem Paulem. Lucy nie mogła o tym nie usłyszeć.

— Ty, Carl i ja znamy się od podstawówki! Dlaczego umówiliście się na kręgle z Mirandą, a nie ze mną?

Nie wiedziałam, jak wybrnąć z sytuacji. Przecież nie mogłam jej

powiedzieć prawdy — że towarzystwo Mirandy jest znacznie zabawniejsze. Próbowałam się

137

uciec do taktownych wymówek: że byłam przekonana, że Lucy nie lubi grać w kręgle, a poza tym ten Paul jest ponoć wyjątkowym nudziarzem i spędzenie z nim wieczoru w kręgielni będzie straszliwą udręką.

Lecz nie udało mi się jej przekonać i Lucy na powrót zamieniła się w alpejski lodowiec.

— No cóż, skoro wolisz pójść z Mirandą, to trudno. Nie mam do ciebie żalu — powiedziała.

Była to oczywiście nieprawda. A siedzenie w ławce z obrażoną Lucy, która prawie się do mnie nie odzywała, okazało się bardzo uciążliwe.

Miranda wcale nie zamierzała mi współczuć.

— Myślałam, że będziesz zachwycona, że ta beznadziejna Lucy dała ci wreszcie spokój — stwierdziła. — Szkoda, że nie widziałas, jak ona teraz na mnie patrzy — jak na jakąś lafiryndę, która sprowadziła cię z drogi cnoty!

— Co przecież zrobiłaś — zauważyłam.

Wywiązała się między nami krótka bójka na kuksańce. Ciosy stawały się coraz bardziej bolesne; wreszcie Miranda zahaczyła najmniejszy palec o mój i złapała mnie za rękę.

— Hej, hej, jesteśmy przecież najlepszymi przyjaciółkami, pamiętasz?

Myślałam, że Carl bardzo się ucieszy, że Miranda ma ochotę pójść z nami na kręgle, ale kiedy mu o tym powiedziałam, był całkowicie zaskoczony.

— Wspomniałem o tym jako o pewnej możliwości. To nie była wiążąca propozycja! — powiedział. — Zresztą może to kiepski pomysł? Nie wiem,

czy Paul i Miranda w ogóle się dogadają. Wydaje mi się, że ona jest
138

dla niego zbyt ekscentryczna, za dużo mówi, za bardzo się narzuca. Paul to w sumie dosyć zwyczajny chłopak.

— No to za co ty go tak bardzo lubisz? — zapytałam zdziwiona. —
Przejętność cię nie ciekawi, a piłki nożnej wręcz nie cierpisz!

— Wcale nie lubię go „tak bardzo” — rozzłościł się Carl. — To po prostu kolega z mojej klasy i tyle.

Ale następnego wieczoru Carl przyszedł do mnie do domu, nie zdjawszy nawet swojego fioletowego szkolnego stroju. Zawsze wygląda nienagannie, ale akurat dziś koszula wyłaziła mu ze spodni, rękawy swetra miał podwinięte, a jego przepisowe czarne szkolne buty były okropnie pozdzierane i zasznurowane jas-noczerwonym sznurkiem. Policzki też miał czerwone.

— Czy ten piątek jest nadal aktualny? — zapytał z ożywieniem.

— Przecież sam powiedziałaś, że to kiepski pomysł!

— Tak, ale zmieniłem zdanie. Rozmawiałem dziś z Paulem, który znów zaczął temat. Powiedział, że fajnie byłoby się wybrać na kręgle z jakimiś dziewczynami, na co ja powiedziałem, że nie ma sprawy, to się da załatwić.

— Lepiej się w końcu zdecyduj, Panie Nie Ma Sprawy: wóz albo przewóz. Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. Wyglądało na to, że Carl rzeczywiście się przejął tym piątkowym wyjściem — chociaż w ubiegły piątek, kiedy wybieraliśmy się do Mirandy, nie denerwował się w ogóle. Do tamtej imprezy podchodził na pełnym luzie, to ja ciągle zmieniałam zdanie, czy chcę iść, czy nie.

Tylko Miranda od początku z entuzjazmem czekała na tę podwójną randkę. Pozwoliłam jej myśleć, że to ja wszystko ukartowałam: od niechcienia podsunęłam Carlowi pomysł, żeby zaprosił także Paula, po to, by sprawić Mirandzie przyjemność. I rzeczywiście sprawiłam.

— Ale ostrzegam: jeśli okaże się, że Paul jest ładny, ale nudny, wymienię go na Carla — powiedziała pół-żartem.

W piątek po powrocie ze szkoły spędziłam przed lustrem ponad godzinę, tylko po to, żeby zdecydować się w końcu na ten sam strój co poprzednio: dzinsy i czarny sweter mamy. Wiedziałam, że znowu będzie mi za gorąco, ale w tym swetrze wyglądałam znacznie lepiej niż w którymkolwiek z moich T-shirtów — układał się korzystnie na mojej klatce piersiowej, stwarzając złudzenie, że kryją się pod nim należycie rozwinięte piersi. Zaczęłam się zastanawiać, czy mama nie zamierza go przypadkiem włożyć na swoją niedzielną randkę — miałam nadzieję, że nie przepocę go pod pachami.

Lecz kiedy wstąpiłam po Carla, już byłam lekko spocona. Carl też wyglądał na podenerwowanego. Był niepokieszony, bo Jules wyrzuciła jakąś jego starą bluzę w stylu militarnym, którą zamierzał włożyć. I także miał na sobie dzinsy — swoją najstarszą parę, podartą na kolanie i wystrzępioną przy nogawkach.

— Oho, nowy, niechlujny image, jak widzę? — skomentowałam i zwichrzyłam mu włosy.

— Spadaj! Namęczyłem się z żelem, żeby to jakoś wyglądało.

— Nie lubię, jak masz nażelowane włosy. Kiedy układają się i lśnią

naturalnie, wyglądasz znacznie lepiej.

— Ale może image'u małego chórzysty mam już po dziurki w nosie? —

Carl z irytacją przeczesał włosy palcami. — No to co, idziemy? Tak na marginesie, mam przy sobie sporo gotówki, dzisiaj ja płacę.

— Dzięki.

Jules przyszła, żeby się z nami pożegnać. Wyraźnie uszczęśliwiona wyściskała nas oboje.

— Bawcie się dobrze, kochani — powiedziała. — Zadzwońcie, gdyby rozgrywka się przedłużyła i mielibyście wrócić naprawdę późno. —

Uśmiechnęła się do nas promiennie. — Powodzenia na torze!

Lekko onieśmieleni wyruszyliśmy w miasto.

— Nawet nie wiem, jak się w to gra — wyznałam.

— Prosta sprawa: toczysz kulę w kierunku kręgli, żeby je strącić. Ot i cała filozofia.

— I co w tym takiego fajnego?

— Jak to co, tej? To przecież w dechę imprezka, co nie? — wyjaśnił mi Carl gwarą. — Okazja, żeby się pokielczyć ze szczunami, trochę się postalować i zba-jerować jaką fajną mele.

— No to całkiem nieźle ci idzie, bo znajomy szczun będzie, a mele zbajerowałeś już dwie.

Carl uśmiechnął się szeroko i spojrział na zegarek.

— Umówiliśmy się z nimi o wpół do ósmej przed wejściem, tak? Mamy jeszcze dużo czasu. Na co masz ochotę? Może skoczmy jeszcze na kawę albo coś?

— Albo na drinka.

— Albo na kolację.

— Albo do nocnego klubu.

141

— Albo złapiemy pociąg nad morze.

— Nie, lepiej samolot do...

— Paryża?

— Nie, do Wenecji. Odwiedzimy warsztaty szklarskie na wyspie Murano i kupimy sobie najpiękniejszy kryształowy żyrandol.

— Powiesimy go w pałacu i urządzimy wielki bal, i będziemy tańczyć do białego rana.

— A w tym czasie Paul i Miranda będą sobie siedzieć w kręgielni, toczyć kule i strącać kręgle.

Roześmialiśmy się trochę za głośno i zamilkliśmy. Na końcu ulicy widać już było kręgielnię, jej niebiesko--pomarańczowy neon jarzył się hipnotycznie. Z ociąganiem zmierzaliśmy w tamtą stronę.

— Wcale nie musimy się dzisiaj z nimi spotykać — powiedziałam. — Równie dobrze moglibyśmy dać nogę i zostawić ich samych sobie. Nie musimy zaraz lecieć do Wenecji, możemy tak po prostu wrócić do domu, zaszyć się w Szklanej Altanie i być sobą.

— Wiem. Sylvie, nie kuś — odparł Carl.

— Przecież nie lubisz grać w kręgle, prawda?

— Prawda. Nie cierpię.

— No to dlaczego nas tu zaprosiłeś? Carl westchnął.

— Chyba chciałem zaimponować Paulowi.

Jego odpowiedź mnie zdumiała. Nie przypominam sobie, żeby Carl kiedykolwiek chciał zrobić na kimś wrażenie. Wyobraziłam sobie Paula: wysokiego, dobrze zbudowanego chłopaka w piłkarskim stroju; pewnie

ma przystojną twarz z mocno zarysowaną, kwadratową szczęką.

Bezskutecznie próbowałam jej nadać jakiś

142

wyraz. Paul maszerował przez moje myśli sztywno jak miniaturowy żołnierz — opalony, plastikowy, gotowy do działania.

— Hej, Paul już jest! Przyszedł jeszcze przed nami! — zawołał Carl i gwałtownie przyspieszył kroku. Prawie pobiegł mu na spotkanie.

Wyteżyłam wzrok i zlustrowałam wszystkich chłopaków, którzy czekali przed kręgielnią — tych podpierających ściany, skaczących po schodach w górę i w dół, siedzących na murku i machających nogami. Żaden nie pasował do mojego wizerunku Paula. Ale wtedy jeden z nich zaczął do nas machać i Carl podniósł rękę w odpowiedzi.

A więc to był Paul, ten przeciętniak w bluzie z kapturem, wytartych dżinsach i podniszczonych adidasach. Był od Carla trochę wyższy i trochę szerszy w ramionach. Ciemnoblonde włosy miał pokryte żelazem i postawione na sztorc, był odrobinę piegowaty i szczerzył się tak, że pokazywał w uśmiechu wszystkie zęby. Nie mogłam się zdecydować, czy jest przystojny, czy nie. Carlowi nie dorastał nawet do pięt.

Carl i Paul rozpoczęli ceremonię powitalną, składającą się z przybicia piątki i całej serii dziwacznych gestów, po której nastąpiła szalona prezentacja improwizowanych elementów kung-fu z młóceniem powietrza rękoma i wydawaniem idiotycznych dźwięków włącznie. Gapiłam się na nich z zaskoczeniem. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Carl robił z siebie takiego durnia — w normalnych okolicznościach miał na to zbyt wiele klasy. Zauważył moje spojrzenie.

— Paul, to moja koleżanka Sylvie — przedstawił mnie.

Dlaczego nie powiedział „dziewczyna”?

— Cześć, Paul — przywitałam się.

Paul wyciągnął rękę. Myślałam, że to kolejny element a la kung-fu, więc nie podałam mu mojej. Z zakłopotaniem cofnął dłoń; chciał po prostu wymienić powitalny uścisk. Zrobiło mi się strasznie głupio, ale było już za późno. W ramach zadośćuczynienia skinęłam mu głową z kretyńskim uśmiechem, tak żeby nie miał wątpliwości, że jestem do niego pozytywnie nastawiona.

— A gdzie Miranda? — spytał Paul.

Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół i wyraźnie miał nadzieję, że Miranda okaże się bardziej atrakcyjna.

— Umówiliśmy się z nią właśnie tutaj. Jesteśmy trochę za wcześnie — wyjaśniłam.

Oczekiwanie na Mirandę było torturą. Przez chwilę Carl, Paul i ja staraliśmy się ciągnąć rozmowę we troje, ale rwała się i wkrótce utknęła w niezręcznej ciszy. Wtedy Carl zapytał Paula o jakiś mecz, który szkolna drużyna rozegrała tego popołudnia, i zeszli na nudne piłkarskie tematy. Zdziwiłam się, że Carl w ogóle umie mówić takim slangiem. Wychwalał pod niebiosa jakąś zupełnie niesamowicie fantastyczną akcję Paula, tak jakby ten przeprowadził skomplikowaną operację mózgu, pogwizdując przy tym Alleluja Haendla, a nie latał po boisku za piłką. W swych pochwałach Carl nie cofnął się nawet przed słowem „odlotowy”. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma, zastanawiając się, czy nie robi tego, żeby podpuścić Paula. Ale nie, wyglądało na to, że Carl mówi poważnie. Rzuciłam mu porozumiewawcze spojrzenie, które zu-

pełnie zignorował. Odsunął się ode mnie, właściwie odwracając się do mnie plecami, i całą swoją uwagę skupił na Paulu, tym samym wykluczając mnie z ich towarzystwa. Traktował mnie teraz tak samo, jak wcześniej Lucy. Byłam taka zła i tak dotknięta, że o mało nie odwróciłam się na pięcie i nie pomaszerowałam sama do domu. Uznałam jednak, że muszę poczekać na Mirandę. Czekaliśmy na nią w nieskończoność.

— Czy ona się w ogóle pojawi? — zwrócił się do mnie Paul.

— Oczywiście, że tak — odparłam, chociaż sama zaczynałam mieć wątpliwości.

Miranda spóźniała się już dziesięć minut.

Wyjęłam komórkę, żeby sprawdzić, czy nie przysłała do mnie SMS-a, i sama do niej napisałam. Dwa razy.

Piętnaście minut. Dwadzieścia.

Zadzwoiłam do niej — zajęte. Pewnie dała sobie spokój z kręglami, spryciara, siedzi teraz wygodnie w domu i plotkuje przez telefon z Alice, Rajem albo Andym.

Dwadzieścia pięć minut.

— Nie przyjdzie — burknął Paul ze zmarszczonym czołem. Wyraźnie nie był przyzwyczajony do tego, że dziewczyny go wystawiają.

— Co ona sobie wyobraża?! — zirytował się Carl i spojrzał na mnie ze złością, tak jakby to była moja wina.

— A skąd ja mam to wiedzieć? — Wzruszyłam ramionami.

Zdecydowałam się zadzwonić do niej jeszcze raz — i... udało mi się połączyć. f

— Cześć, czemu do mnie dzwonisz, skoro już jestem na miejscu? —
zdziwiła się Miranda.

I rzeczywiście była. Szła w naszą stronę. W obcisłych dżinsach,
połyskliwej czarnej bluzce, bardziej rozpiętej niż zapiętej, i fikuśnym
krótkim futerku wyglądała olśniewająco. Jej włosy spływały na ramiona
falą bujnych loków. Nadchodziła ku nam drobnym, rozkołysanym
kroczkiem, wymuszonym przez niewiarygodnie wysokie obcasy jej
zabójczych butów.

Carl i Paul nie odrywali od niej oczu. Carl się uśmiechnął. Lekko
oszołomiony Paul pokręcił głową i gwizdnął przez zęby.

— To jest Miranda? — upewnił się. — O rany!

Miranda podeszła do nas, kręcąc biodrami, i zaczęła paplać, zaśmiewać się
i ścisnąć nas, jakbyśmy wszyscy byli jej starymi przyjaciółmi, nawet Paul
— a może zwłaszcza Paul. Nie przeprosiła za spóźnienie, najwidoczniej
zupełnie się nim nie przejęła. Kiedy Carl zapłacił za jej wejściówkę do
kręgielni, przyjęła bilet tak, jakby się jej należał, i nawet mu nie
podziękowała. Mną też nie zwracała sobie głowy. Zagadywała wyłącznie
Paula, a on jej przytakiwał, uśmiechał się i brylował, aż się robiło
niedobrze.

— Zadowolony? — odezwałam się do Carla, kiedy staliśmy w kolejce.

— Jasne — odpowiedział, ale było widać, że wcale tak nie jest.

Dudniąca muzyka, zgiełk i stęchły smród smażonych potraw od razu
zniechęciły mnie do kręgielni. Sama gra też była beznadziejna. Za nic nie
mogłam trafić kulą w kręgle. Próbowalam naśladować innych graczy,
brałam rozmach, pochylałam się i puszczałam kulę, ale

I

ciągle chybiałam, a przy którejś kolejce moja kula zboczyła na sąsiedni tor i czterech grających na nim chłopaków zbluzgało mnie okropnie. Puściłam to mimo uszu, chociaż byłam pewna, że jestem czerwona jak burak.

Stałam z ręką opartą na biodrze i od czasu do czasu ziewałam, starając się sprawiać wrażenie, że gra nudzi mnie tak bardzo, że nawet nie chce mi się porządnie wycelować, lecz nikt nie dał się na to nabrać.

To, że troje moich towarzyszy radziło sobie świetnie, wcale nie ułatwiało sprawy. Paul był zupełnie bezkonkurencyjny, kulą operował stylowo i bez wysiłku, a jego niczym niewyróżniające się, chłopięce ciało nabierało nagle niezwykłej gracji Szklanego Chłopca. Psuł ten efekt sekundę później, podskakując i grzmocąc pięścią powietrze jak szalony za każdym razem, kiedy udało mu się strącić wszystkie dziesięć kręgli naraz, czyli regularnie co kolejkę.

Carl usiłował podrabiać jego styl — pochylał się dokładnie w ten sam sposób, wyciągał szyję i zginał nadgarstek jak cień Paula. Potrafił naśladować jego technikę, ale brakowało mu wrodzonego talentu, więc choć na torze prezentował się nieźle, ani razu nie udało mu się strącić więcej niż połowy kręgli.

Miranda oczywiście wszystko robiła po swojemu. W opiętych spodniach i na wysokich obcasach ledwie mogła się schylić, więc kulą rzucała z dziwnego półprzysiadu, wypinając pupę, tak że gapili się na nią wszyscy faceci. Była tego w pełni świadoma i wdzięczyła się do swej publiczności, trzepiąc długimi włosami i pochylając się jeszcze niżej; jedyne dwa zapięte guziki jej bluzki tego nie wytrzymały i odpadły.

Wszyscy

spodziewali się, że efekt jej rzutów będzie równie mizerny jak moich, lecz Miranda jakimś cudem załapała, w czym rzecz. Za każdym razem kula rzucona jej ręką mknęła po torze prosto jak strzełił i przewracała kręgle z przyjemnym stuknięciem.

Przez jakiś czas Miranda i Paul szli łąb w łąb, ale później Paul zaczął zdobywać przewagę. Miranda śmiała się i poklepywała go po plecach, powtarzając mu sztucznym, niby-zmysłowym głosem, że jest absolutnie fantastyczny. Pomyślałam, że ją też coś opętało, tak samo jak Carla, lecz wtedy Miranda spojrzała na mnie porozumiewawczo i zrobiła głupią minę. Po prostu pogrywała Paulem dla własnej satysfakcji.

Wyglądało na to, że ten wieczór nigdy się nie skończy. Wszystko przez Paula. To on sprawiał, że Carl i Miranda zachowywali się jak para kretynów z durnej kreskówki. Nie mogłam znieść sposobu, w jaki Paul odnosił się do Carla — traktował go z góry, popychał, a przy tym przeklinał i opowiadał niesmaczne dowcipy. Carl starał się do niego dostosować, mimo że zawsze nie cierpiał takiego zachowania. Nie mogłam znieść sposobu, w jaki Paul patrzył na Mirandę — zupełnie jakby była panienką z trzeciej strony jakiegoś brukowca. A Miranda mizdrzyła się do niego, wypinała się i chichotała, aż miałam ochotę nią potrząsnąć. Nie mogłam znieść sposobu, w jaki Paul traktował mnie. Przez większość czasu całkiem mnie ignorował, jako niegodną jego uwagi, ale kiedy już musiał się do mnie odezwać, zaczynał mi wydawać rozkazy, jak gdybym była czyjąś młodszą siostrą, której obecność z trudem trzeba tolerować.

Poszliśmy coś zjeść. Zamówiliśmy hot dogi z frytkami, a Paul sięgnął po

keczup i musztardę i obficie ozdobił swojego hot doga żółtymi i czerwonymi esami--floresami. To samo zrobił z hot dogiem Carla. Carl tylko się roześmiał, chociaż jego jedzenie utonęło w tych sosach. Wziął keczup i w odwecie zalał nim talerz Paula. Nie wierzyłam własnym oczom.

Miranda westchnęła i elegancko, jedna po drugiej, zaczęła jeść swoje frytki.

— Miranda, poczekaj, poprawimy im smak! — zachichotał Paul i wycelował butelkę z musztardą w jej talerz.

— Wyciśnij choćby łyżeczkę, a wtłoczę ci ją do gardła i doprawię nią twoje migdałki — powiedziała spokojnie Miranda.

Paul zamrugał ze zdziwienia.

— Dobrze już, dobrze, przecież tylko żartowałem. Carl ukradkiem zeskrobał większość keczupu i musztardy ze swojego hot doga. Wiedziałam, jak nie cierpi tanich sosów.

— A może ty się skusisz, Sylvie? — zapytał Paul, zonglując żółtą i czerwoną butelką.

— Nie, dziękuję. Zachowujesz się jak dwulatek — powiedziałam sztywno. Paul zrobił głupią minę.

— Ojeej, ależ dostałem ochrzan! — oznajmił z przekąsem. — Na dodatek od najmłodszej w towarzystwie, śmiechu warte.

— Założę się, że nie jestem tu najmłodsza — stwierdziłam. — Ile dokładnie masz lat? Kiedy przypadają twoje urodziny?

149

Okazało się, że jestem druga pod względem starszeństwa.

— W takim razie do twoich urodzin zostało już niedużo czasu, Carl —

zauważyła Miranda. — Co byś chciał dostać? Pewnie jakiś wyszukany i pięknie połyskujący bibelocik ze szkła?

Wstrzymałam oddech. Jeśli Miranda zacznie teraz opowiadać o Szklanii, Carl mnie chyba zabije. Nie, gorzej — już nigdy nie będzie chciał się ze mną bawić w Szklanię.

Paul się roześmiał, wzięwszy jej uwagę za ekscentryczny dowcip.

— Ze szkła? — powtórzył. — Jak to ze szkła? A po co mu szkło?

— Przecież Carl to prawdziwy Szklany Chłopiec, nie wiedziałeś? — wyjaśniła Miranda.

Carl zrobił nerwowy ruch głową. Miranda też to zauważyła.

— Byłeś zachwycony moimi witrażami, prawda? — dodała gładko. — I sam mówiłeś, że kolekcjonujesz kryształy.

— Niby tak — mruknął Carl.

— No coś ty, wazony i takie rzeczy? — nie mógł uwierzyć Paul. — Ale odpał!

— Wcale nie. Carl zgromadził naprawdę niesamowitą kolekcję — wtrąciłam się. Wiedziałam, po jaki argument sięgnąć, żeby zrobić na nim wrażenie. — Niektóre rzeczy podobne do tych ze zbiorów Carla chodzą na eBayu za ciężkie pieniądze, a Carl kupił je dawno temu za parę funtów.

— Naprawdę? — zdziwił się Paul. — Próbowałem

150

I

Mn sprzedawać świnki-skarbonki, ktoś mi powiedział, że są sporo warte, ale największa kwota, jaką mi za nie zaoferowano, to złamane pięć funciaków, mniej niż koszt wysyłki tego badziewia. Świnki zbierałem, jak byłem mały. Hej, Carl, mam też jedną szklaną. Chciałbyś ją? Mogę ci dać

w prezencie urodzinowym.

— Super — powiedział Carl.

— No to się za bardzo nie wykosztujesz, stary — stwierdziła Miranda. — Ale zaraz, Carl, mam kapitalny pomysł na twoje urodziny!

Nie znoszę tego, że Miranda zawsze się tak szarogęsi.

— Urządzasz przyjęcie urodzinowe? — zapytała Carla.

— Raczej nie.

— Nie jesteś miłośnikiem imprez, co? W takim razie wybierzmy się razem na specjalną urodzinową wycieczkę!

— Carl i ja mamy już pewne plany — powiedziałam szybko.

Carl i ja zawsze obchodzimy jego urodziny we dwoje. Świętowanie zaczyna się zazwyczaj od rodzinnego obiadu, ale potem Jules przeważnie zabiera nas w jakieś specjalne miejsce. W zeszłym roku oglądaliśmy cudowną wystawę przedmiotów ze szkła w Muzeum Wiktorii i Alberta, umieszczoną w salach na najwyższym piętrze, na które prowadzą zielone szklane schody z balustradą także ze szkła. Carl zbiegł po nich na sam dół, stepując jak Fred Astaire, a swój występ zakończył wysokim wyrzutem nogi i piruetem, po czym triumfalnie uniósł ręce jak tancerz, a ja nagrodziłam go burzą oklasków.

151

— A co takiego zaplanowaliście? — dopytywała się Miranda.

— Yyyy... — zamilkłam. Tu mnie złapała, jak dotąd nie wpadłam na żaden pomysł. — Pewnie pójdziemy do muzeum. Nudzilibyście się z nami.

— Ja pewnie tak. Dlatego mam znacznie lepszy pomysł niż wizyta w nudziarskim muzeum: wybierzemy się na wieczorne zwiedzanie do Królewskich Ogrodów Botanicznych w Kew.

— Ogrody? — odezwał się Carl. — Dzięki, Mirando, ale urodziny wolałbym jednak spędzić gdzie indziej.

— Nie bądź tego taki pewien. Mają tam wystawę Chihuly'ego.

— Naprawdę? — zainteresował się Carl.

— Wystawę czego? — nie zrozumiał Paul.

— Chihuly to świetny amerykański artysta, tworzy niesamowite instalacje ze szkła — wytłumaczyła mu Miranda.

— Na pewno kojarzysz: zaraz przy wejściu do Muzeum Wiktorii i Alberta wisi fantastyczny szklany żyrandol, gigantyczny, który wygląda jak kłębowisko setek żółtych i zielonych węży. To dzieło Chihuly'ego — dopowiedział Carl.

— Skąd wiesz o tej wystawie? — zapytałam Mirandę. Wyszczерzyła zęby w uśmiechu.

— Od taty. On też ma trochę fioła na punkcie szkła. To co, Carl, jesteście umówieni? W twoje urodziny, czyli w przyszły piątek, ty, ja, Sylvie...

Carl spojrzał na Paula.

— Idziesz z nami?

— No pewnie — odparł Paul.

Wyglądało na to, że nasza paczka powiększyła się o Paula, czy mi się to podobało, czy nie. Kiedy wracaliśmy we dwoje do domu, Carl zwrócił się do mnie z pytaniem:

— I co sądzisz o Paulu? Wzruszyłam ramionami. — Jest w porządku.

Był bardzo zawiedziony.

— Tylko „w porządku”? — zapytał. — O co ci chodzi? Dlaczego go nie lubisz?

— Ależ lubię. Tak dosyć. Chodzi o to, że Paul jest taki... — Zaczęłam

szukać odpowiedniego słowa. Mało rozgarnięty? Przeciętny? Nudny? Zdecydowałam się na „chłopacki”.

— Przecież jest chłopakiem. Niby jaki miałby być? — spytał Carl.

153

— No tak, ale on się bez przerwy wygłupia. Nie jest czasem trochę nadpobudliwy? A ta zabawa z hot dogami...

— Daj spokój, Sylvie, Paul ma po prostu specyficzne poczucie humoru. Ciagle się zgrywa. Nawet podczas meczu, kiedy biegnie z piłką do bramki, potrafi zacząć wycinać jakieś szalone hołubce, aż pan Grisby, nasz nauczyciel wf-u, na niego wrzeszczy, ale wtedy Paul bierze zamach, rąbie w piłkę i zdobywa kolejnego gola. — Carl próbował mi to zademonstrować. Wyglądał żałośnie.

— Chyba nie zaczniesz teraz grać w nogę? — zapytałam.

— Nie, jasne, że nie. Na boisku jestem beznadziejny, wiesz przecież. Ale kibicowanie Paulowi sprawia mi dużą frajdę. Jest w tym naprawdę dobry. Zamierzają go wysłać na testy do drużyny juniorów, która działa przy jednym z największych klubów piłkarskich. Paul jest najlepszym piłkarzem w naszej szkole, a jednak wcale nie zadziera nosa z tego powodu.

— To nie do wiary, że zaprzyjaźniłeś się z gościem, który kopie piłkę — powiedziałam.

— A dlaczego nie? — spytał Carl. — Poza tym Paul nie zajmuje się tylko kopaniem piłki. Jest bystry, ma niezłe stopnie prawie ze wszystkich przedmiotów. Dużo czyta, zwłaszcza literaturę fantasy. Pożycz mi kilka swoich ulubionych książek, jedna z nich przypomina trochę naszą opowieść o Szklanii. Mogę ci ją dać do przeczytania, jeśli chcesz.

— Dzięki, wolalabym się zająć wymyślaniem dalszych dziejów naszej Szklanii.

154

— Na dodatek Paul całkiem dobrze pisze. Redaguje komiks w szkolnej gazetce. Planujemy pisać wspólnie nową historyjkę.

Carl nadawał o nim przez całą drogę do domu, co było prawie tak fatalne, jakby Paul wracał razem z nami. Zaczęłam się zastanawiać, czy Paul odprowadzi Mirandę do domu, czy też zostawi ją na przystanku autobusowym. Byłam ciekawa, jak będzie wyglądało ich pożegnanie.

— Myślisz, że będą się całować? — zapytałam. Carl przystanął.

— Kto?

— Miranda i Paul.

— Nie. Może? Nie wiem. A dlaczego? Myślisz, że naprawdę mu się spodobała? Sądziłem, że maksymalnie przegięła, to jej kręcenie tyłkiem i w ogóle. Aż było mi za nią wstyd, zachowywała się tak ordynarnie.

Domyślałam się, że potrafi być zabawna, ale i tak nie mogę pojąć, co ty w niej widzisz, Sylvie.

Zawrzało we mnie. Carl bez żadnych zahamowań krytykuje moje przyjaciółki. Jego uwagi o Mirandzie były niegrzeczne, a o biednej Lucy wręcz okrutne, lecz kiedy ja pozwoliłam sobie na dość oględną krytykę w stosunku do Paula, nie potrafił jej przyjąć-

— Z drugiej strony, to dobrze, że mamy w składzie jeszcze jedną dziewczynę. We trójkę mogłoby nam być trochę niezręcznie — powiedział. — A pomysł, żeby się wybrać na Chihuly'ego do ogrodów w Kew, jest kapitalny.

— Nie możemy iść sami? — zapytałam.

— Ale to pomysł Mirandy. Poza tym zaprosiłem też Paula, a on się zgodził.

— A co ze mną? — spytałam. — Mnie nie zaprosiłeś.

— Nie musiałem. Przecież wiem, że będziesz chciała ze mną pójść, Syl — stwierdził Carl i otoczył mnie ramieniem. — No już, przestań się boczyć.

Ostatnimi czasy obejmował mnie tak rzadko, że teraz po prostu nie mogłam się dłużej obrażać. Przysunęłam się do niego tak blisko, jak się tylko dało. Carl miał na sobie dzinsową kurtkę, której okrągłe metalowe guziki boleśnie wbijały mi się w ciało, ale nie przejęłabym się tym nawet wtedy, gdyby wrosły mi w skórę na stałe. Skręciliśmy w naszą ulicę.

Marzyłam, żeby rozciągnęła się jak stąd do Chin, żebyśmy mogli tak iść bez końca i żeby ciepłe ramię Carla zawsze obejmowało opiekuńczo moje ramiona.

Kiedy dotarliśmy pod dom, Carl się zatrzymał; patrzył mi prosto w oczy i nadal mnie obejmował. Przemknęło mi przez głowę, że ta chwila wreszcie nadeszła. Nasza chwila. Pięknie wykrojone usta Carla złożyły się do pocałunku; zaczęłam drżeć. Lecz Carl cmoknął tylko powietrze i zmienił wszystko w czuły żart.

— Dobranoc, Syl — powiedział i wszedł do swojego domu.

Pobiegłam do nas, ledwo panując nad sobą. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, żeby spokojnie zebrać myśli, ale natknęłam się na pannę Miles, która człapała właśnie w kapciach do łóżka, z filiżanką ziołowej herbatki w jednej i książką w drugiej ręce. Zapytała, gdzie byłam, a kiedy jej odpowiedziałam, że grałam w kręgle, ku mojemu zaskoczeniu bardzo się

zainteresowała i stwierdziła, że sama miałaby ochotę kiedyś spróbować. Wizja panny Miles na kręgielni była tak groteskowa, aż mnie замуrowało. Dopiero kiedy panna Miles zapytała, czy białe stroje są obowiązkowe, dotarło do mnie, że pomyliła grę w kręgle z grą w bule, dużo bardziej odpowiednią dla staruszków. Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem.

— Oho, ktoś wrócił w dobrym humorze! — zawołała mama z salonu. — Sylvie, chodź mi opowiedzieć, jak było. Dobrze się bawiłaś, kochanie? Opowiadaj!

Jej komputer był nadal włączony i właśnie wydał ciche piknięcie, sygnalizujące nadejście nowej wiadomości. Mama zachowała się jak wzorowa rodzicielka, nie odwróciła wzroku od mojej twarzy, żeby spojrzeć na ekran. Za to ja podejrzliwie zerknęłam, wzdrygając się na samą myśl, że jakiś typek przysyła obleśne liściki do mojej mamy.

— Hej, nie pozwoliłam ci czytać mojej poczty! — zaprotestowała mama, rozpromieniona i z rumieńcem na twarzy. — Geny już dzisiaj do mnie dzwonił. Poczułam wielką ulgę, bo trochę się bałam, że po wylewie pozostały mu trudności z mówieniem i nie będę mogła go zrozumieć, ale dzięki Bogu mówi zupełnie normalnie. Co więcej, ma bardzo miły głos, taki sympatyczny i ciepły. I bardzo się cieszy na nasze niedzielne wyjście na basen.

— Pożyczyć ci mój kostium?

— Przecież w życiu bym się w niego nie wbiła! Zaszalałam i kupiłam sobie nowy. — Mama podniosła się z miejsca i zaczęła gmerać w plastikowej reklamówce. — Co o nim sądzisz?

Kostium był szkarłatny w małe białe różyczki.

— Nie mogłam znaleźć nic przyzwoitego. Ten ma ładny fason, ale był dostępny tylko w tym kolorze. Jest taki jaskrawy. Myślisz, że jest dla mnie zbyt krzykliwy?

Zrobiłam, co mogłam, żeby rozwiać jej wątpliwości. Potem mama zadała mi mnóstwo pytań na temat Carla, Mirandy i Paula. Przy Paulu zatrzymała się na dłużej.

— Jaki jest ten Paul? Przystojny? Jak się ubiera? Czy to miły chłopiec? Dobrze się bawiłaś w jego towarzystwie?

— Nie bawiłam się tylko w jego towarzystwie, mamo. Byliśmy na kręglach we czwórkę: on, Miranda, Carl i ja — sprostowałam.

— Wiem, że nie widzisz świata poza Carlem, kochanie, ale... ale może byłoby dobrze, gdybyś zaczęła się spotykać także z innymi chłopcami?

— Ani mi się śni, dziękuję bardzo. Daj spokój, mamo, przecież wiesz, że zależy mi tylko na Carlu.

Mama westchnęła.

— Tak, wiem, ale... Och, zresztą nieważne. Jestem pewna, że w swoim czasie wszystko się ułoży. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, córeczko. Kiedy wreszcie dotarłam do siebie na górę, rozdzwoniła się moja komórka. Miałam nadzieję, że to Carl, ale odezwała się Miranda.

— Sylvie, myślę sobie, że nasz nowy przyjaciel Paul urwał się chyba z akwarium — powiedziała. — Zachowuje się jak ośmiornica! Na pożegnanie pozwoliłam mu na malutkiego buziaka i już jedną mackę miałam tu, drugą tam, ledwo udało mi się z nich wyplątać. Czy Carl też jest taki?

— Carl?... Nie. Stanowczo nie, ani trochę — odparłam. — To Paul spodobał ci się w końcu czy nie?

— Hmm. No cóż, może być. W zasadzie. Chociaż wolałabym Carla.

— Ale Carl jest zajęty — podkreśliłam.

— Wiem, wiem...

— Daruj sobie to rozżalenie! Słuchaj, myślisz, że ta urodzinowa wyprawa do Kew naprawdę się uda? Może lepiej by było pójść jeszcze raz na kręgle? Albo wybrać się razem na pizzę? Ogród botaniczny to chyba dosyć dziwny wybór, zwłaszcza że idzie z nami Paul.

— Och, Paul na pewno będzie zachwycony. Przy każdej okazji będzie mnie ciągnął za co dorodniejsze palmy — zachichotała Miranda. — To może być nawet zabawne.

Nie było sposobu, żeby wybić jej z głowy ten pomysł. A Kew to było specjalne miejsce Carla i moje. Kiedyś zabrała nas tam Jules, urządziliśmy sobie wtedy piknik pod wierzbą, a później zwiedziliśmy wszystkie cieplarnie. W palmiarni Carl i ja wspieiliśmy się po skrzypiących schodkach na platformę widokową pod samym dachem. Patrzyliśmy na palmy rosnące w dole i na egzotyczne ptaki przelatujące z gałęzi na gałąź. Czuliśmy się jak w prawdziwej dżungli. Wkrótce potem Szklania zyskała własną oranżerię — gigantyczny kryształowy pałac, w którym swobodnie szybowały albatrosy, rzucając cienie rozłożystych białych skrzydeł; wspaniałe czerwone róże, białe lilie i różowe storczyki kwitły tam bujnie w cieplarnianych warunkach, podczas gdy padający na zewnątrz śnieg zdobił szyby oranżerii delikatną koronką.

Dlaczego to nie ja dowiedziałam się o tej wystawie Chihuly'ego? Dlaczego Miranda zawsze musi wtykać nos w nie swoje sprawy i dyrygować wszystkimi wokół? Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie mam jej już dosyć, ale kiedy w sobotę do mnie zadzwoniła i zapytała, czy nie chciałabym do niej wpaść, jednak się ucieszyłam.

— Najlepiej przyjedź zaraz! Nudzę się okropnie! — powiedziała. — I zabierz ze sobą Carla.

— Nie mogę, jest na meczu. Podziwia grę naszego cudownego chłopca w złotych butach — wyjaśniłam.

Miranda zachichotała.

— Co za szczęście, że ja nie muszę chodzić na jego mecze! Piłka nożna to najnudniejsza gra na świecie. No dobra, Sylvie, w takim razie czekam na ciebie. Będziesz szybko?

— Już wychodzę — powiedziałam, chociaż nie miałam pojęcia, jakim cudem dostanę się do niej na drugi koniec miasta.

Mamy akurat nie było, zawiozła pannę Miles w odwiedziny do jej matki, która przebywa w domu spokojnej starości w Worthing. Panna Miles wydaje mi się strasznie wiekowa i nie mogę sobie wyobrazić, że gdzieś w Worthing na wózku inwalidzkim żyje jej jeszcze starsza i bardziej pomarszczona wersja. Postanowiłam, że ja nigdy się aż tak nie zestarzeję. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zapukać obok i zapytać Jules, czy nie zawiozłaby mnie do Mirandy. Było to dość bezczelne, ale Jules pozwalała mi przecież uważać się za członka rodziny. W pośpiechu przebra-

160

łam się w najlepsze dzinsy i T-shirt z krótkim rękawem, na który narzuciłam haftowaną w etniczne wzory kamizelkę mamy — nosiła ją

jeszcze przed moim urodzeniem. Miałam nadzieję, że w tym stroju będę się prezentować niebanalnie, jak miłośniczka stylu vintage, chociaż podejrzewałam, że wyglądam po prostu jak wystrojona w stare ciuchy po własnej matce. Trudno, nie miałam czasu, żeby dłużej deliberować przed lustrem.

Zgarnęłam klucze do kieszeni i pobiegłam do Johnsonów. Po dłuższej chwili otworzył mi Jake, ubrany w sweter włożony na pidżamę, z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

— Cześć, Jake — powiedziałam. — Chyba cię nie obudziłam? Jest już druga po południu!

— To była długa noc — wyjaśnił mi Jake. Podrapał się w głowę i ziewnął.

— Mieliśmy próbę, pracujemy nad moim nowym kawałkiem.

Jake jest gitarzystą w jakiejś śmiesznej szkolnej kapeli, ale mówi o tym tak, jakby grał w superzespolu i miał miliony fanów.

— I co, dobrze wam poszło? — zapytałam grzecznie, udając zainteresowanie.

— A tak, naprawdę całkiem nieźle — zamilkł i zagrał kilka taktów na nieistniejącej gitarze. — Musimy jeszcze poćwiczyć przed publicznością. Wpadnij kiedyś nas posłuchać, Sylvie. I zaproś paru przyjaciół.

— Na przykład... Mirandę? — Przejrzałam go.

— Czemu nie, zresztą kogo bądź — odpowiedział.

— Zobaczymy, może będzie okazja — odparłam. — Jake, czy twoja mama jest w domu?

161

— Mama? Nie, chyba pojechała do miasta obejrzeć jakąś wystawę. Tata też. A Cudowny Chłopiec poszedł na mecz.

— Wiem. No to klops, bo chciałam ubłagać twoją mamę, żeby mnie podrzuciła do Mirandy.

— Mnie nie musiałabyś błagać, podwiózłbym cię — gdybym tylko umiał prowadzić. Ale mogę cię zawieźć rowerem, na kierownicy, chcesz?

— Cha, cha, bardzo śmieszne!

— Mówię poważnie. Zmieściłabyś się spokojnie, taka z ciebie pchełka. Skrzywiłam się na dźwięk mojego przezwiska.

— W takim razie chyba będę musiała pójść piechotą — stwierdziłam i skinęłam mu na pożegnanie.

Był to bardzo długi spacer — przez całe miasto. Włożyłam buty na obcasie i jeszcze zanim doszłam do końca mojej ulicy, wiedziałam, że to poważny błąd, ale szkoda mi było tracić czas na cofanie się i zmianę obuwia.

Pokuśtykałam dalej, a w pewnej chwili nawet zerwałam się do biegu, żeby złapać autobus. Kolejny błąd: okazało się, że nie zabrałam pieniędzy, więc musiałam wysiąść i kontynuować wędrówkę. Postanowiłam skrócić sobie drogę i zgubiłam się w sieci wąskich uliczek. Kiedy w końcu zadzwoniłam do drzwi białego domu, było już po wpół do czwartej.

Żadnej odpowiedzi. Zaczęłam się zastanawiać, czy Miranda nie wyszła dokądś beze mnie. Nacisnęłam dzwonek jeszcze raz, a potem spróbowałam znowu, bez skutku. Wreszcie odwróciłam się i kulejąc, poczłapałam markotnie w stronę bramy.

Usłyszałam za sobą trzask otwieranych drzwi.

162

— Jakoś szczególnie ci się nie spieszyło, co? — powitała mnie Miranda. Była ubrana na czarno, ale ta czerń sprawiała wrażenie dziwnie przyprószonej.

— Magiczny pył, Dzwoneczku? — Dotknęłam palcem śladów białego proszku na jej ubraniu.

— Nie pogarszaj sprawy! — powiedziała Miranda z irytacją i trzepnęła mnie po łapie. — Gdzieś ty się tak długo podziewała?

— Przepraszam, pobłądziłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że to tak daleko — zaczęłam się usprawiedliwiać, ale Miranda nie słuchała.

— Wchodź, no dalej! — zakomenderowała. — Jesteśmy w kuchni.

Pieczemy. Masz sporo do nadrobienia.

Kiedy od naszej rozmowy upłynęło dziesięć minut, a ja wciąż się u niej nie zmaterializowałam, Miranda zadzwoniła po Alice. Przygotowała dla niej koktajl ze świeżych owoców w specjalnym blenderze swojej mamy i to natchnęło je pomysłem pieczenia ciast. Nigdy wcześniej tego nie robiły, lecz to ich wcale nie zniechęciło. Długi stół w kuchni był cały zastawiony opakowaniami z mąką, jajkami, cukrem, masłem i dżemem, a pomiędzy tym wszystkim poniewierały się miski, miseczki i łyżki.

Alice, z włosami upiętymi w kok na czubku głowy, bez entuzjazmu ubijała w misce jakąś breję. Jej twarz miała barwę mąki. Uśmiechnęła się do mnie blado — wyraźnie wolałaby mieć Mirandę tylko dla siebie. Po chwili obie wróciły do przygotowywania swoich ciast i plotkowania, tylko od czasu do czasu prosiły mnie o podanie im mąki albo mleka, tak jakbym była

163

ich podkuchenną. Już miałam ochotę stamtąd wyjść i ruszyć przez całe miasto z powrotem do domu. Miranda wyciągnęła rękę i obsypała mnie mąką.

— Sylvie, nie rób takiej nadąsanej miny! Jeszcze zdążysz upiec własne ciasto, jeśli się naprawdę pospieszysz. Chociaż fakt, jesteś dzisiaj

wyjątkowo nieruchawa.

— Czyżby? Przez całą drogę prawie biegłam! — prychnęłam i oddałam jej.

— Co to w ogóle za pomysł, żeby przejść taki kawał piechotą?! Nie mógł cię ktoś podwieźć? — obsypała mnie jeszcze raz.

— Nie miał kto. Ani mojej mamy, ani mamy Carla nie było w domu.

Miranda, przestań, będę cała w mące!

— No to czemu nie wzięłaś taksówki?

Omiał nie wysypałam jej na głowę całej torby mąki.

— Bo nie mam za co! Nie jestem taką nadzianą, rozpuszczoną dziewczuchą jak ty!

— Hej, tylko się nie pobijcie! — wtrąciła się Alice. — I przestańcie marnować mąkę, jest mi potrzebna. Zobaczcie, coś dziwnego porobiło się z tymi jajkami, jakoś nie chcą się ubić. Myślicie, że są zepsute?

— Rozpływają się ze współczucia dla Sylvie — stwierdziła Miranda, po czym niespodziewanie zarzuciła mi omączzone ramiona na szyję i uściskała mnie.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam! Nie gniewaj się na mnie, co? Dalej, łap za miskę i bierz się do roboty. Umiesz piec?

— Oczywiście — odparłam, chociaż dotychczas piekłam tylko biszkopeciki dla Barbie, z torebki.

Za to Carl jest fantastycznym kucharzem. Zaczął interesować się kuchnią już jako siedmiolatek, za sprawą

164

książeczki z przepisami Kubusia Puchatka — upiekł wtedy naprawdę pyszny biszkopt, który stał się podstawą jego tortu urodzinowego. Później

zachwycił się Nigellą i jej ciastem czekoladowym, a potem przeniósł całą swoją sympatię na Jane Asher i kiedy któreś z nas miało urodziny, eksperymentował z jej przepisami. Nie pozwalał, żebym mu pomagała, przy każdej próbie dostawałam po łapach drewnianą kopyścią, ale zawsze przysługiwał mi przywilej wylizywania miski, a jeśli byłam wystarczająco namolna, Carl godził się na to, żebym miała swój skromny udział w lukrowaniu.

Zakasałam rękawy i zaczęłam odmierzać składniki i ubijać jajka. Kiedy Miranda i Alice skończyły się bawić z wyrabianiem swoich ciast, do których dodały za dużo jajek, mąki i stanowczo zbyt dużo mleka, tak że można je było raczej wypić, niż wstawiać do piekarnika, moje też było gotowe. Miranda znalazła trzy różne formy do pieczenia. Szybko chwyciłam najlepszą blachę, do ciasta biszkoptowego, bo bardzo mi zależało, żeby mój wypiek się udał.

— Twoja mama dużo piecze? — zapytałam. Kolekcja foremek do pieczenia zrobiła na mnie spore wrażenie.

— Moja mama? — powtórzyła Miranda i niecierpliwym ruchem odgarnęła z twarzy długie włosy, pozostawiając na nich zabawne białe pasemko. — No coś ty! Tak bardzo boi się utyc, że prawie nie wchodzi do kuchni. Gdyby tylko wyczuła zapach naszych ciast, zaraz musiałaby sobie wyszorować przewody nosowe.

Myślałam, że Miranda żartuje, ale kiedy poszłam poszukać łazienki, natknęłam się na niezwykle chudą kobietę, która pęsetą regulowała sobie brwi w wene-

kim lustrze. Na mój widok uniosła pytająco tę pięknie wysklepioną brew.

— Najmocniej przepraszam — wymamrotałam z zakłopotaniem.

Lustrzane odbicie kobiety uśmiechnęło się do mnie.

— Nic nie szkodzi, kochanie. Kim jesteś? Mówiła do mnie wolno, łagodnym głosem, jakbym miała sześć lat.

— Mam na imię Sylvie, jestem przyjaciółką Mirandy

— wyjaśniłam.

— Ach tak, oczywiście — odparła. Subtelnie wciągnęła powietrze nosem.

— A co to za zapach, Sylvie?

— Pieczemy ciasto. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, wszystko po sobie posprzątamy

— odpowiedziałam z obawą.

— Ależ nie, nie mam nic przeciwko. Pieczecie ciasto! Urocze! —

powiedziała takim tonem, jakby myślała coś dokładnie przeciwnego.

Pani Holbein sprawiała wrażenie osoby żywiącej się wyłącznie liśćmi rukoli i wodą mineralną Evian. W swoim wychudzeniu była piękna pięknnością jakby nie z tego świata, prawie bezcielesną. Miała ciemne oczy, lekko zadarty nos i gęste, lśniące włosy tak samo jak Miranda, ale w jej twarzy dominowały wystające kości policzkowe i spiczasty podbródek. Była ubrana w kusy markowy T-shirt i wąskie dżinsy, które wisały na niej jak na wieszaku.

Zaczęłam się zastanawiać, jak by to było mieć tak olśniewająco piękną, ale i przerażająco kruchą matkę. Pomyślałam z czułością o mojej mamie, jej włosach farbowanych w domu, okrągłej twarzy i cerze z tendencją

166

do świecenia. Mama nie jest gruba, chociaż musi się nieźle namęczyć,

żeby się dopiąć w swoich dzinsach z Tesco.

— Spotkałam twoją mamę — powiedziałam Mirandzie po powrocie do kuchni.

Miranda przerwała wykrobywanie miski po cieście.

— Starą Anorektyczkę Annie? — zapytała.

— Ależ ona jest chuda! Musi być chyba cały czas na diecie? — spytałam.

— O tak. A poza tym co dzień o szóstej rano ćwiczy pod okiem osobistego trenera, a raz w tygodniu poddaje się płukaniu jelita grubego. Płaci za to, żeby jakiś baran pakował jej szlauch do odbytu, wyobrażacie sobie?!

Wyobrażyłyśmy to sobie aż nazbyt realistycznie. Jęknęłyśmy ze zgrozy, a potem wybuchnęłyśmy chichotem.

— Ale trzeba jej przyznać, że wygląda fantastycznie — powiedziała Alice.

— Za taką figurę oddałabym wszystko.

— A ja nie! — oświadczyła Miranda. — Uważam, że to nienormalne. Nie jest już nawet modelką, więc nie może się zasłaniać swoją pracą.

— Była prawdziwą modelką? — zainteresowałam się.

— Tak, zaczęła jako czternastolatka. Czyli w naszym wieku! Całą garderobę ma wytapetowaną swoimi lśniącymi zdjęciami w gigantycznym formacie. Czy to nie żałosne? Moim zdaniem wygląda po prostu obrzydliwie!

— Miranda! — zganiała ją Alice.

— Taka jest prawda! Zresztą ona twierdzi, że to ja wyglądam obrzydliwie, bo jestem spasiona. Wiecie, co

167

mi ostatnio powiedziała? Po kolacji zamówiłam pizzę przez telefon i zostałam przyłapana na obżeraniu się na noc. Oczywiście musiałam

wysłuchać pełnego zawodu kazania, które zakończyła słowami: „Byłabyś taką śliczną dziewczyną, córeczko, gdybyś tylko uważała na to, co jesz! Gdybyś zrzuciła parę kilogramów, sama mogłabyś zostać modelką!" Tak jakby mi zależało na tym, żeby zostać bezmózgim wieszakiem na ubrania! — A kim byś chciała zostać? — zapytałam, starannie wycierając palcem ścianki mojej miski do ciasta.

— Dużo bardziej wolałabym być dziennikarką — powiedziała Miranda.

— Dobrze piszę, jestem wścibska i przebojowa, umiem postępować z ludźmi. Taaak, w dziennikarstwie sprawdziłabym się na pewno.

— A ja bym bardzo chciała zostać modelką — oświadczyła Alice i przybrała wystudiowaną pozę. — Albo aktorką. Albo może piosenkarką? Miranda, pamiętasz, jak w podstawówce zaśpiewaliśmy piosenkę tego duetu Cheeky Girls i wszyscy nauczyciele byli w szoku?

— Szokowanie nauczycieli to moja specjalność — uśmiechnęła się Miranda. — Dopiero teraz w Milstead zaczęłam się obijać. Koniecznie musisz mnie zmotywować, Sylvie. Może opracujemy tę piosenkę Cheeky Girls w nowym składzie?

— O nie, ty już udowodniłaś, że tupetu ci nie brakuje — powiedziałam i odstawiłam miskę. — Dlaczego ciasto surowe jest lepsze niż upieczone? Szkoda, że nie zostawiłam więcej w misce!

— Wygląda na to, że twoje uda się najlepiej — zauważyła Miranda. — Znasz się na tym, co? Ale, ale, może w przyszłości zamierzasz zostać kucharką...

168

albo raczej słynną szefową kuchni — i mieć własną restaurację?

— Nie, chcę pisać. Razem z Carlem — powiedziałam.

— No tak. Przecież piszecie tę słynną księgę — przypomniała sobie Miranda.

— Zamknij dziób! — uciszyłam ją. Nie chciałam, żeby mówiła o Kronikach przy Alice.

— Nie waż się tak do mnie odzywać, ty Pchło Przebrzydła! — odcięła się Miranda, ale zmieniła temat. — No dalej, ciasta, jestem głodna! — Zapukała do drzwiczek piekarnika. — Sprawdzić, czy już się upiek-ły? — Nie, przecież pieką się dopiero góra dziesięć minut! Jeśli je przeziębisz, nie wyrosną — pouczyłam ją. — Musimy się zastanowić, jak je udekorujemy. — Zajrzałam do kuchennych szafek i szuflad. — Twoja mama ma nawet tubę do lukru, rewelacja! Tylko po co jej te wszystkie gadżety, skoro i tak nie lubi gotować?

— Próbowaliśmy namawiać do tego moje au pair. A przez rok mieliśmy prawdziwą gosposię, to chyba wtedy zaczęło się kolekcjonowanie kuchennych akcesoriów, bo ona fantastycznie piekła — serniki, ciasta bananowe, marchewkowe, pychota! Ale akurat wówczas Annie przeszła na jakąś pokręconą dietę makrobio-tyczną, nasza gosposia za nic nie mogła się połapać, co Annie może jeść, a czego nie może, i w końcu odeszła. Taki był smutny koniec festiwalu ciast u nas w domu.

— W takim razie musisz przyjść do nas. Mamy bardzo kochaną au pair, Polkę, która piecze cudowny jabłecznik. Będziesz zachwycona — powiedziała Alice.

169

Przysłuchując się ich rozmowie, czułam się tak, jakbym przebywała w towarzystwie wiktoriańskich dam porównujących swoje służące.

— A ty miałaś jakieś au pair? — zwróciła się do mnie Alice.

— Nigdy.

— Ale twoja mama przecież pracuje, prawda? Kto się tobą opiekował, kiedy byłaś mała?

— Zaprowadzano mnie do opiekunki, a przez pewien czas moja mama sama była opiekunką — zajmowała się takimi bliźniętami, nawet sprzątała u nich w domu.

Nie była to tak do końca prawda. Mama sprzątała po naszej zabawie i to tylko wtedy, kiedy nabrudziliśmy przy zagniataniu ciasta albo malowaniu palcami, ale zależało mi na tym, żeby ten fakt podkreślić.

Alice wyglądała na zawstydzoną, na jej bladą twarz wystąpiły rumieńce, natomiast Miranda wybuchnęła śmiechem.

— Co cię tak śmieszy? — natarłam na nią.

— Ty, Sylvie. Nie przepuścisz żadnej okazji, żeby ustawić nas, bogate biedactwa, do pionu. Ale masz rację, masz rację, na pewno cię nie przebijemy. A nie wspomniałaś jeszcze nawet o swojej praprababci, która harowała w fabryce zapalek i nabawiła się martwicy kości szczęki, ani o prapradziadku, który czyścił kominy już jako sześciomiesięczne niemowlę...

— Hej, zejdz ze mnie! — Szturchnęłam ją, ale też się roześmiałam.

Moje ciasto rzeczywiście upiekło się bezkonkurencyjnie: było jasnozłote, lekkie i puszyste, a wyrosło tak, że wypełniło sobą całą blachę. Ciasto

Alice

170

okazało się żałośnie bladym zakalcem, a placek Mirandy rzeczywiście był plackiem — nie wyrósł w ogóle i wygląda! jak kapeć.

— Jakby ktoś na nim usiadł! — zawołała Miranda. — A twoje, Sylvie,

wygląda jak arcydzieło! Jak to możliwe, że jest takie doskonałe? Już wiem, zaraz nam powiesz, że twoja mama jest nie tylko sprzątaczką, ale także kucharką?

— Jasna sprawa — powiedziała i ostrożnie przełożyłam mój perfekcyjny biszkopt na podstawek z metalowych prętów, żeby ostygł. — Nie, to nieprawda, kucharzem jest Carl. Przyglądałam się, jak o n gotuje.

— No nie, Syłwie, popisujesz się dzisiaj naprawdę bezwstydnie! — stwierdziła Miranda. — Ty i Carl! To niesprawiedliwe, teraz moja kolej, ja też chcę być jego dziewczyną! Może w Kew zrobimy małą wymianę? Weźmiesz sobie Paula Ale-gola, męczy mnie już to jego ciągle parcie na bramkę.

— Wielkie dzięki. Jakoś za nim nie przepadam. — Urwałam. — Jak myślisz, co Carl właściwie w nim widzi? Paul jest taki... prymitywny. Miranda i Alice błyskawicznie wymienili spojrzenia.

— No co? — chciałam wiedzieć.

— Wszyscy chłopacy są prymitywni — powiedziała szybko Miranda i poklepała swój placek. — O, mam pomysł: jeśli powiem, że to był z zamierzenia duży herbatnik, moja porażka nie będzie całkowita. Może dla lepszego efektu poutykam w niego kawałki czekolady, wtedy będzie pieguskiem?

171

— Zawsze możesz go polukrować — doradziłam jej, znalazłszy w szafce całą paczkę cukru pudru. — Zrobię tyle lukru, że wystarczy dla nas wszystkich.

— Super — ucieszyła się Alice. — Miranda, a nie masz czasem cukrowych posypek do dekoracji, na przykład srebrnych kulek?

— Kto wie? Sprawdźmy — odparła Miranda. — W razie czego możemy użyć jakichś drobnych słodyczy.

Alice nie udało się znaleźć srebrnych kulek, dlatego zdecydowała się na różowe kwiatuszki z cukru i równym rzędem ozdobiła brzeg swojego polukrowa-nego na biało tortu. Tort/herbatnik Mirandy zyskał grubą warstwę lukru oraz hojną posypkę z drażetek Smarties, mieszanki lukrecyjnych pianek i żelków Jelly Babies.

Sama postawiłam na minimalistyczną dekorację. Polukrowałam mój biszkopt tak gładko, jak się tylko dało, do resztki lukru dodałam kroplę niebieskiego barwnika, miksturę przelałam do tuby i moim najstarszym charakterem pisma napisałam na torcie: „Wszystkiego najlepszego, Carl!”.

— Że też ja tak nie potrafię! — westchnęła Miranda.

— Wręczysz go Carlowi w piątek? Mogłybyśmy wtedy powiedzieć, że jest też ode mnie, w końcu wszystkie składniki pochodzą z mojej kuchni.

— Do piątku biszkopt będzie twardy jak podeszwa

— powiedziałam szybko. — Wręczone mu go jutro.

"iŁ4

W niedzielę rano mama zerwała się z łóżka bladym świtem. Wzięła kąpiel, umyła włosy, a potem przyszła do mnie i obudziła mnie delikatnie, ale stanowczo.

— Sylvie, pomocy! Nie mogę dać sobie rady z włosami, wyglądam jak ostatnie czupiradło! Bądź aniołem, wstań i pomóż mi się uczesać!

— Mamo, przecież idziesz popływać. Zamoczysz głowę i po fryzurze nie będzie śladu. Wszystko jedno, jak teraz wyglądasz — mruknęłam i schowałam się głębiej pod kołdrę.

— Ale Gerry zobaczy mnie, zanim się zamoczę!

— zawołała mama. — Syl, zgódź się, bardzo cię proszę. I jeszcze powiedz, czy ta spódnica może być?

— Z niepokojem obciągnęła falbanki swojej mocno marszczonej, cygańskiej spódnicy. — Chyba nie wyglądam w niej śmiesznie, co?

173

— Nie, jest w porządku — powiedziałam i usiadłam na łóżku. — Może tylko trochę za bardzo się wystroiłam jak na wyjście na basen.

— Za bardzo się wystroiłam? Ale zdecydowanie za bardzo, do przesady?

— dopytywała się mama. — Boże, co za koszmar! Pewnie wyglądam, jakbym zamierzała pójść w... co tańczą Cyganie? W fandango! —

Podniosła ręce, tupnęła nogą i zaraz jęknęła na widok swojego odbicia w dużym lustrze. — Sylvie, w co ja się mam ubrać?!

— W coś sportowego.

— Nie mam żadnych sportowych ubrań! Mam stroje wizytowe, rzeczy do pracy i strasznie niechlujne ciuchy do sprzątanía. Nic z tego się nie nadaje. Wystarczy, że Gerry rzuci na mnie okiem i ucieknie, gdzie pieprz rośnie!

— Chyba tak zaraz nie ucieknie...

— Sylvie, jak możesz!

— Przepraszam. Nie o to mi chodziło... Tylko tak jakoś dziwnie się czuję na myśl, że wybierasz się właściwie na randkę.

— Jeśli ty się dziwnie czujesz, to wyobraź sobie, co czuję ja! To czyste szaleństwo, prawda? Może powinnam do niego zadzwonić i odwołać to spotkanie.

— Nie, nie, jesteście umówieni, idziesz, to na pewno będzie urocze przedpołudnie, Gerry też okaże się uroczy, a jeśli tutaj usiądziesz, zaraz

wykombinuję dla ciebie urocze uczesanie. Jakies sugestie, jak chcialabyś wygladać? — zapytalam. Ukleklam na lozku, odgarnelam jej wlosy za uszy i zaczelam przy nich manipulowac.

— Jakkolwiek! — odparla mama, ale kiedy zobaczyła, że zaplatam pierwsze pasmo, gwałtownie pokręciła głową. — Jakkolwiek, byle bez drobnych warkoczków! Nie chcę wyglądać jak podstarzała uczennica.

— Nie jesteś podstarzała, mamó, jesteś młoda.

— Za młodu nie miałam takiej oponki! — mama poklepała się z goryczą po brzuchu.

Przyszła mi na myśl matka Mirandy, chuda jak patyczak.

— Masz ładną figurę — powiedziałam. — Chyba nie chciałabyś wyglądać jak sama skóra i kości? Zaraz, a może włożysz dzinsy i ten twój czarny sweter?

— To już prawie nasz wspólny czarny sweter. A moje dzinsy są wystrzępione przy nogawkach.

— Tak się teraz chodzi.

— Może i tak, kiedy się ma trzynaście lat. Nie zapominaj, że opcją jest lunch w eleganckiej restauracji.

— W porządku, w takim razie niech już będzie ta cygańska spódnica.

Mam pomysł: przynieś lokówkę, nakręcę ci loki, a potem wepniemy ci różę nad uchem!

Różę jednak sobie podarowałyśmy, ale włosy mamy rzeczywiście ułożyłam w burzę loków, tak żeby mogła zrobić wspaniałe pierwsze wrażenie i... zanurzyć się z głową w basenie pięć minut później.

Mama opuściła dom z dzielnym uśmiechem na twarzy, potrząsając lokami i powiewając spódnicą, ale kiedy przy furtce odwróciła się, żeby mi

pomachać na pożegnanie, zrobiła tak przerażony grymas, że wyglądała jak postać z Krzyku Muncha.

175

— Wszystko będzie dobrze, mamó, będziesz się świetnie bawić, zobaczysz! — zawołałam i pokazałam jej rękę z podniesionym kciukiem. Odprowadziłam ją wzrokiem; widoczna ponad żywopłotem głowa mamy oddalała się, podrygując rytmicznie. Miałam nadzieję, że to będzie udane spotkanie, chociaż Gerry wzbudzał we mnie mieszane uczucia.

Byłam ciekawa, co by pomyślał mój ojciec, gdyby wiedział, że mama umawia się z innymi mężczyznami. Kiedyś miałam nadzieję, że tata do nas wróci — ale nie jako ten dawny, prawdziwy tata, który kłamał, oszukiwał i któremu niespecjalnie na nas zależało. Chciałam, żeby zmienił się w nowego, czułego i troskliwego tatę, który rozpieszczałby mamę, wracał do domu na czas, śmiałby się i żartował z nami, i zabierał nas w różne ciekawe miejsca. Chciałam mieć tatę, który traktowałby mnie tak, jakbym była dla niego kimś zupełnie wyjątkowym. Usłyszałam kiedyś, jak tata Lucy nazywa ją swoją Księżniczką Elfów. Poważnie, patrzył na zwyczajną, kurdupłowatą Lucy w taki sposób, jakby naprawdę miała złociste loki, eteryczne kształty i wysadzaną klejnotami koronę. Miałam ochotę się rozplakać; mało brakowało, a byłabym gotowa zamienić się z nią miejscami.

Na myśl o Lucy ciągle opadają mnie wyrzuty sumienia. Nie, dzisiaj nie będę o niej myśleć. Nie chcę też myśleć o Mirandzie. Zamierzam skupić się na Carlu. Zaczęłam rozmyślać, czy się już obudził. Opadłam z powrotem na łóżko, wyobrażając sobie, że Carl leży w swoim, oddzielony ode mnie tylko dwiema ścianami. Kiedy byliśmy mali, ten, kto pierwszy

się obudził,

176

wychylał się przez okno, żeby zawołać drugiego. Gdy trochę dorośliśmy, trzymaliśmy przy łóżkach blaszane puszki, które służyły nam do wystukiwania skomplikowanego szyfru. Nigdy nie rozmawialiśmy o niczym szczególnie ważnym: —Hej, nie śpisz? Ale miałem sen! Odrobiłeś już lekcje? Moja mama smaży chyba naleśniki! — lecz fajnie było porozumiewać się potajemnie, chociaż od walenia w te idiotyczne puszki bardzo bolały nas ręce.

Teraz oboje mamy telefony komórkowe, ale wygląda na to, że ostatnio zarzuciliśmy nasz zwyczaj regularnego komunikowania się. Sięgnęłam po moją komórkę do szkolnej torby leżącej obok łóżka. Miałam ochotę zadzwonić do Carla natychmiast, ale marudziłby, gdybym go obudziła — a chciałam, żeby ten dzień był idealny.

Wysłałam mu krótkiego SMS-a: HEJ, SPISZ? Ściskając telefon w ręce, przez chwilę czekałam z nadzieją, że usłyszę piknięcie zwiastujące nadejście odpowiedzi. Telefon jednak milczał. Westchnęłam i położyłam się na brzuchu. Próbowałam zająć myśli nowym wątkiem Kronik Szklanii, lecz było mi wyjątkowo trudno skupić się na królu Carlu i królowej SyManie. Dokądkolwiek by się wybierali, wszędzie, nawet w ich najtajniejszych królewskich komnatach, zjawiał się ten utrapiony szczurołap i przygrywał piskliwie na swojej fujarce, zaczynał błaznować i pozyskiwał całą uwagę króla. Zaczęłam walić głową o poduszkę, żeby pozbyć się tego irytującego obrazu. Nie, nie chciałam, z a n i c nie chciałam dzisiaj myśleć o nim!

Może w piątek Paul wymknie się gdzieś z Mirandą a Carl i ja spokojnie

obejrzymy wystawę prac

177

Chihuly'ego tylko we dwoje? Zaczęłam marzyć, że w Szklanii nastąpiła nowa epoka lodowcowa i przyniosła zimę tak srogą, że wszyscy zamarli na śmierć i zamienili się w białe posągi — wszyscy z wyjątkiem króla i królowej, odzianych w swe ciężkie szaty z soboli. Chociaż nie, księżniczka Mirandrette uszła z życiem, pomknęła na łyżwach przez skute lodem morze prosto do swojej słonecznej Sangrii, za to Szczurołap Paul uświerknął w jakiejś zaspie i już nigdy więcej go nie widziano. Nigdy, przenigdy.

Poszłam napełnić wannę, licząc, że mama nie zużyła całej ciepłej wody. Spuściłam głowę, popatrzyłam w dół na moje ciało i westchnęłam. Ciągłe jest takie dziecinne! Mama pociesza mnie, że to zupełnie normalne, że rozwijam się z pewnym opóźnieniem. Lada moment nabiorę kobiecych kształtów, powtarza. Lada moment, godzinę, tydzień, miesiąc czy rok? A jeśli to nie nastąpi nigdy? Jeśli na zawsze pozostanę uwięziona w chuderlawym ciele dziesięcioletniej dziewczynki? Jako wybryk natury? Wyobraźcie sobie pięćdziesięciolatkę w dziecięcych ubrankach, która nadal korzysta z ulgowych biletów komunikacji miejskiej i której nie chcą wpuścić do kin i pubów. I jak tu się dziwić, że Carl nie traktuje mnie poważnie?

Spojrzałam na moją klatkę piersiową.

— Rośnijcie, no dalej! — syknęłam i namydliłam się obficie.

Umyłam też włosy, po czym zaczęłam eksperymentować z lokówką, ale okazało się, że w lokach mi nie do twarzy. Uzyskałam efekt kędzierzawej grzywy

a la Trący Beaker, z tym, że wyglądałam na j e s z c z e młodszą niż ona. Umyłam głowę na nowo i tym razem pozwoliłam włosom naturalnie wyschnąć; ich oklapnięte pasma jak zwykle spłynęły mi na plecy, tuż za ramiona. Włożyłam dzinsy i kolejny raz pożyczyłam sobie czarny sweter mamy, żeby wyglądać dobrze, ale nie tak, jakbym o to szczególnie zabiegała. W końcu wybierałam się tylko odwiedzić po sąsiedzku mojego starego przyjaciela, na litość boską.

Byłam ciekawa, czy Carl już się obudził. Sprawdziłam telefon, nic. Wystukałam nową wiadomość: WSTAŁEŚ JUZ, ŚPIOCHU? Czekałam w napięciu. Po chwili komórka zawibrowała na znak, że dostałam SMS-a; aż się wzdrygnęłam z zaskoczenia, choć przecież przez cały czas trzymałam ją w ręku. Wiadomość brzmiała: PEŁNA PRZYTOMNOŚĆ.

Podskoczyłam z radości i zaczęłam kręcić piruety w łazience, wymachując rękoma. Do mojej szkolnej torby wrzuciłam blok rysunkowy, pisaki i kredki, a potem zatrzymałam się, patrząc na prezent dla Carla. Mój kryształowy kielich do szampana owinęłam starannie folią bąbelkową, a następnie zapakowałam go w granatową bibułę w srebrne gwiazdy. Kupiłam nawet kawałek srebrnej wstążki, żeby przewiązać nim moją paczuszkę. Nie chciałam wręczać Carlowi prezentu przy Mirandzie i Paulu, którzy by się gapili i komentowali. Postanowiłam, że zrobię to teraz. Dla jeszcze lepszej ochrony prezent zawinęłam w mój stary polar i ostrożnie schowałam do torby.

W kuchni zastałam pannę Miles, która jadła mue-sli i czytała książkę, wysłużone, oślouchy wydanie

Wielkich nadziei w miękkiej okładce. Panna Miles ma bzika na punkcie Dickensa, czyta go bez przerwy i ciągle cytuje, czego mama i ja zwykle nie jesteśmy w stanie rozpoznać, jeśli panna Miles nie przechyli głowy na bok i nie podpowie: „Jak powiada wielki pisarz”.

— Dzień dobry, Sylvie. Mama już wyszła? — powitała mnie panna Miles.

— Prawie o brzasku — odpowiedziałam.

— Mam nadzieję, że miło spędzi czas — powiedziała panna Miles. —

Zasługuje na więcej przyjemności w życiu.

Uśmiechnęłam się do niej, ciekawa, czy jej życie obfitowało w jakiegokolwiek przyjemności.

— Miała pani kiedyś narzeczonego? — wypaliłam.

Przez chwilę milczała, mieszając łyżką swoje grudkowate śniadanie.

Wydawało mi się, że za grubymi szklami okularów jej oczy nabrzmiały łzami. Zrobiło mi się okropnie głupio. To przecież oczywiste, że biedna panna Miles nie zdołała podbić żadnego męskiego serca.

A jednak się myliłam. Na jej zapadniętych policzkach pojawił się blady rumieniec.

— Owszem, przeżyłam kilka pięknych chwil — odparła. — Pewien mężczyzna był mi szczególnie bliski, ale... — westchnęła.

— Nie ułożyło się państwu?

— Zapewne z mojej winy — powiedziała. — Chyba powinnam była mieć więcej śmiałości. Korzystaj z życia, Sylvie, inaczej przemknie, zanim zdążysz się nim nacieszyć.

180

Uprzejmie pokiwałam głową, zajadając płatki kukurydziane prosto z kartonika. Potem zajrzałam kontrolnie do puszki z moim tortem.

— Upiekłaś coś? — zapytała panna Miles.

— Tak, wczoraj u Mirandy, mojej koleżanki.

— Pozwolisz, że też spojrzę? — Panna Miles wyciągnęła ciekawsko szyję jak surykatka. — Och, toż to prawdziwy majstersztyk! Pozazdrościć solenizantowi. Wiesz co, jeśli moja mama dociągnie do setki, zamówię u ciebie specjalny tort urodzinowy.

— Myśli pani, że to się jej uda? Panna Miles wzruszyła ramionami.

— Najprawdopodobniej. Zawzięty z niej babsztyl. Podejrzewam, że postanowiła żyć wiecznie. Jak pech, to pech.

Zamrugałam ze zdziwienia. Sądziłam, że panna Miles jest bardzo przywiązana do swojej matki.

— Nie lubi pani swojej mamy?

— Nie przepadam za nią. Zresztą z wzajemnością, ale jestem teraz jedyną osobą, która może ją zaopatrywać w nowe koszule nocne, talk kosmetyczny i czekoladki. Twoja mama jest aniołem, że zgodziła się przyjąć mnie pod swój dach, dzięki temu jest mi znacznie łatwiej. Ty i twoja mama jesteście dla mnie takie miłe, to bardzo wiele dla mnie znaczy. Uśmiechnęłam się i wepchnęłam sobie do ust całą garść płatków kukurydzianych. Było mi wstyd.

— Dlaczego nie nałożysz ich sobie do miseczki i nie zjesz z mlekiem, kochanie? — spytała panna Miles.

— Trochę się spieszę. Wybieram się do sąsiadów — powiedziałam.

Czułam się trochę niezręcznie, że tak

181

uciekam i zostawiam pannę Miles samą na cały dzień. — Carl już na mnie czeka — usprawiedliwiłam się.

— Nie sumituj się tak, Sylvie. Byliśmy przecież z tobą zawsze przyjaciółmi, prawda? — stwierdziła panna Miles. — Jak powiada wielki pisarz.

— No taaak, oczywiście — wymamrotałam i złapałam moją torbę i puszkę z tortem.

Zabrakło mi wolnej ręki, żeby zapukać do drzwi Johnsonów. Wobec tego zastukałam łokciem w skrzynkę na listy — drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stał w nich Jake, ubrany w stary, ciasnawy czarny T-shirt i czarne dżinsy. Z niewyjaśnionych przyczyn jego brązowe włosy też były czarne. Fioletowoczarne miał nawet dłonie.

— Nie patrz tak na mnie, Sylvie — odezwał się. — Wiem, że wyglądam trochę dziwnie. Zdecydowałem się pofarbować włosy na czarno, żeby mieć gotycki image na potrzeby zespołu, ale nie wiedziałem, że przed wysmarowaniem głowy tą packą trzeba włożyć jednorazowe rękawiczki.

— Och, czarne ręce świetnie pasują do tej stylistyki. Powinieneś jeszcze spiłować paznokcie w szpic i pomalować je czarnym lakierem — zażartowałam.

— Myślisz? — zapyta! Jake całkiem poważnie. Zmarszczyłam brwi i wyminęłam go.

— Mam nadzieję, że Carl się nie przefarbował?

— A skąd! — odparł Jake. — Wciąż wygląda jak Złotowłosa z bajki o trzech misiach. Co tam masz, Sylvie? Ciasto?! Mogę zobaczyć?

— Nie jest dla ciebie! — zaprotestowałam, ale Jake i tak otworzył puszkę.

182

— Mmm, pyszności! Sama je upiekłaś? Carl to ma szczęście!

— Sam piecze znacznie lepiej.

— Piekł — poprawił mnie Jake. Wyciągnął czarny paluch, próbując uszczknąć kawałek lukru.

— Ani mi się waż! — zawołałam, starając się odsunąć puszkę jak najdalej od niego.

— Już dobrze, tylko żartowałem. Na moje urodziny też upieczesz tort?

— Czarny, z czarną polewą, udekorowany miniaturowymi nietoperzami z cukru?

— Brzmi rewelacyjnie.

— Carl jest u siebie czy w Szklanej Altanie?

— W kuchni. Jules właśnie smaży naleśniki. Chodź, zrobiła całe mnóstwo ciasta, starczy i dla ciebie.

— Już jadłam — powiedziałam, ale kiedy weszłam do ich przytulnej kuchni i poczułam ten zniewalająco słodki, jajeczno-cytrynowo-maślany zapach, nabrałam ochoty na drugie śniadanie. Rozczochrana Jules w fioletowym malarskim kitlu, dżinsach z łatami i szkarłatnych espadrylach stała przy kuchence Aga. Kiedy mnie zobaczyła, posłała mi pocałunek i dołała ciasta na patelnię.

— Sylvie, naleśnika?

— Poproszę! — powiedziałam i usadowiłam się obok Carla.

Carl miał na sobie dżinsy, jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i stary naszyjnik z koralików, który zrobiłam dla niego dawno temu.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Jak widzisz, jestem już w pełni przytomny — powiedział. — A o co chodzi?

— Mam coś dla ciebie. Drobiazg. Przygotowałam go wczoraj u Mirandy. To na urodziny. — Podałam mu puszkę.

— Nie powinienem z tym zaczekać?

— Nie, może nie wytrzymać tak długo. Zwłaszcza że Jake już go widział. Otwórz!

Carl zdjął wieczko.

— Ojej! Wspaniały!

— Mogę też zobaczyć? — Jules wychyliła się ku puszcze znad patelni. — Tort urodzinowy! Wielkie dzięki, Sylvie, nie będę musiała piec sama. Możemy go zjeść na podwieczorek?

— Malutki kawałek najchętniej zjadłbym od razu — oświadczył Carl.

— Łakomczuch! Pochłonałeś już dwa gigantyczne naleśniki! — sprzeciwiła się Jules.

— No dobrze, jak dostanę trzeci, oszczędzę mój tort

— zaproponował Carl.

— Ten naleśnik jest dla Sylvie, a następny dla mnie

— wtrącił się Jake. — Musisz znać swoje miejsce w kolejce do koryta, ty smarku.

— Wy dwaj, zamknijcie paszcze! — zawołał Mick z salonu, gdzie zalegał na sofie ze świeżym wydaniem „Observera”. — Obaj jesteście smarkami w porównaniu ze mną, samcem alfa. To mnie należy się następny naleśnik, prawda, żono?

Carl spojrzał na mnie porozumiewawczo i przewrócił oczyma.

— A co masz w torbie? — spytał, poklepując ją ostrożnie.

— Nic takiego.

*i- Nic zawinięte w ładny papier i przewiązane srebrną wstążką? —
dociekał dalej Carl.

— Zobaczysz, jak zostaniemy sami — szepnęłam. Mick czasami
wyśmiewa kolekcjonerską pasję Carla.

Dobrze wie, że na urodziny Carl chciałby dostać pieniądze, które mógłby
wydać na jakiś szklany bibelot, ale nigdy mu ich nie podarował. Wydaje
spore sumy na jakiś elektroniczny gadżet albo sprzęt sportowy, którego
Carl i tak potem prawie nie używa. Carl uśmiechnął się do mnie.

— Ain-alksz — szepnął.

Był to nasz stary szyfr, słowo „Szklania” wymówione od tyłu, które w
zależności od sytuacji znaczyło: „zgoda”, „tak”, „w porządku”, „no jasne”
i tak dalej.

Cieszyłam się bardzo, że Carl jest w takim świetnym humorze. Jeszcze
przez chwilę siedzieliśmy w kuchni z Jules i Jakiem i jedliśmy naleśniki,
gawędząc wszyscy razem, śmiejąc się i docinając sobie nawzajem. Znowu
było tak jak dawniej. Byłam najlepszą przyjaciółką Carla i członkiem jego
rodziny. Nie musiałam nawet robić sobie wyrzutów, że zostawiłam mamę
samą, bo przecież pobiegła na swoją randkę.

Kiedy już zjadłam dwa naleśniki, a Carl dojadł swojego trzeciego,
zaczęliśmy się zbierać do Szklanej Altany, ale Jake nie chciał nas puścić
— nie przestawał nudzić o swoim zespole i piosence, którą właśnie
napisał. Koniecznie chciał ją nam zaprezentować. Zaśpiewał ją nawet
całkiem nieźle; ma mocny głos, chociaż wolę głos Carla, tak czysty i
jasny, że zawsze mnie wzrusza. Tymczasem biedny Jake mnie rozśmieszył.
Miał przekomicznie żalobną minę i wciąż odgarniał te swoje

dziwaczne, zmierzwione czarne włosy, które uparcie włożyły mu do oczu. Poza tym przesadził z dykcją — bardzo się starał, żebyśmy mogli docenić każde słowo jego tekstu, i otwierał usta wyjątkowo szeroko, pokazując prawie wszystkie zęby. Musiałam przygryźć wnętrze policzków, żeby się nie roześmiać.

— I co myślisz, Sylvie? — zapytał Jake, kiedy wreszcie skończył śpiewać.

— Rewelacja, Jake, naprawdę rewelacja — powiedziałam i wybiegłam do ogrodu, krztusząc się ze śmiechu.

— Co za kretyn! — podsumował go Carl. — Kiedy tak trzepie tymi kołtunami, przewraca oczyma i szczyrzy kły, wygląda jak prawdziwy dzikus!

— Och, Carl! Masz absolutną rację, ale nie powinieneś być dla niego taki okrutny!

— A to dlaczego? On mnie nigdy nie oszczędza.

— Może, ale Jake jest taki żaloszny. Ostatnio ciągle się przede mną popisuje i stara się mi zaimponować, a tylko niepotrzebnie traci czas.

— Czyżby? — spytał Carl.

— Jasne, że tak! Rozumiem, że chciałby wystartować do Mirandy — który chłopak by nie chciał — ale ja nie jestem w stanie umówić go z nią na randkę!

— Chyba nie całkiem rozumiesz, o co mu chodzi — powiedział Carl i otworzył drzwi Szklanej Altany.

Rozejrzałam się wokół, wdychając znajomy zapach altany; pachniała przyjemnie, trochę ziemią. A jednak coś było nie tak. Szklana kolekcja Carla nie była ustawiona w idealnym porządku. Szklany Chłopiec stał

twarzą do ściany, pokazując nam plecy. Przyciski do papieru leżały byle jak jedne obok drugich, wazony stały nierówno zamiast w rzędzie, a kryształowy konik kuśtykał na trzech nogach.

— Carl! — zawołałam. — Konikowi ukruszyła się noga!

— Wiem. Szkoda. Ale sama wiesz, jakie kruche są te figuynki — powiedział Carl.

— Jak to się mogło stać? Ktoś tu był i wszystko poprzestawiał?

— No cóż... — Carl niespodziewanie chwycił za miotelkę z piór, która stała w kącie altany. — To ja, panienko, przyznaję się. Jestem Julita Pospolita, niezbyt lotna pokojówka, wycierałam kurze i niechcący potraściłam tego maciupęńskiego szklanego konisia moją miotelką, przewrócił się biedaczek i złamał sobie nóżkę wpęcinnie...

— Carl, nie udawaj, to przecież nie ty! Zawsze tak ostrożnie ścierasz kurz!

— No dobrze, masz rację, zresztą nieważne — powiedział i połaskotał mnie miotelką w szyję. — Lepiej mi pokaż mój prezent urodzinowy.

— Zaraz. Słuchaj, to oczywiste, że ktoś tu był i grzebał w twoich rzeczach! To chyba nie mogła być Jules, prawda? Może powinniśmy ją o to spytać, bo jeśli to nie ona, to znaczy, że ktoś się tu włamał!

— Nie histeryzuj, nie było żadnego włamania. To Paul — wyjaśnił mi Carl.

— Paul? — Nie wierzyłam własnym uszom.

— Tak, wpadł do mnie wczoraj po meczu.

— I wpuściłeś go do Szklanej Altany?

— Tak. Nie rób z tego takiej afery, Sylvie, to nie był mój pomysł. Paul

powiedział, że chce ją zobaczyć, był ciekawy — powiedział Carl i rzucił się na kanapę.

— Ciekawy do tego stopnia, że pozdejmował wszystko z półek i przy okazji ułamał konikowi nogę?

— Nie zrobił tego naumyślnie, po prostu jest trochę niezgrabny, to nie jego wina. Bardzo się przejął, obiecał, że odkupi mi takiego samego.

— A czy... — przełknęłam ślinę. — Czy pokazałeś mu też Kroniki Szklanii?

— Nie! — zaprzeczył Carl. — Oczywiście, że nie. Kroniki są tylko nasze. Odetchnęłam.

— A poza tym nie chciałem, żeby wziął mnie za kompletnego czubka — dodał Carl.

Wyciągnęłam mu poduszkę spod głowy i zdzieliłam go nią z całej siły. Carl nie pozostał mi dłużny i po chwili okładaliśmy się poduszkami, co pomogło rozładować napięcie. Wszystko wróciło do normy. Wprawdzie czułam odrazę na myśl, że Paul kręcił się po naszej kryjówce i wtykał swoje niezgrabne paluchy gdzie popadnie, niszcząc bibeloty Carla, ale dobrze chociaż, że nie wdarł się do Szklanii i nie zepsuł wszystkiego.

— Czy teraz mogę już rozpakować mój prezent? — zapytał Carl.

Wręczyłam mu go teatralnym gestem. Nie musiałam ostrzegać Carla, żeby ostrożnie odpakowywał paczuszkę. Delikatnie rozwiązał kokardę, zdjął warstwę bibułki i odwinął folię ochronną.

Na jego reakcję czekałam z przyspieszonym biciem serca. Wiem, że Carl jest dobrze wychowany i powie-

podarowała, ale znam go zbyt dobrze, żeby udało mu się mnie oszukać. Kupowanie Carlowi przedmiotów ze szkła zawsze jest ryzykowne, bo nie jestem żadną koneserką. Kryształowy kielich do szampana spodobał mi się od razu; byłam prawie pewna, że pochodzi z czasów wiktoriańskich, ale równie dobrze mógł być podróbką — może to zwykły śmieć i Carl w skrytości ducha uzna, że jest obrzydliwy?

— Sylvie, jaki piękny! — zawołał na jego widok.

— Naprawdę ci się podoba?

— Jest absolutnie wspaniały! — Carl musnął palcem gałązkę winorośli oplatającą nóżkę kielicha. — Gdzie go znalazłaś?

— W sklepiku Cancer Research koło mojego dentysty. Nie miałam przy sobie dosyć pieniędzy i musiałam się cofnąć.

— Dużo zapłaciłaś?

— Co to w ogóle za pytanie?! Dziesięć funtów. Za dużo?

— Trafiła ci się niesamowita okazja. Och, Sylvie, jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie! — Uniósł kielich, udając, że do mnie przepija, po czym wciągnął głęboko powietrze, jakby rozkoszował się łykiem szampana, i z powagą przekazał mi kielich.

Pochyliłam się ku niemu i też upiłam wyimaginowany łyk. W podobny sposób bawiliśmy się, kiedy byliśmy mali: rozpuszczaliśmy lizaki lodowe i udawaliśmy, że to wino. Prawie czułam pod nosem musowanie szampana i smak jego delikatnej pianki na wargach.

189

Spojrzałam na Carla. Patrzył na mnie. Miał wypogodzoną, łagodną twarz i marzycielski wyraz oczu. Pochylił się lekko w moją stronę.

Wystarczyłoby, żeby zbliżył się jeszcze odrobinę i przechylił głowę, a

mógłby mnie pocałować. Przesunęłam się kawałek do przodu. Carl zamrugał i wyprostował się gwałtownie.

— Pobawmy się w Szklanię — zaproponował szybko. — Jak wiadomo, w piątek przypadają urodziny króla Carla, ale oficjalne obchody z wielką pompą są jednak trochę nudne, dlatego królowa Sylviana postanowiła urządzić dla króla specjalne, nieoficjalne urodzinowe przyjęcie w niedzielę tydzień wcześniej. Niedziela to jedyny dzień, kiedy Carlo i Sylviana nie pełnią swoich królewskich obowiązków — mogą nie wkładać kryształowych koron, mogą zrzucić z nóg szklane trzewiczki i trochę sobie podogadzać. Tego dnia królewska para spała do późna, a kiedy król Carlo wreszcie się obudził, kanarek królowej, specjalnie przez nią wytrenowany, zaśpiewał dla niego Sto lat. Sylviana przyniosła królowi do łóżka własnoręcznie przygotowane urodzinowe śniadanie: złociste croissanty w kształcie inicjału Jego Królewskiej Wysokości, a także butelkę najlepszego szampana ze szklańskich piwnic. „Zapomniałaś o kieliszkach, moja królowo”, zwrócił jej uwagę król Carlo. „Ależ nie”, uśmiechnęła się królowa Sylviana i podała mu piękną granatową paczuszkę przewiazaną srebrną wstążką. W środku król Carlo znalazł stary kielich misternej roboty, pochodzący z czasów, kiedy jego praprapradziadek był jeszcze chłopcem. Był to najwspanialszy prezent, jaki Carlo kiedykolwiek dostał od swojej drogiej małżonki. Ucieszył się ogromnie. Zaczął

190

wspominać wszystkie rocznice urodzin, które spędzili razem, od czasu, kiedy zostali sobie poślubieni w wieku siedmiu lat. Pierwszym prezentem urodzinowym, jaki dostał od Syhdany, był... No dalej, Sylvie, co to było? — Nie mam zielonego pojęcia — wymamrotałam. Carl chciał mi sprawić

przyjemność, bawiąc się ze mną w Szklanię, co lubiłam najbardziej na świecie, ale wiedziałam, że to subtelna taktyka, której celem jest odwrócenie mojej uwagi.

— Nie udawaj, że tego nie pamiętasz! — powiedział Carl. — No już, wymyśl coś, Sylvie. Na siódme urodziny króla Carla królowa Sylviana, jego młodziutka oblubienica, podarowała mu...

— Podarowała mu olbrzymi zestaw klocków lego z ręcznie rżniętego kryształu, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Carlo natychmiast zbudował z nich wspaniały, lśniący szklany pałac. Potem z modeliny ulepił dwie figurki, chłopca i dziewczynkę, i posadził je na miniaturowych szklanych tronach wewnątrz tego nowo zbudowanego pałacu — miały wyobrazać małą królewską młodą parę. Carlo obiecał, że on i Sylviana będą wspólnie rządzić Szklanią długo i szczęśliwie.

— A co dostał od niej na ósme? Przerobiliśmy po kolei: kryształowe rowery, narty z alabastru, szklaną ptaszarnię pełną papużek nieroz-łączek, oswojoną śnieżną panterę w obroży wysadzonej rubinami, parę niedźwiedzi polarnych o srebrnych pazurach, kryształową fontannę tryskającą wodą o barwach tęczy, wewnętrzny ogród, w którym rosły niebieskie szklane kwiaty, i wreszcie kryształowy

191

kielich do szampana. Ten ostatni był tylko częścią skrzęcej się kryształowej zastawy. Carlo i Sylviana uczcili królewskie urodziny, pijąc różowego szampana z urodzinowych kielichów i jedząc truskawki ze śmietaną z kryształowych pucharków.

— Idealnie! — zachwycił się Carl. — Może mama stanie na wysokości

zadania i poda nam prawdziwe truskawki?

— Dopiero co zjedliśmy naleśniki. Poza tym na truskawki nie mamy specjalnych kryształowych naczyń.

— Oj, wielkie mi co, Panno Szczegółantko! Możemy jeść z porcelanowych miseczek i użyć wyobraźni.

Carl pobiegł do domu znaleźć Jules.

Zostałam w Szklanej Altanie i zabrałam się do spisywania naszej najnowszej opowieści. Usłyszałam ciche piknięcie telefonu komórkowego Carla; wypadł mu z kieszeni dzinsów na podłogę, kiedy biliśmy się poduszkami. Wcisnęłam przycisk, żeby się dowiedzieć, kto przysłał mu tego SMS-a. To nie było tak do końca węszenie, zrobiłam to prawie bez zastanowienia.

CO??? ŻADNEGO ESKA NA DZIEŃ DOBRY CI NIE ŚLALEM,
DEBILU. TYLKO CO SIE OBUDZIŁEM. ODROBIŁEŚ MATMĘ?
DASZ ODPISAĆ? POZDRO, PAUL

Mama wróciła do domu dopiero późnym popołudniem i przysłała po mnie do Johnsonów.

— Ho, ho, nie wierzę własnym oczom! Dosłownie promieniejesz! — powitała ją Jules. — Opowiadaj, jaki jest ten Gerry?

— Jest naprawdę uroczy — powiedziała mama i wstydliwie pochyliła głowę. Na policzkach miała jaskrawe rumieńce. Zachichotała.

— Nie do wiary, rumienisz się jak uczennica! — zaśmiała się Jules. — To kiedy następne spotkanie?

— W przyszły weekend, o ile nie będzie to dla ciebie problem?

— Oczywiście, że nie — powiedziała Jules. — Sylvie należy do rodziny, wiesz przecież.

Mama spojrzała na mnie.

— A czy nie będzie to problem dla ciebie, Sylvie? — zapytała.

193

— Dla mnie? Nie, skąd — bąknęłam.

— Chodźmy do domu, tam porozmawiamy — powiedziała mama i objęła mnie ramieniem.

— Nie ma sprawy, mamo, naprawdę — dodałam szybko. Chciałam jeszcze posiedzieć u Carla, ale mama stanowczo skierowała mnie w stronę drzwi.

— A może zostanieie obie na kolacji? — zaproponowała Jules.

— O właśnie, zostańcie! — wtrącił się Jake. — Chociaż ostrzegam: kolację przygotowuje tata.

— Powiem nieskromnie, że risotto z dynią piżmową robię wyśmienite — powiedział Mick.

Patrzyłam na Carla. Starannie unikał mojego wzroku, patrząc poza mnie, jakby zafascynowała go ściana za moimi plecami.

— Carl! — upomniała go Jules. — W naszej piwniczce nie znajdziemy chyba prawdziwego szampana, ale butelka cavy z pewnością uchowała się w jakimś kącie. Mógłbyś stylowo napić się wina ze swojego pięknego kielicha.

— Yhm. Super. Chociaż tak naprawdę myślałem, żeby kolację zjeść u Paula. Ma problemy z matką, obiecałem, że mu pomogę — powiedział Carl.

— Akurat dzisiaj? No nie! — Jules rzuciła mi zmartwione spojrzenie.

Uśmiechnęłam się, jakbym o wszystkim wiedziała i nie miała nic przeciwko temu. To przecież nic wielkiego. Carl ma pełne prawo wpaść w

odwiedziny do kolegi. Spędziliśmy razem prawie cały dzień i przez cały ten czas był dla mnie naprawdę przemiły. W którymś momencie najwyraźniej wymknął się, żeby ukradkiem

194

napisać do Paula, ale to nie przestępstwo. Miranda i ja bez przerwy wymieniamy SMS-y.

— Wszystko w porządku — powiedziałam. — Jules, dziękuję, że mnie przygarnęłaś, było mi bardzo miło. Trzymajcie się. Chodźmy do domu, mamo.

Mama nadal obejmowała mnie ramieniem.

— Wprawdzie nie przygotuję risotta z dynią piżmową, ale zrobię dla nas pyszne tosty z fasolką w sosie pomidorowym — obiecała.

Było to nasze specjalne danie na poprawę samopoczucia. Zezłościło mnie, że mama uważa, iż moje samopoczucie wymaga poprawy.

— Jakoś nie jestem jeszcze głodna. Zjadłam dziś duży obiad — powiedziałam. — Będzie lepiej, jeśli pójdę do siebie i przysiądę nad moją matną — dodałam, kiedy weszliśmy do domu.

Po dniu spędzonym u Johnsonów nasz dom wydał mi się taki zaniedbany i pusty. Na ścianach w miejscach, gdzie wcześniej wisiały obrazy i mapy taty, teraz straszyły prostokątne plamy, na regale z książkami ziały wielkie dziury, a dywan wciąż był wgnieciony w miejscu, gdzie stało jego biurko. W prowadzonym przez organizację charytatywną sklepie z używanymi rzeczami mama kupiła dwie reprodukcje obrazów Picassa i Gwen John, które nie pasowały rozmiarem i nie zakryły jaśniejszych plam. Kobieta sportretowana przez Gwen John wyglądała na rozpaczliwie samotną, a ta namalowana przez Picassa była stara, miała głowę odrzuconą do tyłu i usta

szeroko otwarte w przeraźliwym krzyku. Dużo bardziej wolałam gołe ściany.

195

Na bibliotecznych wyprzedażach kupiliśmy trochę książek, ale i tak w księgozbiorze mamy przeważały poradniki psychologiczne i bestsellery o odchudzaniu, a w moim — współczesne książki dla dzieci, traktujące głównie o rozbitych rodzinach, więc to też nie był krzepiący widok. Na porządne nowe biurko nie miałyśmy pieniędzy. Na miejscu starego ustawiliśmy takie do samodzielnego montażu, ale nie potrafiłyśmy go nawet wydobyć z olbrzymiego kartonowego pudła, a co dopiero zmontować.

Odkąd tata się wyprowadził, było tak, jakbyśmy odłożyły nasze życie na później. Mama ciągle powtarzała, że jest nam lepiej bez niego. Mówiła, że bardzo się cieszy, że jesteśmy tylko we dwie. Zarzekała się też, że już nigdy więcej nie chce mieć do czynienia z żadnym mężczyzną.

A teraz ot tak umówiła się na randkę i znalazła sobie faceta.

— To nie jest mój facet! — zaprotestowała mama. — Gerry to mój przyjaciel, nic więcej. Przynajmniej jak na tę chwilę.

Przyniosła do mnie do pokoju tacę z kolacją dla nas obu, chociaż powiedziałam wyraźnie, że nie jestem głodna. Były to obiecane tosty z fasolką w sosie pomidorowym; fasolka pachniała tak apetycznie, że nie mogłam się im oprzeć. Przestałam udawać, że odrabiam zadanie z matmy.

— Czyli ten Gerry wydał ci się miły, tak?

— I to bardzo. Ma kapitalne poczucie humoru — powiedziała mama. —

Od pierwszej chwili dobrze się poczułam w jego towarzystwie. A wcześniej na myśl o tym spotkaniu trochę się denerwowałam...

— Co ty powiesz?

— No dobrze, przyznaję się, wcześniej byłam po prostu przerażona.

Bałam się do tego stopnia, że w drodze na basen musiałam dwa razy szukać toalety. O mało nie wróciłam do domu! Nie chodziło tylko o to, że spotykam się z obcym mężczyzną. To zabrzmiało okropnie, ale tak do końca nie wiedziałam, jakie ślady ten wylew pozostawił na zdrowiu Gerry'ego. Martwiłam się, że podam mu rękę na powitanie, a wtedy okaże się, że on swoją nie porusza albo coś w tym rodzaju. Powiedział mi wprawdzie, że utyka, ale nie wiedziałam, jak znaczna jest jego niepełnosprawność. Nie byłam pewna, czy nie jeździ na wózku, i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam się pochylić na wysokość jego oczu i wtedy przywitać, czy może to będzie wyglądało protekcyjnie. Nieważne, w każdym razie w chwili, kiedy się rozpoznaliśmy, Gerry uśmiechnął się do mnie tak uroczo, że wszystkie moje lęki wydały mi się naraz strasznie głupie.

Uśmiechnęłam się do niego, czując się tak, jakbyśmy się już znali — jakbyśmy byli przyjaciółmi od lat. Gerry nie jeździ na wózku, daje sobie radę o lasce. Utyka dosyć mocno, ale wolne tempo spaceru miało swoje plusy, zwłaszcza że włożyłam najlepsze buty na wysokim obcasie.

— Az jego twarzą wszystko w porządku? — zapytałam. — No wiesz. — Rozchyliłam wargi i opuściłam kącik ust.

— Sylvie, przestań! Jak możesz! Nie, nic takiego mu nie dolega, ale nawet gdyby, wcale by mi to nie przeszkadzało. Ważny jest dla mnie Gerry, a nie jego wygląd — chociaż uważam, że jest akurat całkiem

przystojnym mężczyzną. Jest ode mnie osiem lat starszy i zaczyna już

lekko siwieć, za to dużo ćwiczy na siłowni i ma wspaniale wyrzeźbione ramiona i zupełnie płaski brzuch. Kiedy wyszłam z przebieralni, żeby się z nim spotkać na basenie, byłam trochę onieśmielona. Myśl o moim brzuchu nie dawała mi spokoju i martwiłam się, że w tym jaskrawoczerwonym stroju wyglądam okropnie. Na szczęście w wodzie poczułam się już swobodnie. Gerry świetnie pływa, w ogóle nie mogę się z nim mierzyć, tylko śmiga w tę i z powrotem. Nigdy w życiu byś nie zgadła, że jest w jakimkolwiek stopniu ułomny.

Mama opowiadała o Gerrym bez końca, a ja ponuro dziobałam widelcem fasolkę na moim talerzu.

— Sylvie? — zreflektowała się mama. — Myślałam, że nie masz nic przeciwko tej znajomości, ale teraz widzę, że chyba coś cię jednak trapi.

— Nie, wcale nie, przecież w k ó ł k o ci powtarzam, że wszystko w porządku! — warknęłam.

Bardzo chciałam, żeby tak było. Chciałam uspokoić mamę i powiedzieć, że cieszę się, że jej spotkanie się udało — bo przecież się cieszyłam. Sęk w tym, że oprócz radości czułam też zazdrość. To niskie, bolesne i upokarzające, ale taka była prawda. Zazdrościłam własnej matce tego, że była na prawdziwej romantycznej randce, takiej tylko we dwoje. A ja wciąż marzyłam, że Carl kiedyś mnie zaprosi na randkę, na której będziemy tylko my.

— Pocałował cię? — zapytałam nagle. Mama się zaczerwieniła.

— Nie! — zaprzeczyła.

198

— To dlaczego się rumienisz?

— Bo głupio się czuję. No dobrze, całowaliśmy się, ale tylko na

pożegnanie.

— On najpierw pocałował ciebie czy ty jego? — dociekałam.

— Hola, nie zamierzam omawiać szczegółów! Szczerze mówiąc, nie wiem. Tak jakoś samo wyszło. Powiedzieliśmy sobie „do zobaczenia”, a potem chyba pochyliłam się w jego stronę, żeby go pocałować w policzek, ale najwyraźniej chybiłam.

Aha, pomyślałam. Tak trzeba się do tego zabrać.

W piątek wieczorem Jules zawiozła do Kew całą naszą paczkę: Carla, Paula, Mirandę i mnie. Po drodze wstąpiliśmy do restauracji Pizza Express. Byłam tak podenerwowana, że prawie nie mogłam jeść.

Siedziałam obok Carla, ale on z ożywieniem omawiał z Paulem jakąś idiotyczną inscenizację *Snu nocy letniej*, którą przygotowywali w szkole. Obaj posługiwali się stylem pseudoszekspirowskim.

— Zdaje mi się, że widzę pizzę! O jakże miłą sercu jest ta strawa!

— Zatem, mój cny kompanie, pożywmy się tym specjałem!

Nawet Jules nie mogła ich nakłonić, żeby przestali. Miranda ziewnęła.

— Zaliż nie odpuścicie w końcu, chłopcy? — spytała i odłamała sobie kawałek pizzy Carla, szczególnie gęsto posypany serem.

200

— Spadaj! Kęs mi od ust odejmujesz! — zawołał Carl i ukłuł ją lekko widelcem.

— Mniemasz, że złękę się twojego miecza? — zapytała Miranda.

Paul parsknął obleśnym rechotem, a Carl mu zawtórował. Miranda westchnęła ciężko.

— Dajcie spokój, to się robi naprawdę nudne. Gracie w tej sztuce?

— Prostych ateńskich rzemieślników — pochwalił się Paul.

— Jakżeby inaczej — odparła Miranda. — Ale których? Będiesz oślouchym Podszewką, Paul?*

— Gram Tomasza Dzióbka, naprawiacza garnków, więc będę też ojcem Pirama. Carl jest Piszcząła, więc będzie musiał zagrać rolę Tyzbe, tej panny, w której Piram się zakochuje i którą musi pocałować.

— Och, zamknij się! — powiedział Carl.

— A Piramem będzie Michael Farmer. Macanko z Michaeliem Farmerem, gorzej trafić chyba nie można! Będziemy musieli mieć na ciebie oko, Carl, bo jeszcze się okaże, że po tym wszystkim zostałeś gejem i zaczniesz nas zarywać! — ciągnął Paul.

— Zamknij się, Paul! — powtórzył Carl.

— Oooch! — jęknął Paul piskliwym, afektowanym głosem. — Miłości moja! O mój junaku, skarbie mój ponury, całuj mnie, całuj! Oooch, Mikey, cmok, cmok, cmok!

* Źródłem imion własnych — oraz stylistycznej inspiracji — jest przekład *Snu nocy letniej* Williama Szekspira pióra Stanisława Barańczaka, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000 [przyp. tłum.].

201

Carl bez namysłu dźgnął Paula widelcem. Paul chwycił za swój i wywiązała się między nimi bezsensowna bójka.

— Wy i te wasze zabawy przy jedzeniu! — Miranda straciła cierpliwość.

— Przestańcie zaraz!

— Tak, przestać mi w tej chwili! — włączyła się Jules.

— Wiem, jak odwrócić ich uwagę — powiedziała Miranda. Otworzyła swoją przepastną torebkę i wyciągnęła z niej paczuszkę zawiniętą w kawałek fioletowego aksamitu.

— Czas na prezenty — oznajmiła.

— O rany, zapomniałem! Miałem ci chyba dać tę szklaną świnkę, zgadza się? — przypomniał sobie Paul.

— Nic nie szkodzi, nie zależy mi na prezentach — powiedział szybko Carl.

— Myślę, że zmienisz zdanie, jak zobaczysz mój!

— stwierdziła Miranda. — No dalej, otwórz. Byle ostrożnie.

Carl trzymał fioletowy prezent w złączonych dłoniach. Wyglądało na to, że paczuszka może zawierać coś szklanego. Ścisnęło mi się serce. Carl rozpakowywał prezent powoli, gładząc aksamit; pod materiałem znalazł warstwę czarnej bibułki. Delikatnie odkleił pasek taśmy klejącej i odwijał bibułkę tak długo, aż odpakowany prezent znalazł się w jego dłoni.

— Och! — powiedział tylko.

— Popatrzmy, co to właściwie jest? — zainteresował się Paul. Zerknął. — Stary przycisk do papieru?

— spytał z wyraźnym rozczarowaniem. — Co za głupi prezent!

202

— Bynajmniej! — oburzyła się Miranda. — Mylę się, Carl?

Carl był zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć od razu. Przycisk nie był szczególnie ładny: duży, okrągły i przezroczysty, miał wtopione w szkło szklane pręciki, które jak w mozaice układały się w biały napis

„Remember Me”, laurowy wieniec i malutką różę o zielonych listkach.

Carl trzymał go z takim wyrazem twarzy, jakby w jego rękach zakwitły prawdziwe róże.

— To przycisk z Millville — powiedział ochrypłym głosem. —

Amerykański.

— Tak jest, facet ze sklepu z antykami też mówił, że jest amerykański — powiedziała Miranda.

— W hutach Millville produkowano przyciski ze słynnym motywem róży — wyjaśnił Carl.

— Masz już jakieś? — zapytała Miranda.

— Nie, skądże. Są dla mnie stanowczo za drogie — odparł Carl.

— Mirando, to niezwykle miły gest z twojej strony, mam tylko nadzieję, że się nie zrujnowałaś — powiedziała niepewnie Jules. — Szczęściarz z ciebie, Carl! Dostałeś już piękny kryształowy kielich do szampana od Sylvie, a teraz jeszcze ten śliczny przycisk od Mirandy.

— Yhm — mruknął Carl. Podniósł przycisk i oglądał go uważnie pod różnymi kątami.

Wiedziałam, że Jules wspomniała o moim kielichu tylko przez delikatność. Tak bardzo się starałam, a Miranda przebiła mnie bez najmniejszego wysiłku.

— Nie, Jules, wszystko pod kontrolą. Cieszę się, że Carlowi prezent się podoba — uśmiechnęła się

203

Miranda. — Sama uważam, że jest trochę odpustowy i toporny. Hej, solenizancie, nie dostanę w nagrodę buziaka?

Pochyliła się ku niemu, nadstawiając się do pocałunku. A Carl jej nie odepchnął. I nie cmoknął jej w nosek. Pocałował ją prosto w usta. Przy mnie.

— Ej, przestańcie się migdalić! To moja dziewczyna! — zaprotestował Paul.

— Nie jestem niczyją dziewczyną, jestem kobietą niezależną —

oświadczyła Miranda.

Miała usta pomalowane ciemną szminką, która pozostawiła ślad na wargach Carla. Wyglądał zadziwiająco pięknie.

— Och, Tyzbe, jakże mnie nęci wiśnia twojej wargi! — zakpił Paul.

Carl szybko wytarł usta wierzchem dłoni.

— Dziękuję, Mirando — powiedział.

— I rzeczywiście będziesz? — spytała.

— Co będę?

— Pamiętał o mnie, jak każe ten przycisk!

— Jasne. Jak mógłbym zapomnieć? — odparł Carl. Popatrzył na nią, potem przeniósł wzrok na mnie, a później na Paula. — Myślę, że to w ogóle będzie pamiętny wieczór.

Kochana Jules zapłaciła za nasze pizze i podrzuciła nas pod samą Bramę Wiktorii w Królewskich Ogrodach Botanicznych w Kew. Na Kew Road było już całkiem ciemno, ale ogrodowe aleje były oświetlone latarenkami, a z oranżerii bił jasny blask. Przy wejściu do okazałej palmiarni stały dwie wspaniałe wieże, żółta i pomarańczowa, zbudowane z nieprawdopodobnej

plą-

204

taniny olbrzymich szklanych czułek. Carl przyglądał się im z zachwytem, badając wzrokiem każdy szklany bąbelek i zawijas, śledząc skręt każdej niezwyklej spirali.

— Jak urzeczony — zażartowała Miranda. — Carl, jak ten Chihuly to robi? Jakim cudem te pokręcone macki trzymają się kupy?

— Wydmuchuje je pojedynczo i gorące umieszcza w wyznaczonych miejscach, w których zastygają już na dobre — wyjaśnił jej Carl.

Ruszyli w stronę sadzawki. Carl dalej opowiadał zaszłuchanej, przysuniętej do niego Mirandzie o tajnikach produkcji szkła. Jej ręka, umieszczona w zgięciu jego łokcia, najwyraźniej też zastygła tam już na dobre. Paul i ja wlekliśmy się za nimi w fatalnych humorach.

— Co myślisz o instalacjach Chihuly'ego? — zapytałam z desperacją.

— Oblecą — powiedział Paul.

— Pewnie widziałeś już kolekcję Carla w Szklanej Altanie? — spytałam.

— A tak, tak, widziałem. Trochę to dziwaczne. To chyba jakaś mania.

— To cały Carl. Straszny dziwak z niego — odparłam.

Miał to być komplement, ale Paul z dezaprobatą spojrział na mnie poprzez mrok.

— W jakim sensie?

— W każdym — powiedziałam.

— A ty i Carl chodzicie ze sobą? — zapytał Paul.

— Taaak — potwierdziłam. — Znamy się od małego. Carl i ja to bardzo długa historia.

205

— No to dlaczego twoja dobra kumpelka Miranda się do niego dowala i robi mu szpanerskie prezenty?

— Bo taka już jest — ciepła, serdeczna i hojna. Wszystkich przyjaciół traktuje tak samo — powiedziałam.

— Chętnie sam bym ją trochę rozgrzał — mruknął Paul. — Słuchaj, Sylvia, czy Miranda coś ci mówiła na mój temat?

— Sylvie. Coś wspominała, no wiesz, jak to między dziewczynami.

— Myślisz, że mam u niej jakieś szanse? Większe niż Carl?

— Na sto procent — skłamałam.

— To może spróbujemy ich rozdzielić, co? Bo inaczej przez cały wieczór będą nadawać o szkle. — Wziął głęboki wdech. — Hej, Miranda, zaczekajcie na nas!

— Chodźcie tutaj! Chodźcie i zobaczcie łódź na jeziorze! — odkrzyknęła Miranda poprzez ciemność.

— Łódki! To jest pomysł! — zawołał Paul i popędził do niej.

Już niepotrzebna, zostałam całkiem sama. Potykając się w ciemnościach, próbowałam za nimi nadażyć. Nagle z pobliskich krzaków wyłonił się Carl i złapał mnie za rękę.

— Ta instalacja w łodzi jest po prostu niesamowita, prawda?! A spójrz na te pływające lampiony, czy nie wyglądają całkiem jak olbrzymie szklane muszle? Chi-huly nazywa je „walla walla” — nazwa dziwaczna, ale czy nie są przepiękne?! — Carl po omacku przysunął usta do mojego ucha: — Sprowadzimy je do Szklanii, tysiące walla walla będą się unosić na rzekach jak kraj

206

długi i szeroki, i urządzimy zawody kajakowe połączone ze zbieraniem lampionów, w których będą mogły wziąć udział wszystkie szklańskie dzieci.

— Carl? Tutaj jesteście! — zawołała Miranda. — No, no, a wy tu sobie gruchacie, gołąbeczki!

— Też moglibyśmy pogruchać — powiedział Paul. — Szkoda, że nie ma więcej łódek, jestem takim świetnym wioślarzem! Zobacz, jaką mam klatę! — I podniósł rękę.

— Jakoś nie jestem ciekawa — stwierdziła Miranda. Spojrzała na swoją mapkę ogrodów. — Chodźmy teraz znaleźć szklane słońce, ponoć jest

jeszcze bardziej efektowne.

Poszliśmy w stronę Oranżerii Księżnej Walii, przepychając się po ciemku, wybiegając naprzód i zamieniając się miejscami, jakbyśmy wykonywali jakiś skomplikowany taniec. Na widok ogromnego szklanego słońca, jarzącego się setkami żółtych spiral, aż przystanęliśmy bez ruchu.

Podekscytowany Carl złapał mnie za rękę, tak samo jak dawniej, gdy byliśmy mali.

— Urządzimy w pałacu wspaniałe przyjęcie, a szklane słońce będzie świeciło nad nami — szepnęłam.

Carl nic nie odpowiedział, bo Paul i Miranda stali tuż obok nas, w zasięgu słuchu, ale ścisnął mnie porozumiewawczo za rękę. Obeszliśmy oranżerię dookoła, podziwiając wysokie szklane trzciny obok prawdziwych kaktusów, niebieskie sylwetki szklanych czapli, wystawiających szyje z wody, kępy szklanej trawy, która zieleniła się obficie jak ta zwyczajna. Nie tylko Carl był olśniony — w cieplarni były tłumy ludzi i wszędzie wokół rozlegały się okrzyki zachwytu i błyskały flesze.

207

— Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz, od tych świateł rozbolała mnie głowa — powiedział Paul.

— Na miłość boską, Paul, nie widzisz, jakie to ważne dla Carla?! — zdenerwowałam się.

— W porządku, zostań z nim, a Miranda i ja wyjdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza. — Wyszczrzył się do mnie w uśmiechu.

Carl odwrócił się tyłem do słońca.

— OK, możemy już iść.

— Nie, Carl, zostańmy jeszcze! — zaprotestowałam.

— Nie ma sprawy, naprawdę, już się napatrzyłem — powiedział. —
Chodźcie, idziemy.

Miałam ochotę nim potrząsnąć. Wszedł z oranżerii za Paulem, pokornie jak ostatni baran. Paul zdążył się na chwilę odwrócić i posłać mi zirytowane spojrzenie. Miranda też wyglądała na wściekłą. Wysforowała się energicznie naprzód w swoich czarnych butach z klamerkami, Paul pobiegł za nią, Carl starał się dotrzymać mu kroku, a ja potykając się, ruszyłam za nimi niczym Sylvie-na-Przyczepkę.

— Hej, Miranda, zaczekaj! Może trochę pospacerujemy? — Paul schwycił ją za ramię i próbował pociągnąć między drzewa.

— Nie tędy droga — powiedziała.

— Ale te sprężynki na łódce już przecież widzieliśmy! — upierał się Paul.

— Trzeba je minąć. Musimy jeszcze zobaczyć tepi-darium. Rusz się, za godzinę zamykają.

— I kij z tym — odparł Paul, używając jednak dosadniej szego słownictwa.

208

— Hej, stary, włacha, pospacerujmy! — wtrącił się Carl. — Tyle już dzisiaj było tego szkła.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Carl nigdy wcześniej nie używał słów takich jak „stary” i „włacha” — i bezlitośnie drwił ze wszystkich, którzy to robili. A poza tym wiedziałam, jak bardzo mu zależy, żeby zobaczyć wszystkie szklane cuda Chihuly'ego.

— Wcale nie! — Miranda chwyciła go za rękaw. — To przecież gwóźdź programu, ty idioto! Specjalnie oświetlili całą aleję Wiśniową!

Czułam się tak, jakbyśmy weszli do baśniowego świata karnawału.

Drzewa ozdobiono kolorowymi lampami, tak że lśniły szafirowym i szmaragdowym blaskiem. Zewsząd zwieszały się łańcuchy różnobarwnych światełek, połykacze ognia łykali płomień, a szczudlarze kroczyli przez zarośla na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Było to tak niesamowite, tak cudowne, że Paul przestał marudzić, a Miranda skończyła nami dyrygować. Szliśmy ramię w ramię, wszyscy czworo, pośród tłumu, który płynął w stronę tepidarium.

Kiedy weszliśmy do środka, z zachwytu zaparło nam dech w piersiach. Między prawdziwymi roślinami kwitły gigantyczne szklane kwiaty. U sufitu wisiał wspaniały zielony żyrandol, który wyglądał jak kiść olbrzymich winogron. Pęk spiralnie skreconych, złotych balonów ze szkła spływał prawie do samej ziemi. Na powierzchni strumyka unosiła się niezwykła szklana roślinność.

— Patrzcie na kule! — wyszeptał Carl. Schylił się, żeby zobaczyć z bliska gigantyczne niebieskie kule,

209

które jak największe na świecie szklane bańki unosiły się na wodzie. — Jak udało mu się zrobić takie duże?

— Mnie najbardziej podobają się szklane kwiaty, ten różowy i turkusowy, są jak prawdziwe. Musimy takie mieć! — powiedziałam.

Myślałam o Szklanii, ale Miranda zrozumiała mnie dosłownie.

— No coś ty, one są niewyobrażalnie drogie! Nawet najprostsza rzeźba Chihuly'ego kosztuje tysiące funtów.

— A co dopiero kwiaty Macchia — dodał Carl. — Ich płatki mają kontrastujące barwy od wewnętrznej i zewnętrznej strony. Wydaje mi się, że pomiędzy tymi warstwami szkła musi być jeszcze jedna, nieprzejrzysta,

ale nie mam pojęcia, jak to możliwe.

— Nieważne, jak. Cieszymy się nimi tak po prostu — powiedziała Miranda.

— Są takie piękne! Paul, nawet ty musisz przyznać, że są cudne.

— Ty jesteś cudna — oświadczył Paul i komicznie zatrzepotał rzęsami.

— Co za głupol z ciebie! — uśmiechnęła się Miranda, ale posłała mu całusa.

Potem posłała drugiego Carlowi, który zrewanżował się jej tym samym, a następny pocałunek przesłał do mnie. Po chwili w powietrzu wokół nas unosiła się chmara pocałunków, a wszyscy czworo cmokaliśmy jak szaleni; ludzie zaczęli się na nas gapić.

— Lepiej stąd wyjdźmy, zanim nas wyrzucą — stwierdził Paul. —

Którędy do wyjścia?

— Tutaj jest wejście na górę — powiedział Carl i zaczął się wspinać po białych spiralnych schodkach na galerię pod samym dachem tepidarium.

Wdrapaliśmy

210

się za nim — ja pierwsza, za mną Miranda, a za nią Paul. Stanęliśmy na galerii. Kilka uwieczionych wróbli krążyło nad naszymi głowami, a pod nami wśród intensywnej zieleni podświetlonego listowia połyskiwały szklane rzeźby. Patrzyliśmy w dół z naszej galerii niczym członkowie królewskiego rodu. Po omacku odnalazłam rękę Carla.

— Czuję się tak, jakbyśmy byli w prawdziwej Szklami — szepnęłam do niego.

Miranda wzięła mnie za rękę. Jej rękę ścisnął już Paul. Wszyscy czworo

staliśmy bez ruchu, w milczeniu, trzymając się za ręce.

Tę chwilę zapamiętam na zawsze, pomyślałam. Trzymam Carla za rękę i jestem najszczęśliwsza na świecie.

To był magiczny moment. Wszystko wydawało się możliwe. Mogliśmy wszyscy czworo przekroczyć balustradę i poszybować w powietrzu jak ptaki, ciągle trzymając się za ręce.

Kiedy wyjdziemy na zewnątrz, w ciemność, nie puszczę ręki Carla.

Wejdziemy pomiędzy drzewa i tam go pocałuję, poprzysięgam sobie.

Obeszliśmy galerię dookoła, zeszliśmy po spiralnych schodkach, mijając szklane żyrandole, spirale i bańki, i wyszliśmy na zewnątrz, w mrok.

Na alei Wiśniowej było pełno ludzi, którzy usiłowali zobaczyć wszystkie ekspozycje przed zamknięciem.

— Chodźmy tą alejką, tam jest luźniej — zaproponował Paul.

— Idziesz w złym kierunku. Tędy dojdiesz do Leśnej Polany i zgubisz się zupełnie — poinformowała go Miranda.

211

— Może wszyscy się na chwilę zgubimy? — spytał Carl.

— Świetny pomysł! — odparłam.

— W takim razie pobawmy się w chowanego: Sylvie i Carl, Miranda i ja

— stwierdził Paul.

— Nie, chowanie się w parach jest dobre dla cykorów — powiedziała Miranda. Jej oczy lśniły w blasku księżyca. — Rozdzielmy się wszyscy.

Rozbiegniemy się w różnych kierunkach, a solenizant policzy z zamkniętymi oczyma do stu i odszuka nas po kolei.

— No nie, to zabawa dla przedszkolaków — narzekał Paul.

— Oj, Paul, daj spokój, zrób jej przyjemność. Miranda, a co dostanę, kiedy

już wszystkich znajdę? — spytał Carl. Jego oczy też dziwnie błyszczały, pewnie przez to widmowe światło.

— Dostaniesz wszystko, czego dusza zapragnie — odparła z szelmowskim uśmiechem Miranda. — To co, ja znikam.

I niespodziewanie zerwała się do biegu. Biegła zdumiewająco szybko, zważywszy na to, jak niewygodne buty miała na nogach, i zanim się zorientowaliśmy, skręciła za róg tepidarium i zniknęła nam z oczu.

— No to dalej, biegnijcie — powiedział Carl. — Zaczynam odliczanie.

Jeden... dwa... trzy...

Paul westchnął, ale zaczął biec — śladem Mirandy.

— Carl — szepnęłam. Zaszło mi w ustach.

— Cztery... pięć... sześć... biegnij, Sylvie!

— Przecież możemy pobiec razem, oni nie muszą o tym wiedzieć! — powiedziałam. — Chodź!

212

— Nie, to by było oszustwo — stwierdził Carl. — Mieliśmy się bawić w chowanego. Taka była umowa. Słuchaj, jeśli nie znajdę cię za dziesięć minut, wróć do tepidarium, dobrze? Nie rób takiej miny, Sylvie. Chyba się nie boisz, co?

— Nie! — zawołałam i pobiegłam w innym kierunku, wzdłuż tepidarium, i skręciłam w aleję Ostrokrze-wów. Zwolniłam i też zaczęłam odliczać w myśli. Kiedy doliczyłam do setki, stanęłam nieruchomo za małym drzewkiem, udając, że się kryję.

Czekałam, aż Carl mnie znajdzie. Czekałam i czekałam, i czekałam.

Najwidoczniej poszedł w drugą stronę, w stronę Mirandy. Pewnie już ją znalazł, i Paula też. Dlaczego więc nie zaczęli razem szukać mnie?

Zacząłam żałować, że nie zabrałam ze sobą komórki. Nadstawiłam uszu w nadziei, że usłyszę ich nawoływanie. Ale nic nie usłyszałam, nikt mnie nie wołał. Nie wzięłam też zegarka, więc nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale wiedziałam, że wkrótce zamkną bramy ogrodów. Co będzie, jeśli zostanę w środku? Przez całą noc będę się musiała tułać wokół cieplarni, przedzierać po ciemku przez zarośla i potykać w złowieszczej ciszy zagajników aż do świtu?

— Carl! Carl! Carl! — zaczęłam wołać. Mój głos był piskliwy i przerażony. Krzyczałam jak ptak w potrzasku.— Carl!

Byłam pewna, że chowam się już od co najmniej dziesięciu minut.

Pobiegłam w stronę tepidarium. Jeszcze wciąż było oświetlone i w środku zobaczyłam zwiedzających. Zatrzymałam się i wzięłam kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Bez żadnego powodu

213

wpadłam w histerię. Dlaczego zawsze muszę być taka dziecinna? Gdyby pozostali mnie zobaczyli, pękliby chyba ze śmiechu.

Nikt nie czekał na mnie przy wejściu. Ustawiłam się tam, tarasując przejście; co chwilę musiałam przepuszczać wychodzących, którzy z westchnieniem spoglądali na zegarki. Gdzie oni wszyscy się podziali? Przecież nie zgubili się na dobre. Chyba nie byli tacy podli, żeby bawić się moim kosztem? Co nas właściwie podkusiło, żeby zgodzić się na taką kretyńską grę?

Nagle przyszło mi do głowy, że tak olbrzymia cieplarnia jak ta może mieć jeszcze jedno wejście.

— Przepraszam bardzo, czy to główne wejście? — zapytałam desperacko jakąś parę.

— Z drugiej strony jest chyba jeszcze jedno.

— O nie!

Podziękowałam im grzecznie i pędem obiegłam tepi-darium. Drugim wejściem wylewał się tłum ludzi. Jakiś mężczyzna powiedział przez megafon, że tepidarium wkrótce zostanie zamknięte.

— Idziesz w złym kierunku, mała, brama jest przecież tam!

— Tak, wiem, ale umówiłam się tutaj z przyjaciółmi — wysapałam.

Okrażyłam cieplarnię jeszcze raz, lecz nigdzie nie natrafiłam na ślad Carla, Mirandy ani Paula.

Nie wiedziałam, co robić. Jules miała na nas czekać przy Bramie Wiktorii. Powinnam tam iść sama? Ale Carl powiedział, że mamy się spotkać tutaj! Stałam jak kołek i nie mogłam podjąć decyzji. Moją twarz wykrzywił grymas i czułam, że łzy napły-

214

wają mi do oczu. Przełknęłam ślinę przerażona, że zaraz się głośno rozbeczę.

— Wszystko w porządku, kochanie? — zapytała mnie jakaś kobieta. Miała kędzierzawe włosy i kwieciste spodnie, tak jak Jules. Bez namysłu zwróciłam się do niej po pomoc.

— Zgubiłam moich przyjaciół! — zawołałam z rozpaczą.

— Na pewno zaraz się znajdą. Gdzie się umówiliście?

— Tutaj! Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale bardzo długo nie przychodzą.

— Masz telefon komórkowy, słoneczko?

— Mam, ale nie zabrałam go ze sobą.

— A twoi znajomi mają przy sobie komórki?

— Carl ma!

— Harry, pożycz nam na chwilę swój telefon — zwróciła się do męża. — Nie bądź taki, kochanie: twój telefon!

Jej mąż nie miał zachwyconej miny, kiedy wręczał mi swoją komórkę.

Wybrałam numer Carla. Znałam go wprawdzie na pamięć, ale ręce tak mi się trzęsły, że musiałam to zrobić dwa razy.

Carl miał wyłączoną komórkę.

— 0 nie, nie odpowiada!

Łzy pociekły mi po policzkach.

— A pozostali?

— Mogę spróbować zadzwonić do Mirandy, ale nie jestem pewna, czy dobrze zapamiętałam jej numer.

Spróbowałam, lecz słuchawkę podniosła zupełnie obca osoba.

215

— Ojej, może pomieszały mi się dwójki i trójki? Wstukałam inną kombinację cyfr.

— Na litość boską, dziecko, ilu jeszcze znajomych zamierzasz obdzwonić? — zapytał niecierpliwie Harry.

— Przepraszam, bardzo pana przepraszam, po prostu nie pamiętam tego numeru — wyłkałam.

— Harry, nie podnoś głosu na tę biedną kruszynkę! Spróbuj jeszcze raz, kochanie. Ze spokojem.

Jeszcze raz wybrałam numer. Miranda odebrała po trzech dzwonkach.

— Tak?

— Miranda! Dzięki Bogu! Gdzie jesteście?

— Hej, co się dzieje? Płaczesz? Co tam się stało? Najpierw Paul

zachowuje się jakoś dziwnie, teraz ty. Gdzie jest Carl?

— Nie mam pojęcia! Szukałam go i szukałam, biegałam wokół tepidarium, ale nikogo z was nie udało mi się znaleźć. Gdzie jesteście?

— Paul i ja jesteśmy już na zewnątrz. Postanowiliśmy oddalić się na własną rękę. Paul powiedział, że nie masz nic przeciwko temu?

— Ale...

— Nie wracamy z mamą Carla, pojedziemy metrem. W porządku?

— Ale gdzie jest Carl?! Obiecał, że po mnie wróci, ale nigdzie go nie ma! Miranda, nie zostawiaj mnie tu samej!

— Kiedy jesteśmy już prawie na stacji! Paul, ty prosiaku, mówiłeś, że Sylvie chce, żebyśmy się ulotnili. Paul?! Przestań zaraz! Zabieraj te łapska! — Miranda

216

zachichotała. — Poczekaj chwilę, muszę go od siebie odkleić.

— Czy on wie, gdzie jest Carl?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — usłyszałam głos Paula.

— Co takiego? Dlaczego Paul mówi takie rzeczy?

— Chyba się pobili — wyjaśniła mi Miranda.

— Oco?

— Nie wiem, Paul mi nie powiedział. Może o nas? — dodała. — Tak czy inaczej, jestem wykończona, buty mnie obcierają, a łażenie po królewskich ogrodach już mi się znudziło.

— Słuchaj, mała, naprawdę musisz już kończyć, ta rozmowa będzie nas słono kosztowała. Kłócić się z przyjaciółką możesz przez własną komórkę

— wtrącił się Harry.

— A to kto? — zaśmiała się Miranda. — Brzmi jak koszmarny zgred!

Sylvie, naprawdę muszę już kończyć.

— Ale co ja mam teraz zrobić?! Boję się, że Carlowi stało się coś złego!

— Nie bądź niemądra, na pewno czeka przy bramie. Biegnij tam.

Znajdźcie jego mamę i wracajcie grzecznie do domu, maluszki. Pa!

W słuchawce zaległa cisza. Nie ośmieliłam się zadzwonić do niej jeszcze raz z telefonu Harry'ego. Oddałam mu komórkę, podziękowałam jego milej żonie i zaczęłam biec aleją Wiśniową w stronę Bramy Wiktorii. Po drodze rozglądałam się rozpaczliwie na boki, wołając Carla, kiedy tylko mogłam złapać oddech. Nigdzie nie było go widać.

217

Przy bramie zastałam spory tłumek zwiedzających, którzy się właśnie żegnali. Przepatrzyłam go dokładnie, ale Carla nie znalazłam.

— Sylvie? Sylvie! — Po drugiej stronie bramy stała Jules, wyraźnie zmartwiona i jeszcze bardziej rozczochrana niż zwykle. — Sylvie, szybko! Znajdź resztę i jedźmy. Nie mogłam znaleźć miejsca do parkowania, więc zostawiłam samochód na ulicy, blokując komuś wyjazd z posesji. Muszę stamtąd natychmiast odjechać.

— Ale to niemożliwe! Jestem sama. Zgubiliśmy się. Miranda i Paul dali sobie radę, poszli na stację metra, ale Carla nie mogę nigdzie znaleźć!

Och, Jules, i co my teraz zrobimy? Jestem pewna, że stało mu się coś złego!

— Sylvie, nie panikuj! — przerwała mi Jules. — Carl jest przecież tam, za tobą!

Odwróciłam się i zobaczyłam Carla. Poczułam taką ulgę, że aż zrobiło mi się słabo — ale wtedy dostrzegłam jego twarz. Carl miał czerwone oczy, pozlepiane rzęsy, zarumienione policzki. Nie ulegało wątpliwości, że

płakał.

Wiedziałam, że nie ma sensu pytać Carla, co się stało. Kulił się na tylnym siedzeniu z zaciśniętymi pięściami, przygryzając wargi i marszcząc czoło, zdecydowany nie odezwać się ani słowem. Jules próbowała wciągnąć go w niezobowiązującą pogawędkę, spoglądając na niego we wstecznym lusterku, ale Carl stanowczo odwrócił wzrok i patrzył przez okno, w ciemność.

Chciałam go schwycić za rękę i położyłam dłoń na siedzeniu pomiędzy nami. Nie zareagował. Spróbowałam przysunąć rękę trochę bliżej, lecz wtedy Carl zeszywniał jeszcze bardziej. Siedziałam obok, patrząc na niego żałośnie i próbując dociec, co się wydarzyło. Podczas zwiedzania cieplarni był przecież taki szczęśliwy i beztroski.

Pomyślałam o tej chwili sprzed zaledwie godziny, kiedy wszyscy czworo trzymaliśmy się za ręce pod

219

dachem tepidarium. Ze też musieliśmy się zgodzić na tę kretyńską zabawę w chowanego! Był to oczywiście pomysł Paula, któremu zależało na tym, żeby zostać z Mirandą sam na sam. Czy Carl i Paul pobili się o nią? Ale przecież Carl wcale nie dba o Mirandę, chociaż jej bardzo na nim zależy. Albo zależało, bo właśnie urwała się dokądś z Paulem i wyglądało na to, że jest zadowolona z takiego obrotu sprawy. Dlaczego Carl nie może zadowolić się mną?

Kiedy tylko Jules zaparkowała pod naszym bliźniakiem, Carl wyskoczył z samochodu i pobiegł do drzwi z kluczami w ręku. Nie pożegnał się ze mną. Nawet się nie odwrócił.

— Ojej — westchnęła Jules. — Sylvie, jak myślisz, co się takiego stało?

— Nie wiem — odpowiedziałam. Jules położyła mi rękę na ramieniu.

— A czy to możliwe, że...

— Tak?

Usłyszałam, jak Jules przetyka ślinę. Nie chciałam słyszeć ani słowa więcej. Domyślałam się, o co chce mnie zapytać.

— Lepiej nie rozmawiajmy o Carlu, byłby wściekły, gdyby się dowiedział

— powiedziałam szybko.

— Masz rację — przyznała Jules. Wybąkałam jakieś podziękowania za podwiezienie

i poszłam do nas. Na rozmowę z mamą też nie miałam najmniejszej ochoty. Mama siedziała przy komputerze, pewnie znowu wymieniała maile z Gerrym. Zamknęłam się u siebie. Położyłam się na łóżku i zaczęłam gapić się w sufit. Myślałam o Paulu i Mirandzie, którzy

220

spędzają ten wieczór razem. Myślałam o Carlu, który siedzi teraz sam w swoim pokoju, raptem kilka metrów ode mnie, a jednak wydaje się taki daleki, jakby był w innym kraju.

Dopiero wtedy, kiedy łzy potoczyły mi się po policzkach, uświadomiłam sobie, że płaczę.

W sobotę bardzo wczesnym rankiem zdecydowałam się wysłać do niego SMS-a.

CARL, SPISZ?

Ponawiałam wysyłanie co pół godziny. Moim zdaniem Carl nie spał.

Byłam pewna, że słyszałam, jak otwiera okno. Otworzyłam moje i wyjrzałam na zewnątrz. Nie udało mi się go zobaczyć, ale chyba słyszałam stukanie na klawiaturze. Zawołałam go cicho, jednak nie odpowiedział.

Zeszłam do salonu i napisałam do niego maila:

Carl, co się stało? Pokłóciłeś się z Paulem? Cokolwiek się wydarzyło, nieważne, naprawdę, chcę Ci tylko pomóc. Nie mogę znieść myśli, że coś Cię tak przygnębia. Odezwij się do mnie, proszę, napisz chociaż maila albo SMS-a.

Odpisał mi jednym ponurym zdaniem:

Proszę zostaw mnie w spokoju.

Próbowałam zastosować się do jego prośby. Zająłam się sobą: wróciłam do łóżka i spędziłam tam całe przedpołudnie. Miranda dzwoniła do mnie kilka razy, ale nie chciałam z nią rozmawiać. Wyłączyłam komórkę.

— Masz chandrę, kochanie? — zatroskała się mama. Przyniosła mi filiżankę kawy do łóżka.

221

— Nie, mam, jestem po prostu zmęczona — wymamrotałam.

Nawet nie tknęłam kawy, która całkiem wystygła. Schowałam głowę pod poduszkę, żeby przywrócić stan błogiej nieświadomości. Dręczyły mnie jednak majaki z pogranicza jawy i snu, z Carlem, Mirandą i Paulem w rolach głównych; starałam się je usunąć z mózgu, wałąc głową w materac. Od płaczu i zbyt długiego snu rozbolała mnie głowa, a kiedy w końcu wstałam, odkryłam, że na nosie wyskoczyły mi dwa nowe, olbrzymie pryszcze. To było ostateczne upokorzenie. Przeżywałam tragedię, a wyglądałam paskudnie i śmiesznie. Próbowałam wycisnąć oba i rozkwaśiłam sobie cały nos. Ślady masakry zatuszowałam grubą warstwą podkładu i zaczęłam przypominać klauna — w cętki.

— Znowu Miranda do ciebie! — zawołała mama.

— Powiedz jej, że mnie nie ma — syknęłam.

— Sama jej to powiedz! — stwierdziła mama.

— Jak niby mam to zrobić, skoro udaję, że mnie nie ma! — wybuchnęłam. Wiedziałam, że Miranda mogła mnie usłyszeć. No to trudno, pomyślałam. Podśluchałam, jak mama znajduje mi jakąś wymówkę. Chwilę później znowu przyszła do mnie na górę.

— Dlaczego nagle nie chcesz rozmawiać z Mirandą? Myślałam, że to twoja najlepsza kumpelka?

— Daruj sobie to pretensjonalne określenie, mamo! Jeśli chcesz wiedzieć, akurat w tej chwili zupełnie jej nie trawię — powiedziałam.

— Dobrze już, dobrze. Z Carlem najwyraźniej też się pokłóciłaś.

Rozmawiałam dziś rano z Jules — Carl

222

siedzi sam w swoim pokoju i nie odzywa się do nikogo. Trzy światy z wami, dzieciaki!

Mama westchnęła, ale wcale nie wyglądała na zasmuconą. Miała błyszczące oczy i niemądry uśmiech, jak gdyby ktoś opowiedział jej właśnie jakiś dowcip, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

Zachowywała się całkiem tak, jakby z tym przeklętym Gerrym łączyła ją mentalna gorąca linia.

Musiałam się wyrwać z domu, jak najdalej od niej. Nie mogłam iść do sąsiadów. Nie mogłam iść do Mirandy.

Postanowiłam wybrać się z wizytą do Lucy. Kiedy do niej zadzwoniłam, zachowywała się wyjątkowo chłodno. I trudno jej się dziwić — ostatnio właściwie ją ignorowałam.

— Lucy, mogę wpaść do ciebie po południu? — zapytałam.

— Po co?

— Tak po prostu, bo... bo jesteśmy koleżankami. A dobre koleżanki czasem się spotykają, prawda?

— Miranda nie ma dziś czasu, tak? — warknęła Lucy.

Myślałam, że zaraz rzuci słuchawką, ale po chwili zmiękła.

— No dobra, przychodź, skoro już musisz.

Tak naprawdę wcale nie chciałam jej odwiedzać. Poniewczasie doszłam do wniosku, że to był idiotyczny pomysł, ale teraz nie mogłam się już wycofać. Poszłam do Lucy. Kiedy mi otworzyła, zmusiłam się do szerokiego uśmiechu na powitanie, a potem dokładałam starań, żeby być dla niej miłą. Nie było to łatwe. Lucy

223

nadal zachowywała się wobec mnie obcesowo i odpowiadała mi monosylabami. Siedziała sztywno w nogach swojego łóżka i skubała szwy patchworkowej narzuty w kratkę.

Prowadzenie serdecznej, przyjacielskiej rozmowy przychodziło mi z coraz większym trudem. Chodziłam nerwowo po pokoju Lucy, a ona słuchała swojej nowej ulubionej płyty, kiwając głową, pstrykając palcami i wytupując rytm. Prawie nigdy jednak nie udawało jej się w niego trafić, co mnie jeszcze dodatkowo denerwowało. Odwróciłam się do niej plecami, żeby nie patrzeć na tę żalospną manifestację pełnego luzu, i sięgnęłam po jej trzy pluszowe misie, które siedziały na parapecie. Usadziłam je wygodniej, tak żeby wszystkie przytulały się do siebie.

— Cześć, Bobby, cześć, Billy, cześć, Bernie — powiedziałam i sprawiłam, że każdy niedźwiadek pomachał do mnie pluszową łapką.

— Cześć, Sylvie — odpowiedziałam sama sobie tubalnym niedźwiedzim głosem.

— Cześć, Sylvie — powiedziałam mrukliwym głosem średniej wielkości niedźwiadka.

— Cześć, Sylvie — zapiszczałam cieniutko jak mały miś.

— Pewnie myślisz, że to bardzo zabawne — stwierdziła Lucy. —

Wszystkie są tego samego wzrostu, więc muszą mieć podobne głosy. I co ty właściwie znowu wyprawiasz? One się nigdy nie całują!

— A właśnie, że tak! — powiedziałam, przysunęłam je do siebie jeszcze bliżej i każdy miś dał drugiemu pluszowego buziaka.

224

— Ty to jesteś dziwna! — powiedziała Lucy, zeskoczyła z łóżka i wyrwała mi swoje przytulanki.

— No dobrze, przepraszam. Oj, Lucy, zróbmy coś! Może wybierzemy się na zakupy?

— Na zakupach byłam już dzisiaj rano, z mamą.

— To może przejrzymy kolorowe pisma, powycinamy z nich różne zdjęcia i zrobimy jakieś fajne kolaże? Mogłabyś powklejać w jedno miejsce fotografie wszystkich twoich idoli.

Lucy troszkę się ożywiła.

— Mam klej i nożyczki. Mam nawet prawdziwy album do wycinanek, kupiłam go, żeby wklejać do niego świąteczne pocztówki, ale jakoś się nie zmobilizowałam. Ale na czym ty zrobisz swój kolaż?

Przeszukała dokładnie całe biurko i w końcu znalazła dla mnie swój stary, duży blok rysunkowy, którego prawie wszystkie kartki były już wykorzystane. Mała Lucy zapełniła je kiedyś niezliczonymi rysunkami czerwonego domku z marszczonymi firankami w każdym kwadratowym oknie, z krechą niebieskiego nieba u góry i zielonej trawy na dole. Z

zielonej kreski w równym szyku wyrastały czerwone i żółte kwiaty. Każdy kolejny obrazek w zasadzie niczym się nie różnił od poprzedniego.

Lucy i ja podzieliłyśmy się olbrzymim stosem kolorowych czasopism.

Lucy zarekwirowała wszystkie młodzieżowe pisma poświęcone gwiazdom muzyki pop. Przekartkowałam stare numery pism „Hello!” i „Heat”,

kupione przez jej mamę, i magazyny motoryzacyjne, które przeczytał jej tata. Do moich kolaży postanowiłam wykorzystać też nijakie, dziecinne

225

rysunki Lucy, ale wszystkie po kolei odpowiednio podrasowałam. Dom wyciętej z plotkarskiego magazynu rodziny Osbourne'ów znacznie powiększyłam, dodając rozmaite przybudówki, w tym urządzone w stylu gotyckim, ozdobione motywem nietoperzy prywatne studio nagrań dla Ozzy'ego. Wszyscy Osbourne'owie dostali po własnym samochodzie, a ponadto obdarowałam ich chmarą psów, które wycięłam ze starej książeczki z obrazkami.

— Nie wolno niszczyć książek! — zaprotestowała Lucy, która pieczołowicie wycinała wykadrowaną w kształt serca fotografię blondwłosego boysbandu. Otwierała i zamykała usta ruchem zsynchronizowanym z ruchem nożyczek.

— Chyba mi nie powiesz, że ciągle ją czytasz! — stwierdziłam. — Nie masz czasem kredek?

Na ziemi obok każdego psa dorysowałam nieduży brązowy zawijas.

— Przestań! To obrzydliwe! — powiedziała Lucy, ale nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Przewróciłam kartkę i zaczęłam przystosowywać następny dom do potrzeb Eltona Johna i jego przyjaciela Davida. Ich posiadłość rozbudowałam we

wszystkich kierunkach i urządziłam tak luksusowo, jak się tylko dało.

Znalazłam stary numer „Gardening Monthly” i z jego błyszczących kartek wycięłam mnóstwo kwiatów, których bukiety ustawiłam niemal wszędzie.

Kolejny dom zamieszkali Beckhamowie. Specjalnie dla nich w ogrodzie ustawiłam złote trony, dwa duże dla Victorii i Davida oraz trzy mniejsze dla dzieci. Narysowałam olbrzymią garderobę dla Yictorii i powiesiłam

226

w niej trochę markowych ciuchów, wyciętych z magazynu o modzie. Na tyłach domu dokleiłam sporą połąć trawy, żeby David miał gdzie pograć w nogę z synkami.

— Ojej! Sylvie! — wykrzykiwała raz po raz Lucy. Chichotała prawie bez przerwy. — Ty to jesteś naprawdę dziwna!

W towarzystwie Mirandy jestem tylko potulną szarą myszą, małą pchełką. Przy Lucy jestem dziwną dziewczyną, prawie skandalistką. I to uczucie mi się podoba.

Do pokoju weszła mama Lucy, niosąc dla nas tacę z nektarem porzeczkowym Ribeny i czekoladowymi biszkoptami w kształcie pałeczek, jakbyśmy ciągle miały po sześć lat.

— Co porabiacie, dziewczynki? — zapytała, marszcząc brwi na widok ścinków.

— Robimy wycinanki — wyjaśniła jej Lucy. — Och, mamó, spójrz tylko na kolaże Sylvie, są po prostu nieprawdopodobne!

Mama Lucy spojrzała na nie z takim wyrazem twarzy, jakby rzeczywiście nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Och, nie! — zawołała. — Sylvia, wkleiłaś te wszystkie zdjęcia do bloku z rysunkami Lucy! Nie mogłaś użyć czystych kartek z tyłu?

Dlaczego zniszczyłaś obrazki Lucy?

— Mam na imię Sylvie. Przepraszam, nie chciałam ich zepsuć. Po prostu trochę je przerobiłam — powiedziałam.

— Nie przesadzaj, mamo. Ja się nie gniewam — wtrąciła zakłopotana Lucy. — To przecież tylko stary szkicownik, jeszcze z zerówki!

227

— Chcę zachować wszystkie twoje rysunki i opowiadania, córeczko. Dla mnie są bardzo cenne. — Mama Lucy postawiła tacę na toalecie z takim impetem, że sok przelał się przez krawędź szklanek, po czym gniewnie wyszła z pokoju.

Zapadła niezręczna cisza. Lucy i ja popatrzyłyśmy na siebie nawzajem — i odwróciłyśmy wzrok.

— Przepraszam — powtórzyłam. Podniosłam blok rysunkowy Lucy, żeby sprawdzić,

czy zdjęcia uda się odkleić, ale trzymały mocno. Moje kolaże nie wydawały mi się już takie pomysłowe i zabawne.

— Nie martw się, Sylvie, przecież wiesz, że mamy już takie są — pocieszyła mnie Lucy.

Co za szczęście, że moją mamą jest moja mama, a nie mama Lucy.

>

W drodze do domu zaczęłam snuć plany na sobotnią noc. Mama i ja mogłybyśmy sobie urządzić dziewczyni-ski wieczór — obejrzeć razem jakąś komedię romantyczną, podjadając czekoladki, wypróbować na sobie nawzajem nowe uczesania... Ale mama miała inne plany.

— Tak naprawdę umówiłam się już z Gerrym, córeczko.

— Myślałam, że jesteście umówieni na jutro? Nie wybierasz się z nim

znowu na pływalnię?

— Owszem, ale zaproponował mi też spotkanie dziś wieczorem.

Wspomniałam mu kiedyś, że bardzo lubię Abbę. Geny specjalnie dla mnie zdobył bilety na ten musical Mamma Mia! Ale wcale nie muszę iść, mogę do niego zadzwonić i wszystko odwołać.

— Nie żartuj sobie, mam. Oczywiście, że nie możesz tego odwołać! Idź i baw się dobrze. Zobaczysz, będziesz zachwycona — powiedziałam.

— Mam takie wyrzuty sumienia, że wychodzę i cię zostawiam! Z drugiej strony wiem, że u Johnsonów będzie ci jak w domu. Chociaż nie jestem pewna, czy zastaniesz Carla. Jules mówiła, że gdzieś poszedł.

— Aha. Ale przecież wcale nie muszę tam iść. Zostanę w domu.

— Nie mogę cię zostawić całkiem samej. Może chciałabyś zaprosić na noc którąś przyjaciółkę? Miranda wydzwania do ciebie bez przerwy, na pewno by się zgodziła.

— Gorzko pożałowałabyś tego zaproszenia, mam. Miranda wzięłaby ze sobą butelkę wódki i pół tuzina chłopaków — powiedziałam.

— Żartujesz, mam nadzieję — odparła mama. — No dobrze, Miranda odpada, a Lucy?

Pomyślałam o pizamowym party z Lucy i jej trzema nieodłącznymi misiami: Billym, Bobbym i Berniem.

— Dam sobie radę sama — stwierdziłam.

— Wiem, że jesteś rozsądna i wystarczająco odpowiedzialna, żeby zostać sama. Zresztą zupełnie sama przecież nie będziesz, panna Miles będzie u siebie. — Mama na chwilę umilkła. — Gdybyś tylko chciała, zawsze mogę ją poprosić, żeby przygotowała dla was obu jakąś skromną kolację, pooglądałybyście sobie razem telewizję...

— Z całym szacunkiem dla panny Miles, wolałabym poderżnąć sobie gardło, niż siedzieć z nią przed tele-

230

wizorem, jeść jej omlet i oglądać stare seriale detektywistyczne z jej kaset wideo! Nic mi nie będzie, mamó, naprawdę. Idź już, no dalej!

I mama poszła. Udało mi się wytrwać z uśmiechem na twarzy do momentu, kiedy zamknęły się za nią drzwi wejściowe. Wtedy położyłam się na kanapie i zaczęłam płakać. Czułam się taka samotna i opuszczona. Zaczęłam się zastanawiać, czy Carl już wrócił do domu. Czy pogodził się z Paulem? Nie mogłam przestać o nich myśleć.

Panna Miles zajrzała przez drzwi do salonu.

— Wszystko w porządku, Sylvie? Nie jest ci smutno pod nieobecność mamy? Może chciałabyś przyjść posiedzieć u mnie?

— Nie, dziękuję — odpowiedziałam. Panna Miles westchnęła.

— No cóż, racja, moje towarzystwo trudno uznać za szczególnie atrakcyjne.

Poczułam się wyjątkowo podle.

— Nie, wcale nie o to chodzi! Po prostu jestem już bardzo zmęczona.

Chyba zaraz położę się do łóżka — dodałam szybko.

Rzeczywiście położyłam się spać bardzo wcześnie, ale nie mogłam zasnąć.

Kiedy mama wróciła do domu grubo po północy, wciąż jeszcze nie spałam. Nie zawołałam jej jednak. Sama przyszła na palcach do mojego pokoju i pochyliła się nade mną. Leżałam bez ruchu, z zamkniętymi oczyma.

— Sylvie, śpisz? — zapytała szeptem.

Ani drgnęłam, starając się oddychać miarowo i głęboko.

— Dobranoc, kochanie — szepnęła mama i cichutko wyszła z pokoju. Usłyszałam, jak kręci piruety na podeście schodów, prawie bezgłośnie nucąc Dancing Queen. Zatkałam sobie uszy. Nie chciałam słuchać żadnych piosenek Abby, a już zwłaszcza nie tej.

Następnego dnia rano mama obudziła mnie bardzo wcześnie. Miała na sobie T-shirt z krótkim rękawem i obcisłe dżinsy, włosy ściągnęła gumką w koński ogon. Wyglądała na moją starszą siostrę, a nie mamę.

— Cześć, słoneczko — powitała mnie i usiadła po turecku na moim łóżku.

— Jak ci minął wczorajszy wieczór? Zajrzałam do ciebie po powrocie, ale najwyraźniej spałeś jak suseł. Ja bawiłam się jak nigdy, ten musical jest po prostu kapitalny! Muszę odłożyć trochę pieniędzy i cię na niego zabrać, uśmiejesz się, zobaczysz. Jestem pewna, że ci się spodoba — i Carlowi też. Może w ramach twojego prezentu urodzinowego spróbuję zabrać was do teatru? Chociaż to pewnie będzie bardzo droga przyjemność. Geny nie pokazał mi nawet biletów, żebyś się nie dowiedziała, ile kosztowały.

Przez cały wieczór nie pozwolił mi za nic zapłacić, nawet za nasze drinki.

— Prawdziwy dżentelmen z niego — powiedziałam. Zabrzmiało to dużo złośliwiej, niż miało.

Mama umilkła.

— Żebyś wiedziała. Uważam, że Gerry to prawdziwy dżentelmen — stwierdziła. — Sama nie mogę uwierzyć, że to się przydarzyło właśnie mnie. To szaleństwo, pewnie uznasz mnie za wariatkę, bo ledwie go znam, ale myślę, że się w nim zakochałam, Sylvie.

Wiem, że jeszcze wszystko może się nie udać, że ten związek

najprawdopodobniej nie ma szans, ale nic mnie to nie obchodzi. Nigdy wcześniej się tak nie czułam, nawet wtedy, kiedy poznałam twojego tatę. Nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe uczucie! Wystarczy, że na niego spojrzę i dosłownie robi mi się miękko koło serca. Nie śmieję się ze mnie, proszę!

Wcale nie było mi do śmiechu. Zbierało mi się na płacz. Wiedziałam dokładnie, jakie to uczucie.

Schowałam się pod kołdrę, żeby mama nie widziała mojej twarzy. Źle zrozumiała moje zachowanie.

— Przepraszam, Sylvie, przepraszam! O Boże, przecież wiem, że nie ma nic bardziej żalosego i obrzydliwego niż wywody własnej matki na temat prrrawdziwej miłości.

Powiedziała to przesadnie, ironizując z samej siebie, żeby jakoś rozładować sytuację.

— Bardzo się cieszę, mamo — wybełkotałam spod kołdry. — Wolałabym tylko, żebyś oszczędziła mi dalszych szczegółów.

— Tak, wiem, już nie będę, obiecuję. Ale nie mogę się doczekać chwili, kiedy go poznasz, Sylvie, tak żebyś mogła mi uczciwie powiedzieć, czy przypadkiem nie robię z siebie idiotki. Szczerze mówiąc... szczerze mówiąc, Geny i ja zastanawialiśmy się, czy nie chciałabyś pójść dziś popływać z nami?

— Ja?! Nie! Nie wygłupiaj się, wcale nie chcemy, żebym za wami łąziła!

— Właśnie, że chcemy! Geny ogromnie chce cię poznać. Tyle mu o tobie opowiadałam. Mogłabyś wybrać się z nami na basen, przecież lubisz pływać,

a ten basen jest naprawdę fantastyczny. A potem razem poszlibyśmy gdzieś na niedzielny obiad. Tak, to znakomity pomysł! Poczekaj sekundę, zadzwonię tylko do Gerry'ego...

Co znaczyło, że to nie był dopracowany plan. Może nawet w ogóle mnie nie przewidywał. Wyobraziłam sobie, jak mama ukradkiem szepcze do słuchawki: „Tak, wiem, przepraszam cię, kochanie. Ja też chciałam spędzić ten dzień tylko z tobą, ale miałam takie wyrzuty sumienia, że znowu zostawiam Sylvie samą. Mała bez przerwy rozpamiętuje swoją dziecięcą miłość, chociaż wszyscy widzą, że nic z tego nie będzie; to takie żałosne!”

— Nie! — zawołałam z takim gniewem, jakby mama naprawdę to wszystko powiedziała.

— Dlaczego? — zapytała. — Polubisz go, jestem pewna. A któregoś dnia i tak będziesz musiała go poznać, prawda?

— Może tak, może nie. Zależy, jak długo to potrwa — stwierdziłam.

Chwilę wcześniej mama wyraziła tę samą wątpliwość, ale powtarzając ją po niej, postąpiłam paskudnie. Mimo to nie rozzłościła się na mnie ani nie powiedziała, że zachowuję się jak zazdrosny, rozwydrzony bachor. Z dzielnym uśmiechem pogłaskała mnie po ramieniu.

— Już dobrze, córeczko. Śpij sobie dalej. Wpadnę do ciebie jeszcze raz przed samym wyjściem, dobrze?

Z ociąganiem wyszła z mojego pokoju, wyraźnie licząc na to, że przestanę się bocyć i powiem jej coś miłego. Milczałam. Wolnym krokiem przeszła przez podest i powlokła się do łazienki, ale już po pięciu mi-

You, dodając nawet śmiesznym głosem refrenowe „aha!”

Nakryłam głowę poduszką i próbowałam usunąć ją ze świadomości, wymazać z pamięci Carla, Paula i Mirandę, wymazać samą siebie, tak żebym stała się czarną dziurą, a czarna dziura — mną.

Mama zajrzała pod moją poduszkę godzinę później.

— Hop-hop! Jest tam kto w tej jamie? — szepnęła, a w mojej ciemnej gawrze zapachniało kawą, perfumami i pastą do zębów. — Wychodzę, kochanie. Przykro mi, że cię zostawiam, ale nie mam wyboru. Przed chwilą rozmawiałam z Jules...

— Tylko nie to!

— ..która powiedziała, że obiad będzie koło wpół do pierwszej, ale możesz przyjść, kiedy tylko zechcesz.

— Nie chcę!

— Sylvie, przestań wydziwiał, na litość boską! — Mama straciła cierpliwość. — Muszę iść, jestem już spóźniona. Nie dasz mi buziaka na do widzenia?

Wciągnęłam wargi do środka i zagryzłam je. Mama zaczęła się śmiać.

— Zachowywałaś się tak, kiedy się na mnie bardzo zezłościłaś, jak miałaś dwa latka!—powiedziała. — No dobrze, nie musisz mnie całować.

Kocham cię, skarbie. — Poklepała kołdrę na wysokości mojej pupy i poszła w stronę drzwi.

— Cmok-cmok — wymruczałam spod poduszki.

A potem zapadłam w głęboki, głęboki sen, z którego wybudziło mnie dopiero dzwonienie, łomotanie i stukanie.

235

— Sylvie, słoneczko, śpisz? — W drzwiach mojego pokoju stała panna

Miles.

— Chciałam poleżeć sobie dzisiaj trochę dłużej — wyjaśniłam.

— Masz gościa, kochanie. Czeka na dole — powiedziała.

Wyskoczyłam z łóżka natychmiast, wrzuciłam na siebie dzinsy i jakiś T-shirt i boso wypadłam z pokoju, minęłam pannę Miles, zbiegłam po schodach — ale to nie był Carl.

Na kanapie w salonie swobodnie rozpierała się Miranda z butami na oparciu.

— Co ty tu robisz? Ściągaj te buty z kanapy, bo ją całą wybrudzisz! — powiedziałam.

— Najwyraźniej wstałaś dziś lewą nogą, co? — Miranda uniosła brwi. —

Ojejku, jejku. To może zrobię ci kawę? Chybaby ci się przydała.

Z gracją zeskoczyła z kanapy i tanecznym krokiem poszła do kuchni, zachowując się tak, jakby była u siebie w domu.

— Pani też się napije? — zapytała pannę Miles, która przyczała się w korytarzu.

— Nie, dziękuję, kochanie, ale już was zostawię, dziewczynki, pogadajcie sobie — odparła panna Miles i skierowała się do siebie na górę.

Poszłam za nią.

— Że też ją pani wpuściła! — szepnęłam.

— Szczerze mówiąc, sama weszła. Pukała do drzwi tak głośno, że musiałam je otworzyć, a wtedy ona błyskawicznie wdarła się do środka i oświadczyła, że chce z tobą porozmawiać. Z trudem udało mi się ją nakłonić,

236

żeby zaczekała w salonie, musiałam przemówić moim najbardziej

kategorycznym nauczycielskim tonem. Masz bardzo zdecydowaną koleżankę, Sylvie. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci kłopot. Zmięklam.

— Przepraszam panią za moje marudzenie.

— Ależ nie ma za co — odpowiedziała pogodnie.

— Wiesz, Sylvie, dobrze jest mieć przyjaciół, nawet aroganckich.

Wiedziałam, o co jej chodzi. Panna Miles nie miała zbyt wielu znajomych.

Poszłam do łazienki, umyłam twarz, wyszczotkowałam zęby,

przeczesałam włosy i wróciłam na dół, prezentując się nieco lepiej.

Na kuchennym stole czekał już kubek kawy, którą zrobiła dla mnie

Miranda.

— Twoja babcia poszła na górę? — spytała.

— Kto? Nie, to nie babcia, to nasza sublokatorka.

— Ach tak, sublokatorka! — powtórzyła Miranda takim tonem, jakbyśmy trzymały w salonie jakieś niezwykle egzotyczne zwierzę, na przykład lamę.

— Czego chcesz? — zapytałam lodowato.

— Miejmy nadzieję, że babcia sublokatorka zostanie u siebie, bo mam ci do opowiedzenia takie rzeczy, że szczeka opada.

— Ty i te twoje opowieści — powiedziałam. — Już mi wychodzą bokiem.

— Dlaczego jesteś dziś dla mnie taka okropna?

— zapytała Miranda. Odstawiła na bok swój kubek kawy i zarzuciła mi ręce na szyję. — Powinnaś być milutka! Jesteś przecież moją najlepszą przyjaciółką!

237

— Małe sprostowanie: byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, dopóki ty nie ulotniłaś się w trakcie kretyńskiej zabawy w chowanego i nie zostawiłaś

mnie zupełnie samej w Kew!

— Oj, Sylvie, biedne maleństwo, chyba się nie za-
boiłaś?

— Owszem, bałam się! — stwierdziłam i odtrąciłam ją. — To było
straszne, nie mogłam was znaleźć, a do zamknięcia bram zostało tylko
parę minut. Jak mogłaś tak po prostu sobie pójść i mnie zostawić?

— Myślałam, że tego właśnie chcesz, bo zależy ci na romantycznym tete-
a-tete z Carlem! Sądziłam, że ty i Paul uzgodniliście to między sobą, tak
mi przynajmniej powiedział, przysięgam! Okłamał mnie w żywe oczy,
tak?

— No nie, przynajmniej nie do końca. Przecież proponował, żebyśmy
chowali się w parach, ale ty upierałaś się, żebyśmy się rozdzielili!

— Bo taka już jestem, słonko. Lubię latać solo. — Miranda z ironią
przybrała wystudiowaną pozę i potrząsnęła włosami. — Ale i tak nic z
tego nie wyszło. Liczyłam na to, że uda mi się zdybać Carla w jakichś
krzakach i odrobinę się do niego poprzyμίłać, ale nie miałam szczęścia.
Nigdzie nie mogłam go znaleźć, błąkałam się po ogrodach całe wieki. Nie
byłaś jedyna, moja droga. Potem znalazł mnie Paul. Zachowywał się
naprawdę dziwnie, był strasznie nabuzowany i w kółko mi powtarzał, jak
za mną szaleje. Powiedział nawet, że mnie kocha, poważnie! Nikt
wcześniej nie używał przy mnie takich dużych słów, więc pomyślałam,
właściwie czemu nie, po co płynąć pod prąd, niech już

238

będzie Paul. Sądziłam, że do tego czasu Carla zdążyłabyś znaleźć trzy
razy, więc cieszyłam się, że chociaż Paul mi został. I nie uwierzysz, co się
wydarzyło!

— Przez telefon mówiłaś, że myślisz, że się pobili? — wtrąciłam szybko.

— Co? A tak, Paul i Carl. Między nimi coś się musiało stać, ale Paul zamknął się w sobie i nie chciał mi nic powiedzieć. A co powiedział Carl?

— Zupełnie nic.

— Faceci! Czasami naprawdę mają humory, zwłaszcza twój Carl — bez obrazy, Sylvie. Tak więc Paul autentycznie szalał, mówił mi czułe słówka. Potrafi być bardzo romantyczny, kiedy się postara. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale przysięgam, że tak właśnie było. zaproponował, że odprowadzi mnie ze stacji metra do domu, na co ja powiedziałam, że mam pieniądze na taksówkę, ale nie chciał nawet słyszeć, że mogłabym jechać sama. I pojechał ze mną. Rodzice wyszli akurat na jakąś nudziarską kolację, a Minna, moja au pair, zamknięta w swoim pokoju wypłakiwała się w słuchawkę swojemu chłopakowi z kraju, więc zaprosiłam Paula do piwnicy i... i zrobiliśmy to!

— Jasne, już ci wierzę.

— A jednak!

— Nie jestem Patty ani Alison — taki kit możesz wciskać pannom ze swojego fanklubu.

— Nie wciskam ci kitu, Sylvie. Przysięgam, że to zrobiliśmy. To znaczy, prawie.

-Oho.

— Przynajmniej próbowaliśmy. Leżeliśmy na kanapie i trochę się całowaliśmy. Nie pamiętam szcze-

239

golów, bo wcześniej sporo wypiliśmy, w każdym razie sprawa po raz pierwszy zaczęła wyglądać poważnie. Chciałam, żeby Paul to zrobił, on

powtarzał, że będzie uważać...

— Nie wierzę własnym uszom!

— Tak, masz rację, przecież wiem, że trzeba się zabezpieczać, ale szaleństwo zmysłów wzięło górę i w tamtej chwili jakoś się tym nie przejmowałam. A potem zmysły prysły i było po sprawie, rozumiesz. Popatrzyłam na nią tępo.

Miranda westchnęła ze zniecierpliwieniem.

— Skończyło się, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Z początku nie rozumiałam, co się dzieje, dlaczego Paul przestał. W sumie dość krępująca sytuacja. Nawet nie byłam szczególnie rozczarowana, trochę otrzeźwiałam i doszłam do wniosku, że dobrze się stało. Wcześniej trochę się bałam, że może boleć. W końcu uznałam, że próba też się jakoś liczy — ale Paul był wściekły, walił pięścią w kanapę i przeklinał.

— Wściekły na ciebie?

— Chyba raczej na samego siebie. Chociaż przyznaję, że z miejsca stracił ochotę na moje towarzystwo. I koniec czułych słówek! Poszedł jak zmyty. Bóg jeden wie, jak wrócił do domu. Zastanawiałam się, czy do niego nie zadzwonić, ale nie chcę, żeby się poczuł osaczony. Może mogłabyś poprosić Carla, żeby on to zrobił?

— Nie.

— Oj, Sylvie, proszę. Wstąpmy obok zobaczyć się z Carlem.

— Nie ma mowy.

240

— Proszę, proszę, proszę! — marudziła Miranda.

— Chcę zobaczyć Szklaną Altanę, umieram z ciekawości!

— Na pewno ci jej nie pokaże — powiedziałam.

— Skąd wiesz? — zapytała Miranda.

— Bo go znam — odparłam. — A poza tym Carl chce być teraz sam.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest wytrącony z równowagi.

— W takim razie ucieszysz się z naszej wizyty, bo jesteśmy jego przyjaciółkami — stwierdziła Miranda.

— No dalej, chodźmy.

— Nie możesz tak po prostu wtargnąć do jego domu!

— A to czemu? Przecież zawsze może nas spławić. Jesteś beznadziejna, Sylvie, tak wszystko komplikujesz! Najprostsze rzeczy roztrząsaszc godzinami, wahasz się i w końcu nie robisz nic. Dlaczego nie zaczniesz wreszcie działać?

— Niech ci będzie — podjęłam decyzję. — Idziemy do sąsiadów, chodź. Gdybym była sama, najpierw zajrzałabym pewnie do ogrodu, żeby sprawdzić, czy Carla nie ma w Szklanej Altanie, ale w towarzystwie Mirandy nie zamierzałam tego robić.

Wyszliśmy od nas i poprowadziłam ją do drzwi Johnsonów. Nacisnęłam dzwonek. Gdzieś w głębi domu usłyszałam głos Jules, ale nic się nie wydarzyło. Miranda natarczywie wcisnęła guzik dzwonka jeszcze raz.

— Miranda! — ofuknęłam ją szeptem i złapałam za rękę.

Jules z rękoma oblepionymi ciastem w końcu otworzyła nam drzwi za pomocą łokcia. Wyglądała jak w rękawicach.

— Właśnie w pocie czoła zarabiam ciasto, ale czy któryś z moich bezczynnych mężczyzn pofatyguje się, żeby otworzyć drzwi? A figę! —

uśmiechnęła się do

242

nas obu. — Cześć, Mirando. Nie wiedziałam, że też przyjdiesz na obiad.

— Sama też nie wiedziałam... tym bardziej więc dziękuję za zaproszenie

— powiedziała Miranda i bez skrupowania weszła do środka.

— Jules, bardzo dziękujemy, że nas zaprosiłaś, jesteś kochana, ale tak naprawdę wpadliśmy tylko na pięć minut, żeby zobaczyć się z Carlem.

— Aha. Nie jestem pewna, czy Carl jest w nastroju, żeby przyjmować gości — powiedziała Jules. — Jest trochę przygnębiony.

— W takim razie zaraz go rozweselimy — stwierdziła Miranda. — Jest na górze?

— Tak, ale...

Miranda wbiegała już po schodach. Jej czarna minispódniczka z tiulu furkotała, a jędrne łydki w kabaret-kach migwały nad cholewkami jej zabójczych butów.

— No cóż, może ona coś poradzi na jego chandrę — mruknęła Jules, unosząc brwi.

— Najmocniej przepraszam — powiedziała i pobiegła za Mirandą.

Miranda skręciła w złym kierunku, pospiesznie zastukała do pierwszych drzwi, które zobaczyła, i wtargnęła do środka, nie czekając na zaproszenie.

Jake rozciągnięty jak długi obok swojego łóżka ćwiczył właśnie pompki w samych bokserkach. Na widok Mirandy zrobił wielkie oczy, zdekoncentrował się wyraźnie i wyrznął podbródkiem o podłogę.

— Ojej! To nie ten facet! — zachichotała Miranda.

— Ależ nie, zapraszam! Wpadaj do mojej sypialni, kiedy tylko zechcesz!

— powiedział Jake, podniósł

głowę jak foka i zaczął rozcierać sobie podbródek. — Cześć, Mirando. Cześć, Sylvie. Dajcie mi sekundę, to włożę dzinsy i będę mógł przestać się rumienić.

— Akurat szukamy Carla — stwierdziła Miranda. — Ale dzięki za zaproszenie.

I wymaszerowała z pokoju.

— A może ty zostaniesz, Sylvie? — odezwał się do mnie Jake. —

Zagrałbym ci serenadę na gitarze.

— Yyy... Chyba raczej nie — powiedziałam i popędziłam za Mirandą.

Carl najwyraźniej usłyszał zamieszanie, jakie zrobiłyśmy na korytarzu, bo dobiegł mnie szcęk przekręcanego szybko klucza w jego drzwiach.

Miranda zaczęła się dobijać do jego pokoju, ale drzwi nie ustępowały.

— Hej, Carl! To ja, Miranda! Miranda i Sylvie! Daj spokój, wpuść nas! — zawołała, niecierpliwie szarpiąc za klamkę.

Nie odezwał się ani słowem. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie stoi pod drzwiami z drugiej strony. Miranda pomyślała o tym samym, uklękła i próbowała zajrzeć do pokoju przez dziurkę do klucza, ale klucz tkwiący w zamku od środka zasłaniał wszystko.

— Carl, nie wyglupiaj się, przecież wiemy, że jesteś tam. Otwórz, proszę!

— Miranda oburącz waliła w drzwi jak w bęben.

— Nie rób tyle hałasu! — upomniałam ją.

— Przecież o to właśnie chodzi! Zaraz otworzy drzwi, żeby mnie uciszyć

— wyjaśniła Miranda i podwoiła wysiłki.

Nie doceniła Carla. Zabarykadowany w swoim pokoju nieustępliwie milczał. Miranda w końcu musia-

ła się poddać. Ciężko dysząc, stała pod jego drzwiami i gniewnie wymachiwała rękoma w powietrzu.

— No dobra, nie otwieraj! — powiedziała. — Obejdzie się. Pójdziemy pogadać z Paulem.

Wydawało mi się, że słyszę, jak Carl bierze oddech, ale nic nie powiedział. Miranda westchnęła głęboko i przewróciła oczyma. Z głośnym tupaniem ruszyła korytarzem w stronę schodów, gestem każąc mi zrobić to samo. Na szczycie schodów zatrzymała się i podniosła palec do ust.

— Co? — zapytałam ją bezgłośnie.

— Założę się, że zaraz wyjrzy, żeby sprawdzić, czy już sobie poszłyśmy — wytłumaczyła mi szeptem, tak jakby to o n a znała Carla od dzieciństwa.

Ze swojego pokoju wyszedł Jake, ubrany w dzinsy, buty do baseballa i swój najbardziej gotycki T-shirt z krótkim rękawem. Wyraźnie chciał zaimponować Mirandzie. Schwycił ją za ręce — dłonie nadal miała czerwone.

— Niezłe bębnienie — powiedział. — Nie chciałabyś grać na garach w mojej kapeli?

— Ciii!

— Słuchajcie, dziewczyny, jeśli liczycie na to, że uda się wam zobaczyć, jak Raróg Carl wynurza się ze swojej dziupli, to będziecie tutaj czekać cały dzień.

— On ma rację — powiedziałam do Mirandy.

— Ale chyba kiedyś będzie musiał wyjść na siku? — zauważyła Miranda. Zaczerwieniłam się. Byłam zła, że rozmawiamy tak o Carlu za jego

plecami — i martwiłam się, że on to wszystko może słyszeć.

245

— Ma u siebie zlew — powiedział Jake.

— Faj! Coś obrzydliwego! — Miranda wybuchnęła śmiechem, mimo że miałyśmy być cicho.

— Chodźmy na dół — powiedziałam. Staralam się mówić jak najwyraźniej. — Dajmy mu już spokój.

Tak więc zeszliśmy na dół i wyszliśmy do ogrodu, gdzie na leżaku siedział Mick i poprawiał prace studenckie. Jego wzrok prześlizgnął się po mnie i po Jake'u i zatrzymał się na Mirandzie.

— To jest Miranda, przyjaciółka Sylvie — przedstawił ją Jake.

— Przyjaźnię się także z Carlem — dopowiedziała Miranda.

Mick uniósł brwi.

— Czy ty i Sylvie chodzicie do jednej klasy? — upewnił się, tak jakby to było zupełnie niewiarygodne.

— Do równoległych klas. Jestem nowa — wyjaśniła Miranda. Usiadła obok niego i zaczęła przeglądać prace, które już sprawdził.

— Nie waż się ich pomieszać! — powiedział groźnie Mick, ale Miranda tylko się roześmiała.

— Boże, co za nudy! — stwierdziła.

— I owszem — przyznał Mick i ziewnął. — A zostało mi jeszcze dwadzieścia.

— Jest pan nauczycielem? — spytała. Siedziała, obejmując rękoma pulchne kolana, ze stopami ustawionymi równo jedna obok drugiej, i patrzyła na niego, zalotnie przechylając głowę na bok.

— Akademickim.

— Aha, wykładowcą na uniwersytecie. Super — powiedziała Miranda. Brakowało tylko tego, żeby zaczęła trzepotać rzęsami. Kokietowała Micka całkiem jawnie.

— Politologiem — wtrącił się Jake. — Koszmarne nudziarstwo!

Mick spiorunował go wzrokiem.

— A czym się zajmuje twój ojciec, Mirando?

— Pracuje w telewizji.

— Jest aktorem?

— Nie, nic z tych rzeczy, robi programy dokumentalne. Aktorką jest moja mama — w pewnym sensie. To zależy od tego, w jakim akurat jest humorze i na kim chce zrobić wrażenie. Kiedyś była modelką, ale teraz jest już na to za stara. Mówi, że jest aktorką albo projektantką biżuterii, albo artystką, chociaż żadnej z tych profesji nie traktuje poważnie, tak się tylko bawi.

— Nie widzę w tym nic złego — stwierdził Mick. — Jules, moja żona, jest artystką, ale ty uznałabyś pewnie, że tylko bawi się w sztukę, bo nie ma rozpoznawalnego nazwiska, nie wystawia w galeriach i nie zarabia na sprzedaży swoich obrazów, ale to nie jest dla niej ważne. Z zawodu jest nauczycielką, uczy szkraby plastyki, a popołudniami maluje dla czystej przyjemności.

Podobało mi się, że Mick opowiada o Jules z taką dumą.

— Ja też maluję. — Jake koniecznie musiał się pochwalić.

Wszystkie prace Jake'a są wielkoformatowe i niechlujne — tworzą je plamy, rozbryzgi i mazy. Kiedyś Jake malował psy, króliki, konie i zwinięte w kłęb,

olbrzymie węże, zwierzaki swoich marzeń, ale od jakiegoś czasu maluje dorodne, różowe kobiety z piersiami jak arbuzy — dziewczyny swoich snów. Jego technika malarska różni się diametralnie od techniki Carla, który starannie rysuje kolorowym tuszem ilustracje tak filigranowe, że przypominają miniatury ze średniowiecznych manuskryptów.

— Podobno Carl także? — zapytała Miranda. Czasem odnoszę wrażenie, że ta dziewczyna potrafi czytać w moich myślach. — A gdzie przechowuje swoje obrazy? W tej tajemniczej Szklanej Altanie? Chodźmy je obejrzeć!

— Nie! — zaprotestowałam. — Nie możesz tego zrobić. To osobiste prace.

— Dobrze już, dobrze — powiedziała i podniosła się z miejsca, odsłaniając przy okazji prawie całe uda. Mick z westchnieniem odwrócił oczy. Jake się gapił.

— W takim razie nie spojrzę nawet na jeden obraz — ale tę słynną kolekcję szkła po prostu muszę zobaczyć!

— Nie, ona też jest czymś osobistym — stwierdziłam.

— Nie przesadzaj, Sylvie, to przecież tylko szkło! Poza tym przyczyniłam się do powiększenia jego zbiorów, prawda? Jestem ciekawa, gdzie położył mój przycisk.

— Szklana Altana to prywatna pracownia Carla. Nikt nie ma tam prawa wstępu, a już zwłaszcza pod jego nieobecność — powiedziałam.

— Ale ty tam bywasz! I Paula Carl też zabrał. To dlaczego ja nie mogę? Niczego nawet nie dotknę, chcę

tylko popatrzeć. Gdzie ona jest? — Mrużąc oczy, spojrzała w głąb ogrodu,

w stronę żywopłotu z cisów. — Za żywopłotem! — zawołała. Ruszyła ku altanie tak energicznym krokiem, aż pod tiulową spódniczką zatrząsnęły się jej pośladki.

— Wracaj na miejsce, Mirando — powiedział Mick. Cicho, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Miranda buntowniczo zrobiła jeszcze kilka kroków i dopiero wtedy się zatrzymała. Odwróciła głowę, trzepiąc włosami, jej policzki płonęły.

— Mmm? — odezwała się, udając, że nie dosłyszała.

— Szklana Altana należy do Carla. To jego prywatna pracownia, tak jak powiedziała Sylvie. Nikt tam nie zagląda bez wyraźnego zaproszenia.

Obawiam się, że będziesz musiała poczekać, aż Carl cię zaprosi.

Miranda zmarszczyła czoło, ale nie protestowała. Przygryzła wargi. W tej chwili wyglądała niespodziewanie jak mała dziewczynka. Po namyśle podeszła do Jake'a i wsunęła mu dłoń pod ramię.

— Wygląda na to, że nie będzie mi dane zobaczyć słynnej kolekcji kryształów, więc chyba zadowolę się twoimi obrazami — powiedziała.

— Zapraszam — zgodził się Jake.

Pociągnęła go w stronę domu. Zaproszenie Jake'a najwyraźniej mnie nie objęło. Odwrócił się ku mnie dopiero, gdy byli już pod samymi drzwiami.

— Idziesz z nami, Sylvie?

— Zaraz przyjdę — odmruknęłam. Zaczekałam, aż oboje wejdą do środka.

Spojrzałam

na Micka. Pozbierał swoje prace, ułożył je na kolanach

249

i uklepywał w równy stosik. Zauważył moje spojrzenie i głośno odsapnął, całkiem jak postać z kreskówki.

— Twojej przyjaciółce można pozazdrościć tupetu — powiedział.

— Wiem — odparłam. — Przepraszam, że nie spytałam pana ani Jules, czy Miranda też może przyjść na obiad. Jakoś tak sama się wprosiła.

— To do niej podobne, jak się zdaje. Ma trochę zbyt narzucający się sposób bycia, nie uważasz? Nie jestem pewien, czy nasz Jake sprosta takiemu wyzwaniu — ale coś mi się zdaje, że tak naprawdę chodzi tu o Carla.

Wzruszyłam ramionami.

— Nieważne, Miranda traci czas — stwierdził Mick, po czym wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. Umilkł na chwilę z dłonią na moim barku. — Sylvie, nie wiem, co się z nim dzieje. Czy to całe zamykanie się w pokoju i nieodzywanie do nikogo to tylko zwykłe humory, czy też stało się coś złego i Carl naprawdę cierpi?

— Nie wiem — powiedziałam bezradnie. — Carl już chyba nie chce powierzać mi swoich sekretów.

Miranda i ja zostałyśmy u Johnsonów na obiedzie. Carl nie zszedł na dół. Posiłek dla niego Jules ustawiła na tacy.

— Chętnie mu ją zaniosę — zaoferowała się Miranda.

— Dziękuję, kochanie, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli zrobi to Sylvie — powiedziała Jules.

Zerwałam się z miejsca i zniosłam tacę na górę. Postawiłam ją pod drzwiami pokoju Carla. Nie zapukałam, po prostu podeszłam blisko drzwi i powiedziałam:

250

— Carl, przyniosłam ci obiad. Tacę zostawiam pod drzwiami.

Przepraszam, że tak się do ciebie dobijałyśmy. Obiecuję, że teraz damy ci

już spokój.

Miałam ochotę dodać „kocham cię”. Wymówiłam te słowa bezgłośnie, nie odważyłam się na więcej.

Miranda zdecydowała się pożegnać zaraz po obiedzie. Nie podobało jej się, że Jules i Mick są wobec niej tacy stanowczy, a flirtowaniem z Jakiem szybko się znudziła. Wyszliśmy razem. Wróciliśmy do mnie, ale Miranda nadal była zniecierpliwiona i nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Chyba zadzwonię do Paula.

— Myślałam, że to on ma zadzwonić do ciebie?

— Tak, ale wiesz, jacy są faceci. Mówią, że zadzwonią, i nigdy tego nie robią.

— Chcesz się z nim umówić jeszcze raz?

— Tak. To znaczy, nie do końca, ale dopóki nie trafi mi się ktoś bardziej interesujący, może być i Paul.

— Nie znoszę tego chłopaka — stwierdziłam. Zamilkłam i przećwiczyłam sobie w myślach następne zdanie, tak żeby zabrzmiało możliwie swobodnie. — Jak myślisz, dlaczego Carl go lubi?

— Bo jest... — Miranda zaczęła gestykulować w poszukiwaniu dobrego słowa. — Bo jest fajnym gościem. Jest przystojny, wysportowany, lubi pożartować. Ma jakiś taki arogancki urok. Możesz go nie lubić, ale chyba przyznasz, że jest niezły, co?

— Do Carla mu daleko.

— Hmm. No tak. Ale Carl wygląda przy nim jak grzeczny chłopczyk. Moim zdaniem Paul jest dużo bardziej seksowny.

251

— Mimo że nie umie zabrać się do rzeczy?

— Cóż, mało który dobrze sobie radzi za pierwszym razem.

— Podpowiada ci to twoje bogate doświadczenie? — zapytałam niewinnie.

— I tak jest znacznie bogatsze niż twój e! — odcięła się Miranda.

Wybrała numer Paula. Nie odebrał, więc zostawiła mu wiadomość.

— Cześć, przystojniaku, tu Miranda. Jest już trzecia po południu i nudzi mi się okropnie. Nie chciałbyś się spotkać? Zadzwoń, czekam.

— To mówisz, że nudzisz się okropnie, co? — zapytałam.

— Tak tylko powiedziałam, wariatko, musiałam przecież znaleźć jakąś wymówkę, żeby do niego zadzwonić! — wyjaśniła. — Ale rzeczywiście powinnam już chyba wracać do domu, na wypadek, gdyby Paul do mnie przyszedł. Poza tym obiecałam rodzicom, że na obiad będę z powrotem, pewnie się trochę niepokoją.

Kiedy wyszła, poczułam ulgę. Zaczynałam żałować, że się zaprzyjaźniłyśmy. Z Lucy też nie chciałam się już przyjaźnić. Zależało mi tylko na przyjaźni Carla.

Położyłam się na łóżku. Na mojej poduszce siedział Albert, ale zrzuciłam go na podłogę. Sięgnęłam po moje stare pluszowe zwierzaki, które siedziały na parapecie, i przypomniałam sobie zabawy, w jakie bawiłam się z Carlem, kiedy byliśmy mali. Na przykład byliśmy badaczami dżungli i wtedy te wyleniałe, dziecinne przytulanki — różowy i bładoniebieski niedźwiadek,

252

szorstkowłosa terier z kokardką w szkocką kratę oraz kędzierzawa owieczka, która wyglądała jak przejechana przez walec — były naszą dziką zwierzyną.

Szczególnie niebezpieczny był najmniejszy i najbardziej mięciutki pluszak — miś w odcieniu bladego błękitu. Jego ugryzienie było tragiczne w skutkach. Carl i ja bawiliśmy się na zmianę: jedno w agonii toczyło pianę z ust, a drugie wykonywało skomplikowaną operację, posiłkując się łyżką, plastikowymi nożyczkami i stetoskopem ze skakanki.

Bywało, że moje przytulanki stawały się naszymi dziećmi: Alice, Benjaminem, Charliem, który umiał się odszczekiwać jak nikt, i Michaeliem, kochanym, choć bardzo gapiowatym maluchem. Były to dzieci z nieprawego łóża, które asystowały nam przy zabawach w ślub. Alice ubierałam wtedy w sukienkę druhny, zrobioną z różowego jedwabnego szalika; Benjamin, Charlie i Michael byli drużbami, dopóki nie dotarliśmy do kościoła, bo w kościele Benjamin przeistaczał się w bardzo niskiego pastora, odzianego w czarną rękawiczkę z wypustkami z białej chustki, która miała udawać koloratkę.

Benjamin głosem Carla pytał, czy chcę poślubić Carla Anthony'ego Johnsona, a ja, ubrana w białą koszulę nocną, z bukietem mleczy w ręku, odpowiadałam, że tak, tak, tak, i obiecywałam go kochać i szanować, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Zastanawiałam się, czy Carl nadal leży na swoim łóżku po drugiej stronie ściany. Może wspomina te same zabawy, może przychodzą mu do głowy te same myśli?

253

Mój telefon komórkowy zapikał. Zerwałam się z łóżka z walącym głośno sercem, żeby sprawdzić SMS-a, ale była to tylko wiadomość od mamy, która pytała, czy u mnie wszystko w porządku i czy zjadłam dobry obiad u Jules. Obiecywała solennie, że wróci na kolację, i chciała wiedzieć, jak się

zapatruję na pomysł, żeby przyprowadziła ze sobą Gerry'ego, aby mi go przedstawić?

Boże, tylko nie to! Odpisałam jej: MOŻE INNYM RAZEM. BUZIAKI, S. Położyłam się z powrotem i nagle poczułam się taka samotna, aż zebrało mi się na płacz i łzy popłynęły mi w poprzek po policzkach. Potem zasnęłam i śniłam o Carlu. Byliśmy w ogrodach w Kew. Znow się zgubiłam i dokądś biegłam, bez tchu, na oślep, przedzierałam się przez gęste tropikalne zarośla, a szklane rzeźby Chihuly'ego roztrzaskiwały się dookoła, gdy nagle tuż przed sobą zobaczyłam Carla. On też biegł — uciekał przede mną. Mimo największych starań nie mogłam go dogonić. Carl pomknął spiralnymi schodami na galeryjkę pod dachem oranżerii, a ja pognałam za nim, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na samej górze, gdzie ścigałam go wzdłuż wąskiego balkonu widokowego, dzieliło nas już tylko kilka kroków. Wtedy Carl obejrzał się przez ramię, poślizgnął, zatoczył na niską balustradę i wypadł przez nią tyłem. Patrzyłam, jak spada coraz niżej i niżej, w gąszcz olbrzymich, zielonych liści, i krzyczałam jak opętana. Pik-pik.

Aż się poderwałam. Gardło bolało mnie tak, jakbym naprawdę krzyczała. Chwyciłam za komórkę. To była

254

wiadomość od Mirandy, że zaraz prześle mi SMS-a od Paula. Przez następny kwadrans byłam zmuszona śledzić ich idiotyczne przekomarzania. Miałam ochotę wyłączyć telefon, ale wciąż liczyłam na to, że może odezwie się do mnie Carl...

Pik-pik.

O nie, tylko nie kolejny beznadziejny żarcik Paula adresowany do

Mirandy! Wcisnęłam przycisk „Pokaż”, zdecydowana od razu usunąć tę wiadomość.

PRZEPRASZAM PRZEPRASZAM PRZEPRASZAM. BĘDZIESZ W S.A.? :-* C.

Tak!

Otarłam oczy, zbiegłam po schodach i przemknęłam przez kuchnię, gdzie w biegu skinęłam głową pannie Miles, która akurat robiła sobie herbatę.

Wypadłam z domu tylnym wyjściem, pognałam jak burza przez nasz ogród, błyskawicznie przedostałam się przez dziurę w płocie i zatrzymałam bez tchu dopiero pod drzwiami Szklanej Altany. Wewnątrz było ciemno. Zdążyłam przed Carlem? Nieśmiało zapukałam do drzwi.

— Wejdz — odezwał się szeptem Carl. — Jesteś sama, prawda?

— Jasne, że tak — odpowiedziałam i wślizgnęłam się do środka.

W altanie było tak ciemno, że nie mogłam nic zobaczyć. Po omacku zaczęłam szukać włącznika światła.

— Nie zapalaj — poprosił Carl. — Posiedźmy po ciemku.

Wyciągnął rękę i odnalazł moją dłoń.

— Chodź i usiądź tu przy mnie. Usiadłam na kanapie tuż obok niego.

255

— Och, Sylvie — powiedział, lekko chrypiąc. -Przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam — powiedziałam. — Nie powinnam była sprowadzać Mirandy, to był wyjątkowo głupi pomysł. Dobijała się do ciebie jak szalona, nie umiałam jej powstrzymać. Po prostu koszmar.

— Z mojej strony drzwi to dopiero był koszmar — stwierdził Carl. — Już myślałem, że za chwilę wyrąbie sobie przejście siekierą. Wiem, że to głupie i dziecinne tak się chować, ale nie czułem się na siłach, żeby

spojrzeć jej w oczy. Powiedziała ci, co się stało w Kew?

— Nie. Tylko tyle, że wróciła z Paulem.

— Może jej nie powiedział. Przełknęłam ślinę.

— Czego jej nie powiedział?

Usłyszałam, że Carl też przełyka ślinę. Siedzieliśmy w ciemności ramię przy ramieniu przez kilka długich sekund.

— Jestem ostatnim idiotą — odezwał się w końcu. Wydawało mi się, że powstrzymuje się od płaczu.

— Carl, daj spokój, nic się stało. Przestań, proszę — powiedziałam.

Chciałam go objąć ramionami, ale ścisnął moją rękę tak mocno, jakby w ogóle nie zamierzał jej puścić.

— Właśnie, że się stało. Wszystko zepsułem. On mnie nienawidzi. A ja go kocham.

Poczułam, jak krew dudni mi w skroniach. Powiedział to głośno. Teraz już nie będziemy mogli dłużej udawać. To koniec. Koniec moich marzeń.

— Domyśliłam się — powiedziałam, z trudem opanowując drżenie głosu.

256

— To dla ciebie szok, prawda?

— Nie, wcale nie, nie bądź niemądry — wymamrotałam.

— Dla mnie to b y 1 szok. To znaczy, jakoś tam przeczuwałem, że wolę chłopaków od dziewczyn — oczywiście z wyjątkiem ciebie, Sylvie — ale nie chciałem być inny. A okazało się, że nic na to nie poradzę. Kiedy zobaczyłem go pierwszego dnia, było tak, jakby był jedynym chłopakiem w całej szkole. Nie mogłem przestać się na niego gapić. Na szczęście gapili się na niego wszyscy, jest przecież słynnym piłkarzem, każdy marzył o tym, żeby należeć do jego paczki. Dopóki znaliśmy się tylko z

widzenia, wszystko było pod kontrolą. Ale potem nauczyciel teatru umieścił nas w jednej parze. Nie mogłem w to uwierzyć. Byłem podekscytowany, a zarazem okropnie przerażony. Wiedziałem, że się totalnie zbłąźnię. I tak się stało, nie miałem pomysłu, jak do niego zagadać...

— Oj, Carl, przestań, jesteś najbardziej elokwentną osobą, jaką znam.

— Z tobą mogę rozmawiać o wszystkim, ale kiedy poznałem Paula, ledwo wydusiłem z siebie parę słów. Pierwsze ćwiczenie dotyczyło zaufania do partnera i polegało na tym, że trzeba było upaść, a zadaniem partnera było złapać cię w porę. Ćwiczyliśmy to na zmianę. Nie masz pojęcia, co czułem, trzymając go w ramionach. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, sam dotyk był jak wstrząs elektryczny. Jak kiedyś poczujesz do kogoś coś podobnego, będziesz wiedziała, o co mi chodzi.

Cieszyłam się, że siedzimy po ciemku.

257

— Sylvie? — Carl nie wiedział, o co mi chodzi. -Zaszokowałem cię, tak?

— Nie, skądże, jestem może trochę... zaskoczona.

— Ja też byłem — ciągnął Carl. — Nigdy nie sądziłem, że spotka mnie coś takiego. Myślałem, że jakoś mi się uda. Zawsze bardzo uważałem, żeby nie zachowywać się jak dziewczyna. Nie znoszę docinków. Z tobą w naszym prywatnym świecie czułem się całkiem bezpieczny. Nie wiedziałem, jak to jest, kiedy się człowiek zakocha. A to przerażające uczucie, tak intensywne, że może wszystko zdominować. Jest całkiem jak w najstraszliwszych banałach o miłości, jak w najbardziej sentymentalnych piosenkach: nie można jeść, nie można się na niczym skupić, nie można spać. Przez cały czas myślisz o tej wybranej osobie,

nawet jeśli wiadomo, że to bez szans. I nic nie możesz na to poradzić. A zakochać się w Paulu to już zupełne szaleństwo, bo Paul jest wręcz modelowym hetery-kiem. Z innych orientacji drwi bez litości.

Wiedziałem, że nie ma najmniejszych szans, żebym kiedykolwiek zdobył jego wzajemność, a jednak w głębi duszy wciąż się łudziłem, że może zdarzyć się cud. Beznadziejne, co?

— Beznadziejne — potwierdziłam.

— Myślałem, że będzie dobrze tak, jak jest, że będziemy się po prostu przyjaźnić, że to mi wystarczy. Ale nie potrafiłem poradzić sobie z tym, że nie mogę powiedzieć, co naprawdę czuję. Było mi bardzo ciężko, wciąż dopadało mnie poczucie beznadziei. Chodzi o to, że nawet gdyby Paul też był gejem, nigdy nie mógłby się z tym ujawnić w naszej szkole. Każdego 258

z moich kolegów można obrzucić dowolnymi cztero-literowymi wyzwiskami i żaden okiem nie mrugnie, ale wystarczy nazwać któregoś gejem, a zmasakruje ci twarz, nawet jeśli rzeczywiście nim jest. Mnie od pedałów wyzywają dosyć często, bo jestem dobry z plastyki, nieźle się uczę i kiepsko gram w nogę, ale nikt nie traktuje tego dosłownie. Paul nazywa mnie beznadziejną ciotą za każdym razem, kiedy zepsuję podanie, ale wtedy próbuję zamienić to w żart: wybucham śmiechem, zaczynam się krygować jak panienka, wołam „ojjku!” i wszystko rozchodzi się po kościach.

— Jak możesz kochać kogoś, kto tak cię traktuje?!

— Przecież ci mówię, że Paul nie używa tego określenia dosłownie. Do głowy mu nie przyszło, że ja naprawdę jestem gejem. Ciągłe mi opowiadał o dziewczynach i o tym, co chciałby z nimi robić, a ja rewanżowałem mu

się tym samym.

— Opowiadałeś mi o mnie?

— Nie! — gwałtownie zaprzeczył, żeby mnie uspokoić. — Sylvie, nigdy nie mówiłbym o tobie takich rzeczy, wiesz przecież.

— A w takim razie o kim?

— O nikim szczególnym, o pierwszych z brzegu dziewczynach. Plotłem, co mi ślina na język przyniosła. To było naprawdę głupie i obrzydliwe.

— O Mirandzie!

— No cóż, była idealną kandydatką.

— Powiedziałeś Paulowi, że całowałeś się z nią na jej imprezie?

— Tak, coś mu tam napomknąłem.

259

— A co dokładnie?

— Oj, Sylvie, nie pamiętam już. Ten pocałunek nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Czuję się trochę dziwnie i byłem nawet lekko spłoszony, jeśli już musisz wiedzieć. Otworzyła usta tak szeroko, że myślałem, że mnie zaraz połknie. A na dodatek była umalowana jakąś mazistą szminką i bałem się, że mi ją rozsmaruje po całej twarzy. Smakowała obrzydliwie. Zrobiło mi się żal Mirandy, ale nie potrafiłam powściągnąć zadowolenia.

— I dlatego postanowiłeś poznać ją z Paulem?

— Wiem, że to było beznadziejne i głupie, ale miałem nadzieję, że w ten sposób będziemy mogli przyjaźnić się we czwórkę i spędzać razem czas. Wtedy sądziłem, że to świetny pomysł. Kocham Paula i kocham ciebie, ty lubisz Mirandę, a Miranda lubi wszystkich chłopaków, którzy zwracają na nią uwagę. Myślałem, że to się sprawdzi.

Powtórzyłam sobie te słowa w myśli jeszcze raz, a ściany Szklanej Altany

wirowały.

— Kochasz mnie? — upewniłam się szeptem.

— Tak! Oczywiście, że cię kocham, Sylvie. Przecież wiesz, jak wiele dla mnie znaczysz. Jesteś moją jedyną, najmilszą dziewczyną — i zawsze tak będzie. Wiesz przecież.

X

— Ale nie jesteś we mnie zakochany.

— Nie tak jak w Paulu.

— Nadal?

— Tak. Nie powiedziałem ci jeszcze, jak się zachowałem. Widzisz, próbowałem go pocałować i...

— Słucham?

260

— Wiem. To było naprawdę szalone. Nie chciałem tego. To się zdarzyło pod wpływem impulsu. Ogrody wyglądały tak bajecznie w blasku księżyca. Czuję się, jakbyśmy trafili do innego świata, w którym wszystko jest możliwe.

— Też tak myślałam.

— To było jak nasz własny Sen nocy letniej. Wtedy Miranda zaproponowała, żebyśmy się bawili w chowanego, i rozbiegliście się na wszystkie strony. Niczego nie planowałem, po prostu zacząłem was szukać i prawie od razu znalazłem Paula. Zupełnie jakby na mnie czekał w tych krzakach. Na mój widok roześmiał się i pociągnął mnie w swoją stronę, żebyśmy chowali się razem. Siedzieliśmy w tych chaszczach tuż obok siebie, twarz przy twarzy, ciągle śmiejąc się i wygłupiając, i wtedy bez namysłu go pocałowałem. Nie mogłem uwierzyć, że to się naprawdę dzieje, to było naprawdę niesamowite — ale Paul zaraz mnie odepchnął.

Uderzył mnie i okropnie zbluzgał.

— Och, biedaku! — westchnęłam, lecz nie mogłam się powstrzymać od dodania: — Ale właściwie czego się spodziewałeś?

— Wiem, wiem. Chyba zupełnie mi odbiło. Powtarzałem mu w kółko, że bardzo go przepraszam i że to się więcej nie powtórzy, ale on nie przestawał bluzgać, zachowywał się, jakbym był jakimś chorym gościem, zwyrodniałym zbrodźcą.

— Dobrze wiesz, że tak nie jest.

— On uważa, że jest. Zachowywał się tak, jakby to była zakaźna choroba, którą próbuję go zarazić. Był niewiarygodnie wściekły. Upadłem na ziemię,

261

a on zaczął mnie kopać, chociaż ledwie dwie minuty wcześniej byliśmy najlepszymi kumplami! A potem prawie uciekł, mówiąc, że nie chce mnie widzieć nigdy więcej.

— To trochę głupie, zwłaszcza że chodzicie do jednej klasy.

— Tego się właśnie boję. Nie dość, że sam doprowadziłem do tego, że Paul mnie nienawidzi...

— Moment, to raczej ty masz powody do nienawiści po tym, jak cię potraktował! — przerwałam mu.

— Nie, zrozum: co będzie, jeśli Paul rozpowie w szkole, że go pocałowałem?

— Nie rozpowie — stwierdziłam stanowczo. — Wiem, że Mirandzie nie powiedział. Zeznał jej tylko, że się pobiliście. Miranda sądzi, że o nią.

— Cała Miranda! Nie rozumiem, co ty w niej widzisz, Sylvie.

— No cóż, ja z kolei nie mogę pojąć, co ty widzisz w Paulu. Zwłaszcza

teraz — powiedziałam. — Pewnie nadal chcesz, żebyście byli przyjaciółmi, co?

— Tak, ale teraz on nie będzie już chciał mnie znać. Wiesz, najdziwniejsze jest to, że Paul oddał mi pocałunek i przez sekundę było tak, jakby jemu na mnie naprawdę zależało.

Nie miałam ochoty rozmawiać z Mirandą o Carlu. Na szczęście była zbyt zaabsorbowana własnymi sprawami. Bez przerwy wymieniała SMS-y z Paulem. Ciągle prosił, żeby przesłała mu na komórkę jakieś zdjęcie.

— Jakie znów zdjęcie?

— Och, tak mnie tylko podpuszcza. Chce dostać zdjęcie moich piersi.

— Co takiego?!

— Nie rób takiej miny, to normalna potrzeba chłopaków. Oni wszyscy właśnie o tym marzą.

— No tak, trzeba mieć się czym popisywać przed swoimi obleśnymi kumplami.

— Myślisz, że Paul pokaże to zdjęcie Carlowi, jeśli się zgodzę?

— Nie! Miranda, chyba nie mówisz poważnie?!

— Dlaczego? Też mi wielkie halo. To przecież tylko zabawa! Jeszcze jeden indywidualny akcent

263

w komórce, tak jak odpowiednio dobrana głośność, wybór właściwego dzwonka i właściwego zdjęcia twojej dziewczyny...

— No, jeśli na tym ci właśnie zależy — żeby cię postrzegano jako tę właściwą dziewczynę bez stanika

— to chyba ci odbiło!

— A kto powiedział, że wystąpię bez stanika? Mogłabym rozpiąć kilka

guzików, odsłonić trochę głębiej dekolt... Nie patrz tak na mnie! Jesteś po prostu zazdrosna, bo nie masz się czym pochwalić — a nawet gdybyś miała, Carl pewnie i tak nie byłby zainteresowany.

— Skąd ten pomysł? — zapytałam, a serce zabiło mi mocniej.

— Może i jesteście parą od kołyski, ale na zakochanych jakoś nie wyglądacie. Nigdy nie widziałam nawet, żebyście trzymali się za ręce.

— Nie masz pojęcia, co robimy, kiedy jesteśmy sami

— powiedziałam prowokacyjnie.*

— No właśnie, co takiego robicie? Na jak dużo mu pozwalasz? Czemu mi nigdy o tym nie opowiesz?

— Bo to prywatna sprawa. Nie afiszuję się moim doświadczeniem seksualnym tak jak ty.

— Nic dziwnego, skoro go nie masz! — skwitowała złośliwie Miranda. Przez cały dzień martwiłam się, czy ktoś inny nie zechce się afiszować swoim nowym doświadczeniem seksualnym. Po powrocie ze szkoły nie traciłam czasu na SMS-y do Carla, tylko od razu poszłam do Johnsonów. Otworzył mi Jake. Z autentycznym uśmiechem na twarzy.

264

. s

— O! Cześć, Sylvie!

— Nie podniecaj się tak, Jake, jestem sama, bez Mirandy — powiedziałam i minęłam go czym prędzej.

Zawołałam Carla.

— Jest u siebie, Sylvie — odpowiedziała mi Jules. Wyglądała na zmartwioną. — Wrócił dziś wcześniej ze szkoły. Mówi, że źle się czuje. Mam nadzieję, że nie złapał jakiegoś zaraźliwego choróbka. Proszę,

zanieś mu wodę mineralną, kochanie. — Nalała wody do szklanki i przyjrzała mi się uważnie. — Ty też nie wyglądasz najlepiej, Sylvie. Dobrze się czujesz?

— Średnio — odparłam zgodnie z prawdą.

— Ojej. Lepiej też napij się wody. Mam nadzieję, że nie rozłożycie się oboje. Cóż, przynajmniej dotrzymanylibyście sobie nawzajem towarzystwa. Pamiętasz, jak w dzieciństwie razem przechodziliście ospę? Zapakowałyśmy was do łóżka Carla, jedno z jednej strony, drugie z drugiej, i bawiliście się razem, cali w czerwone cętki. — Jules westchnęła. — Chyba wolałabym, żebyście nadal byli mali. Ty, Sylvie, nie zmieniłaś się wiele, nadal jesteś kochaną dziewczynką, ale moi chłopcy są nie do poznania. Z Jake'a zrobił się wielki, niechlujny i głośny niedźwiedź, który chodząc po domu, tupie tak, że aż drży podłoga, i ciągle słucha tej swojej okropnej muzyki. Carl z kolei popadł w drugą skrajność: siedzi schowany w swojej gawrze, prawie się nie odzywa i wciąż jest taki blady i wymizerowany, jakby był jakimś świętym młodziankiem, męczennikiem, który własnym ciałem karmi wilka. Kiedy próbuję go podpytać, co się dzieje, przewraca tylko oczyma i nie odpowiada.

265

Obie szklanki z wodą postawiła na tacy obok talerzyka z krakersami i kłódką ciemnych winogron.

— Proszę, oto drobna przekąska dla obu moich cho-ródek. Sylvie, kiedy już wyjdiesz za mąż, koniecznie staraj się o dziewczynki. Jestem pewna, że z córkami jest znacznie łatwiej.

— Jakoś nie jestem przekonana, czy ja w ogóle wyjdę za mąż — stwierdziłam. Staralam się powiedzieć to obojętnie, ale głos mi się

załamiał. Byłam niebezpiecznie bliska łez. Spojrzałyśmy w kąt kuchni, na moje ściennie malowidło z dzieciństwa, przedstawiające ślub Carla i mój. — Pewnego dnia będziesz śliczną panną młodą, zobaczysz — powiedziała łagodnie Jules.

Uśmiechnęłam się do niej blado i zabrałam tacę na górę.

— Pozwól, że cię wyręcę. — Znienacka wyrósł przede mną Jake i uniósł tacę nad głowę niczym kelner. Szklanki stuknęły o siebie i wylało się z nich trochę wody.

— Jake, przestań się wygłupiać! Oddawaj! — zawołałam.

— Chciałem ci tylko pomóc. — Jake trzasnął obcasami i zgiął się w ukłonie, rozlewając jeszcze więcej.

— Czy ty zawsze musisz błaznować?! — warknęłam. Wyprostował się i rzucił mi zaskakująco zranione spojrzenie. Myślałam, że dokucza mi specjalnie, bo jest zły, że nie przyprowadziłam ze sobą Mirandy.

— Przepraszam — mruknął i poszedł jak zmyty.

Z westchnieniem wspięłam się po schodach i przeszłam przez korytarz.

266

- «i

— Carl? — odezwałam się cicho pod drzwiami jego pokoju. — To ja, Sylvie. Przyniosłam ci coś do jedzenia.

Nie byłam pewna, czy Carl mnie wpuści, ale zamek szczęknął i drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Weszłam do środka. Carl miał jeszcze na sobie swój szkolny mundurek: białą koszulę, źle skrojone, szare spodnie i fioletowy krawat — strój, który odbierał mu jego własny styl i skutecznie tłumiał jego indywidualność. Rozczochrane włosy Carla

sterczały na wszystkie strony, widocznie wiele razy przeciągał po nich dłońmi. Siedział na krawędzi łóżka ze skrzyżowanymi ramionami, złączywszy kolana, i gapił się w przestrzeń.

Postawiłam tacę na podłodze i usiadłam obok niego. Wyciągnęłam rękę i schwyciłam jego dłoń. Nie odwzajemnił mojego uścisku. Nadal siedział sztywno, bez ruchu.

— Bardzo było źle? — zapytałam szeptem. Kiwnął głową.

— Powiedziałaś Jules, że się niedobrze poczułeś.

— Bo tak było. Zarzygałem całą podłogę w męskim kiblu.

— Naprawdę jesteś chory?

— Paul uważa, że tak. Że jestem chory. Nienormalny. Zboczony.

— Przestań!

— Mówił dużo gorsze rzeczy. Ciagle jest na mnie wściekły. Myśli, że zaprzyjaźniłem się z nim po to, żeby z niego też zrobić geja.

— To przecież śmieszne!

— On mnie naprawdę nienawidzi, Sylvie. To po prostu straszne.

267

— W takim razie musisz odpłacić mu tym samym.

— Niby jak? — spytał bezradnie Carl.

— Zwyczajnie! — Miałam ochotę nim potrząsnąć.

— Carl, ten chłopak jest okropny, tępy, prymitywny i beznadziejnie uprzedzony. Brak mu inteligencji, poczucia humoru, polotu. To nudny, bezduszny kretyn! Znienawidzić go? Nie ma chyba lepszego obiektu!

— Jesteś bardzo kochana, że próbujesz mi pomóc, Sylvie, ale naprawdę nie rozumiesz, w czym rzecz. Nie można tak po prostu przestać kogoś kochać i zacząć go nienawidzić. Nienawidzę przede wszystkim siebie

— za to, że byłem takim idiotą i postawiłem Paula w podobnej sytuacji, kiedy jemu zależało tylko na tym, żebyśmy byli dobrymi kumplami. Paul się boi, że teraz wszyscy zaczną o nas gadać i wyzywać nas obu od pedałów. Powiedział, że nigdy więcej się do mnie nie odezwie, a jeśli kiedykolwiek spróbuję go choćby dotknąć, splucze mi głowę w kiblu. Powiedział, że się mną brzydzi. Wtedy zrobiło mi się niedobrze.

Oczywiście po tym brzydzi się mną jeszcze bardziej

— opowiadał Carl. — Zwymiotowałem przy nim, wyobrażasz sobie?

Chyba nawet opaćkałem mu buty.

— I dobrze mu tak! Następnym razem celuj w głowę. Słuchaj, nawet gdyby Paul był gejem, i tak nie byłby odpowiednim chłopakiem dla ciebie. Nie dorasta ci do pięt! Zachowujesz się, jakby cię opętał!

— I właśnie tak się czuję — jęknął Carl, uderzając się dłonią w czoło. — Wcale tego nie chcę! Gdybyś tylko wiedziała, co to za męka, Sylvie.

— Skąd pewność, że nie wiem? — zapytałam.

268

Zamierzałam wypowiedzieć te słowa w myśli, a nie na głos. Carl spojrzał na mnie uważnie i zmarszczył brwi. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Oczy Carla otworzyły się szeroko. Po chwili odwróciliśmy wzrok, pochyłiliśmy głowy i zaczerwieniliśmy się oboje. Carl odchrząknął, żeby coś powiedzieć.

— Proszę, napij się wody — powiedziałam pośpiesznie.

Sama sięgnęłam po drugą szklanekę i opróżniłam ją tak szybko, że złapała mnie czkawka.

— O Boże, znowu?! — wyjąkałam.

Przez chwilę celebrowałam płoszenie czkawki: wstrzymywałam oddech,

połykałam powietrze, udając, że piję ze złej strony szklanki, chwytając się różnych sprawdzonych sposobów, żeby tylko odwrócić naszą uwagę od boleśnie niezręcznej sytuacji. Carl zauważył, że nie chcę o tym rozmawiać, i udał, że mnie nie zrozumiał. Ale kiedy wstałam, zbierając się do wyjścia, powiedział szeptem:

— Tak mi przykro, Sylvie. Gdybym tylko...

Nie było sensu, żeby kończył to zdanie.

Wróciłam do domu i wdałam się w uprzejmą pogawędkę z panną Miles, którą zastałam w kuchni. Kiedy mama wróciła z pracy, okazało się, że ona jest w nastroju na poważną rozmowę. Najwyraźniej dręczyło ją poczucie winy, że w weekend znowu była na randce z Gerrym, i postanowiła to wynagrodzić, poświęcając mi lwią część swojego wolnego popołudnia. Zaczęła mnie wypytywać o moje najrozmaitsze sprawy: o Carla, Mirandę, Lucy, szkołę, lektury, a nawet o postępy w pisaniu Kronik Szklanii.

269

Nie miałam ochoty na żadne rozmowy i z chwili na chwilę odpowiadałam jej coraz bardziej zdawkowo. Mama źle odczytała moje zachowanie i doszła do wniosku, że się na nią boczę, bo ostatnio okazywała mi za mało zainteresowania.

— Och, Sylvie, kochanie, przecież wiesz, że zawsze będziesz dla mnie najważniejsza, bez względu na wszystko — powiedziała, usiłując mnie przytulić.

— Daj spokój, mamo. — Wywinęłam się z jej objęć.

— Ale to prawda! — zapewniła. — I Gerry nie ma tu nic do rzeczy.

— Oho, to znaczy, że uplasował się już na drugim miejscu, tuż za mną?

— Muszę przyznać, że tak. Jest naprawdę wyjątkowy. Chciałabym ci go przedstawić w przyszłym tygodniu. Proszę, Sylvie, zgódź się! Mogłabyś wybrać się z nami na basen albo Gerry przyjdzie tutaj, jak wolisz. Jestem pewna, że się polubicie. Gerry jest taki zabawny, a przy tym niezwykle szarmancki. Zupełnie inny niż twój tata, który zawsze był apodyktyczny, agresywny i nie potrafił słuchać. Och, przepraszam, nie powinnam mówić przy tobie takich rzeczy, to przecież twój ojciec i bez względu na to, co się wydarzyło między nami dwojgiem, wciąż jesteś jego córką, którą bardzo kocha.

— Mamo, przestań. Nie jestem już małą dziewczynką. Nie musisz mi wciskać tego kitu. Tata w ogóle się mną nie interesuje. Nie widział mnie od lat. Pewnie nie rozpoznałby mnie na ulicy. Ja zresztą też prze-szłabym obok niego obojętnie. On mnie już nic nie obchodzi.

270

- Dobrze już, dobrze — powiedziała mama takim tonem, jakby próbowała pocieszyć rozżalonego przedszkolaka.

— Mój ojciec nie jest mi już do niczego potrzebny. Nowego też nie potrzebuję. Nie potrzebuję nikogo! Daję sobie świetnie radę sama! — wykrzyczałam.

I wybuchnęłam płaczem. Nie pozwoliłam mamie mnie utulić. Tupiąc, pobiegłam na górę. Miałam pełną świadomość, że zachowuję się śmiesznie, ale nic nie mogłam na to poradzić. „Gdybym tylko... Gdybym tylko... Gdybym tylko...” dźwięczało mi w uszach. Ciągłe widziałam pełne litości spojrzenie Carla. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. Płakałam tak długo, aż rozbolała mnie głowa. Zresztą bolało mnie już wszystko: piersi, brzuch, plecy. Zaczęłam się zastanawiać, czy

przypadkiem naprawdę nie jestem chora. Z miłości. To brzmiało dość efektownie i melodramatycznie. Przejrzałam się w lustrze. Naprawdę wyglądałam na chorą, byłam bardzo blada i miałam ciemne cienie pod oczyma. Pomyślałam z nadzieją, że dzięki temu sprawiam wrażenie trochę starszej.

Brzuch bolał mnie coraz bardziej, chyba zbierało mi się na wymioty tak samo jak Carlowi. Poszłam do łazienki i odkryłam, że dostałam okres. Wbiłam wzrok w plamy na moich majtkach. Tak długo czekałam na tę chwilę. Byłam ostatnią dziewczyną w klasie, która jeszcze nie miesiączkowała. Już myślałam, że jestem jakimś wybrykiem natury, że na zawsze pozostanę niedojrzała. I oto miałam niezbity dowód, że staję się kobietą. Dotknęłam obolałych piersi, ciekawa, czy one

271

także uległy nagłej metamorfozie — niestety, mój biust był tak samo płaski jak zawsze.

Podmyłam się, wzięłam paczkę tamponów należącą do mamy i przez dziesięć minut głowiłam się nad opisem, jak ich użyć. Postawiłam stopę na krawędzi wanny. Trzęsąc się, schwyciłam tampon tak ostrożnie, jakbym trzymała granat ręczny. Próbowалаm go umieścić we właściwym miejscu, ale nie do końca wiedziałam, jak. Bałam się naciskać zbyt mocno, na wypadek, gdybym wpychała tampon nie tam, gdzie trzeba. Nie widziałam, co robię — i tak naprawdę wcale nie chciałam tego widzieć. Może jestem niewłaściwie uformowana? Może jednak jestem dziwolągiem, jak lalka pozbawionym odpowiednich narządów?

Poddałam się i włożyłam sobie do majtek ohydną podpaszkę, z opakowania, które mama zostawiła przewidująco na najwyższej półce

mojej szafy z ubraniami. Czekają tam na mnie nietknięte przez dobre dwa lata. Poczulałam się tak, jakbym miała pieluchę. Jutro wf — jak ja z tym będę ćwiczyć, na litość boską?!

Żałowałam, że jestem dziewczyną. Gdybym była chłopcem, nie musiałabym sobie co miesiąc radzić z takim bolesnym, nieestetycznym i żenującym problemem. Gdybym była chłopcem, Carl mógłby mnie pokochać tak, jak ja jego.

Próbowałam wyobrazić sobie siebie jako chłopaka. Jestem taka niska i chuda, że pewnie byłoby mi jeszcze trudniej. Ciekawe, jak wyglądałabym z krótkimi włosami. Najprawdopodobniej jak jakiś dziwaczny karzełek. I nie mogłabym ukryć moich odstających uszu. Nie byłabym takim przystojniakiem jak Carl. Nie byłabym

272

też tak błyskotliwa, utalentowana ani zabawna jak on. Inni chłopacy by mnie nie cierpieli. Carl pewnie też. Chociaż nie, gorzej, Carl by mi współczuł i z uprzejmości od czasu do czasu by ze mną pogadał.

Jako gej nie miałabym żadnych szans. Nikt w życiu by się mną nie zainteresował. Uderzać do dziewczyn już w ogóle nie byłoby po co. Taka Miranda przerobiłaby mnie na mielone. Oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak wpycha mnie do maszynki do mięsa, kręci korbką i wyciąga z drugiej strony sznur nędznych, chudych kiełbasek. Gdybym była chłopcem, Miranda by mną gardziła. Szczęście, że lubi mnie jako dziewczynę, przynajmniej dopóty, dopóki tańczę tak, jak mi zagra.

Ja też ją lubię. Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym się w niej zakochać. Jest przecież piękna — na swój przerysowany, mroczny sposób. Podobają mi się jej lśniące, rude włosy, jej równe, białe zęby, jej filuterne

dołeczki w policzkach. Podobają mi się jej ubrania, zwłaszcza ekstrawagancka bielizna i groteskowe buty z wielkimi sprzączkami. Próbowałam sobie wyobrazić, że ją obejmuję i zaczynam całować. Nie, to by chyba nie zadziało. Jej usta byłyby zbyt pełne, jej ciało zbyt miękkie, a włosy — za długie. Marzę o tym, żeby wyglądać tak jak ona, ba, żeby nią być, ale nie chciałabym jej pokochać.

Co za bzdury. Tak jakby można było wpłynąć na własne uczucia.

Kocham Carla. Carl kocha Paula. Paul chyba zakochał się w Mirandzie.

Szczerze wątpię, czy Miranda darzy silnym uczuciem kogokolwiek z nas, za to chciałaby, żebyśmy wszyscy kochali ją.

273

Zasnęłam na długo przedtem, zanim mama przyszła na górę. Kiedy zakradła się do mojego pokoju, przebudziłam się, ale nie otworzyłam oczu. Czułam, że stoi przy moim łóżku i patrzy, jak śpię. Westchnęła cicho, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w czubek głowy. Miałam ochotę wyciągnąć rękę, wtulić się w jej szyję i porządnie wypłakać, tak jak to robiłam, kiedy byłam mała. Wtedy mama zawsze potrafiła ukoić moje troski. Teraz nie mogłaby zrobić nic, żeby zmienić Carla. Nie chciałam jej nawet mówić, że zaczęłam miesiączkować, żeby nie zrobiła z tego zawstydzającej afery.

I tak się dowiedziała.

— Sylvie, dostałaś okres! — wykrzyknęła w kuchni przy śniadaniu.

Nawet nie ściszyła głosu! Panna Miles mogła bez problemu usłyszeć tę nowinę w swoim pokoju na górze.

— Nie czerwień się tak, kochanie, nie ma się czego wstydzić.

Powinnyśmy świętować, stajesz się kobietą!

Skuliłam się z zażenowania.

— Wcale nie chcę być kobietą — powiedziałam. — Nie chcę o tym rozmawiać, mamó. A tak w ogóle to skąd wiesz?

— Szczątki podpaski zatkały sedes. Wiem, że ja jej tam nie wrzuciłam, a poczciwa panna Miles ten etap w życiu kobiety ma już dawno za sobą.

— Zazdroszczę jej — stwierdziłam.

Czułam się zmęczona byciem nastolatką. Moje życie jest takie ponure, tak pełne zmartwień i tak straszliwie skomplikowane. Wolałabym szybko przeskoczyć pięć-

274

dziesiąt lat do przodu i być już całkiem stara. Wtedy nie miałoby już znaczenia, że jestem mała i patykowata. Jeśli nadal wyglądałabym zbyt młodo jak na swój wiek, byłby to wielki plus. Nie byłoby ważne, że nie mam chłopaka. Gdyby ktoś spytał mnie o moje dawne miłości, zawsze mogłabym tajemniczo pokiwać głową i powiedzieć: „Owszem, przeżyłam kilka pięknych chwil”, tak jak panna Miles. Nie musiałabym zawierać znajomości tylko po to, żeby udowodnić, że jestem lubiana. Nie musiałabym się dopasowywać do rówieśników w szkole. Nie musiałabym już nawet pracować. Mogłabym najzwyczajniej dogadzać sobie i robić to, na co mam ochotę. Czytać całymi godzinami. Pisać, rysować, malować. Spędzać całe dni w Szklanii, zachowawszy wieczną młodość jako królowa Sylviana, a król Carlo kochałby wiernie mnie i tylko mnie, i żylibyśmy długo i szczęśliwie.

Poszłam do szkoły, zaopatrzona w plastikową torbę, do której włożyłam zapas tych ohydnych podpasek. Zarys tej, której akurat używałam, wyraźnie odbijał się na moich majtkach. Przyszło mi do głowy, że

mogłabym zapytać Lucy, jak ona sobie z tym radzi. Rzadko rozmawiamy o sprawach intymnych, ale wiem, że Lucy zaczęła miesiączkować w zeszłym roku. Okres nazywa „ciotką”.

Na podwójnej lekcji matematyki pochyliłam się ku niej tak blisko, jak to było możliwe, żeby dyskretnie zasięgnąć jej rady.

— Hej, Sylvie, czemu ode mnie ściągasz?! — oburzyła się Lucy i zasłoniła swoją kartkę z odpowiedziami.

275

Poczułam się dotknięta nie tylko jej niesłusznym oskarżeniem, ale także tym, że zamierzała zazdrośnie strzec swoich rozwiązań. Byłam też zirytowana. Jestem słaba z matmy, ale Lucy jest jeszcze gorsza. Tylko ostatnia idiotka mogłaby chcieć od niej ściągać.

— Chciałam cię tylko o coś spytać! — syknęłam. — Słuchaj, Lucy, jak sobie radzisz na wf-ie, kiedy jesteś niedysponowana?

— Jak to: niedysponowana? — zdziwiła się Lucy. Westchnęłam.

— Przecież w i e s z, o co mi chodzi.

Zero reakcji. Musiałam użyć jej infantylnego określenia.

— Kiedy masz ciotkę.

— Aha! — Lucy lekko się zaczerwieniła. — Wkładam wtedy dwie pary majtek.

— Ach tak.

Myślałam o tym. Wydawało mi się, że to dość rozsądne wyjście z sytuacji, chociaż w dwóch parach majtek byłoby mi pewnie gorąco i niewygodnie. Miałam tylko jedną parę — tę na sobie. Przecież nie mogłam prosić Lucy, żeby mi pożyczyła swoje zapasowe.

— I podpaska nie rzuca się tak w oczy? — zapytałam szeptem, czerwona

jak piwonia.

— Trochę mniej. Poza tym dwie pary są jak znalazł, kiedy zaczniesz krwawić obficie.

— O Boże!

Jak dotąd krwawiłam tylko trochę. Co będzie, jeśli krew zacznie ze mnie tryskać strumieniami i zaleje wszystko jak jasnoczerwona Niagara?

— To ci się zdarza, Lucy?

276

— Tak, to naprawdę okropne. Mama musiała mnie nawet zaprowadzić do lekarza. Raz zakrwawiłam sobie całe łóżko!

Zrobiło mi się słabo. Sala lekcyjna zawirowała mi przed oczyma. Może zaraz zemdleję i przynajmniej będę miała dobrą wymówkę, żeby nie ćwiczyć na wf-ie.

Na przerwie pobiegłam w te pędy do łazienki, nie oglądając się na Lucy ani na Mirandę, ani na nikogo innego. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak dostaję krwotoku, i z rozpaczą przycisnęłam do siebie torbę z podpaskami.

— Sylvie? Sylvie! Hej, poczekaj! To był Jake.

— Naprawdę muszę lecieć, Jake — powiedziałam, próbując go wyminąć.

— Ale ja muszę ci coś powiedzieć! — upierał się Jake.

Zatrzymałam się, sądząc, że ma dla mnie wiadomość od Carla. Może Carl postanowił zrobić sobie wolne pod pozorem, że nadal źle się czuje? Jeśli tak, mogłabym zaryzykować kolejne wagary, żeby tylko przy nim być.

Potrzebował mnie. Rozmawiał tylko ze mną.

— Co takiego? — zapytałam.

— Trafił nazagaż! — powiedział Jake.

— Co?

Sens tego słowa w ogóle do mnie nie dotarł, słyszałam tylko jakiś bełkot.
— Trafił nas angaż! — powtórzył Jake i dumnie się wyszczerzył. —
Zadzwonili do nas wczoraj wieczorem, jak już poszłaś. Mamy zagrać na
imprezie urodzinowej,

277

zapłacą nam za występ — całe pięćdziesiąt funtów! Super, co?

— Wy, czyli ty i twój zespół? — zapytałam. — Aha. Fajnie. Moje
gratulacje.

Starłam się przejść obok niego.

— Przyjdiesz, Sylvie? — spytał Jake.

— A dokąd? — zapytała Miranda, która niespodziewanie pojawiła się tuż
za mną.

— Na tę imprezę. Będzie na niej grała moja kapela

— wyjaśnił z dumą Jake. — Też możesz wpaść, jeśli chcesz.

— Chyba nie znajdę czasu, Jake — powiedziałam i pomknęłam do
łazienki. Teraz mógł sobie spokojnie ba-jerować Mirandę — przecież
właśnie o to mu chodziło.

— Ale nie powiedziałem ci jeszcze nawet kiedy!

— zawołał za mną Jake.

Udałam, że nie słyszę. Na szczęście nie mógł za mną pobiec do
dziewczyńskich toalet. Wpadłam jak bomba do kabiny, przygotowana na
najgorsze. Nie było aż tak źle, jak się spodziewałam, ale miałam przed
sobą jeszcze wf.

— Sylvie? — zawołała Miranda spod moich drzwi. — Dlaczego nie
chcesz iść na imprezę Jake'a?

— To nie jest jego impreza, to przyjęcie urodzinowe. Bohaterem wieczoru

będzie pewnie jakiś smarkacz, który zamarzył sobie, żeby potaćzyć pogo z kumplami. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby Jake'owi oprawy muzycznej żadnej poważnej imprezy. Jego kapela jest wyjątkowo marna.

— W porządku, punkt dla ciebie. Zresztą i tak będę wtedy pewnie na jakiejś rozbieranej randce z Paulem

— powiedziała Miranda.

278

Wymruczałam pod nosem bardzo niecenzuralny komentarz.

— Co proszę? Hej, licz się ze słowami, mówisz o moim chłopaku! — zawołała Miranda, ale w jej głosie nie było słycać szczególnego oburzenia. — Co on ci takiego zrobił?

— Mnie nic.

— Chodzi o Carla, tak? Dowiedziałaś się, o co im poszło?

— Nie — zaprzeczyłam szybko.

— Jesteś p e w n a, że nic o tym nie wiesz? — dociekała Miranda. — Hej, Sylvie, co ty tam właściwie tak długo robisz? Dostałaś ostrej biegunki czy co?

— Zamknij dziób! Mam okres — syknęłam.

— Aha. No tak. Masz ze sobą tampony?

— Nie.

— Nic nie szkodzi, mam jeden w torbie. Sekundę. — Podała mi tampon pod drzwiami.

— Nie mogę ich używać — wyznałam szeptem.

— Co? Powtórz, nie dosłyszałam.

— Miranda! Nie zamierzam tego ogłaszać całemu światu! Nie używam

tamponów, nie mogę ich sobie założyć, kapujesz? Są za duże albo ja jestem tam za mała, wszystko jedno. Mam to puścić przez radiowęzeł?
— Czemu nie? — Miranda zaczęła chichotać. — Spróbuj użyć mojego tamponu. Bez obaw, to specjalna wersja mini.

Poinstruowała mnie dokładnie, jak należy go sobie założyć. Modliłam się, żeby nikt nie wszedł do łazienki. W końcu się udało.

279

— Hurra! Dałam radę! — obwieściłam triumfalnie. — Boże, ile z tym zachodu!

Wyszłam z kabiny i umyłam ręce.

— Pchełka, zachowujesz się, jakbyś nigdy wcześniej nie miała okresu! — próbowała mnie sprowokować Miranda.

— Bo to mój pierwszy raz, jeśli już musisz wiedzieć.

— Coś takiego! Ja miesiączkuję od dziesiątego roku życia.

— Typowe. Jesteś przedwcześnie rozwinięta, panno Stara Malutka.

— Święte słowa, słonko. Dlatego kiedy tylko będziesz potrzebować praktycznej porady, wal śmiało do cioci Mirandy. Jaką ja mam teraz lekcję? Za nic nie mogę zapamiętać tego beznadziejnego planu!

— Ja mam wf — oznajmiłam ponuro.

— Moje biedactwo. Nie znoszę latania po boisku w tych żalonych, workowatych szkolnych majtach. Już sam ich widok mnie przygnębia.

— Lucy nosi dwie pary majtek podczas okresu — powiedziałam.

— No tak, to do niej podobne. Na pierwszą randkę też pewnie włoży dwie pary — stwierdziła Miranda.

Zachichotałyśmy złośliwie. Wiedziałam, że to wstrętne z mojej strony, ale po tej uwadze od razu poprawił mi się humor.

Nadal okropnie martwiłam się o Carla, ale przekonywałam samą siebie, że na pewno jakoś sobie poradzi. Ostatecznie chłopcy ciągle się ze sobą biją i nikt nie pyta, o co.

Zaraz po powrocie ze szkoły poszłam do Carla, ale nie zastałam go w domu.

— Czy to nie dziś wieczorem ma kółko teatralne? { — zapytała Jules. —

Nie wiesz, kiedy będzie premiera

ich Snu nocy letniej?

— O Boże, Sen nocy letniej z całkowicie męską obsadą! — jęknął Jake. —

Kogo gra Carl? Tylko mi nie mówcie, że Tytanie! — Zaczął się miotać po

kuchni, trzepiąc wyimaginowanymi długimi włosami i powiewając

nieistniejącą suknią. — Idź precz, Oberonie! Gdzież moje elfy? —

zadeklamował.

— Wydaje ci się, że jesteś zabawny, co? — powiedziałam i wybiegłam z

ich kuchni.

Wróciłam do domu, zrobiłam sobie kanapkę i napisałam do Carla.

WSZYSTKO OK? JAK PAUL? 3MAJ SIE DZIELNIE, DO ZO, S. :-*

281

Nie odpowiedział. Dostałam za to SMS-a od Mirandy.

RAJ PRZESŁAŁ MI TO PRZED CHWILA!!!:

JAKIŚ PIERWSZAK ROZSYŁA SWOIM SMARKATYM KOLESIOM

TWOJE ROZEBRANE ZDJĘCIA — Z KOMENTARZAMI. MAM

ZMONTOWAĆ ODDZIAŁ SPECJ. I GO WYELIMINOWAĆ? POZDR.

R. PS TEN SAM KOLEŚ ZACZAL WŁAŚNIE NAGONKĘ NA

ZNANEGO CI CARLA — ZE NIBY JEST GEJEM.

Zadzwoiłam do niej natychmiast.

— O Boże, Mirando, co on ci dokładnie powiedział?!

— Nic szczególnego, niestety. Paul ponoć dołączył jakieś uwagi o mnie, mojej figurze i o tym, co chciałby ze mną zrobić. Chyba w snach! Po tym numerze nie pozwolę mu do siebie nawet podejść! Proszę, proszę, zostałam kociakiem z komórki. Dziwne uczucie.

— Nie, nie...

— Wiem, Sylvie, wiem, że mnie ostrzegałaś, ale nie potrafiłam sobie odmówić, to było swego rodzaju wyzwanie. Zrobiłam to dla zabawy.

— Nie chodzi mi o ciebie i twoje głupie zdjęcie! Co Raj powiedział o Carlu?

— Ono wcale nie jest głupie! Szczerze mówiąc, jest zaskakująco dobre. I bynajmniej nie jest rozbierane. Mam na nim obcisłą jedwabną marynarkę, z której wychylają się moje cycuszki. Głowę dam, że „Sun” nieźle zapłaciłby za tę fotkę. Może to początek mojej prawdziwej kariery?

— Miranda, proszę, opowiedz mi o Carlu!

— A co tu opowiadać? Raj mówi, że wszyscy się nad nim znęcają i wyzywają go od gejów. Muszę przyznać, że sama się zastanawiałam, czy to aby nie jest prawda,

282

ale ty bez przerwy podkreślasz, że Carl jest twoim chłopakiem, wariatko.

— Przecież nawet chciałaś mi go odbić!

— No jasne, bo jest zabójczo przystojny, ma poczucie humoru i wyobraźnię — co, jak się nad tym poważnie zastanowić, nie zostawia miejsca na wątpliwości. Ale przecież wszystkie właśnie o takim facecie marzymy, prawda? Każda chce być tą jedyną, pod której wpływem zmieni zdanie. To jak, czy Carl jest zadeklarowanym gejem, czy po prostu jeszcze

się nie zdecydował, Sylvie? I jeszcze jedno: nie masz czasem podejrzeń, co wstąpiło w Paula i skąd mu się biorą te jego obrzydliwe pomysły? Potrafię jeszcze zrozumieć, dlaczego przesłał zdjęcie moich cycków wszystkim swoim napalonym koleśiom

— rzeczywiście, jest na co popatrzeć, ale nigdy bym nie podejrzewała, że Paul może być takim ohydny faszystowskim homofobem! Przecież się przyjaźnili!

— urwała.

Niemal słyszałam, jak pracują trybiki w jej mózgu.

— O nie! Czyżby wystartował do Paula? Nie odpowiedziałam. Nie musiałam.

— A więc o to im poszło! Boże, Paul jest naprawdę żalonym palantem. No cóż, trzeba go będzie skreślić z mojej listy. Szczerze mówiąc, w porównaniu z Carlem i tak zawsze wypadł wyjątkowo blado.

— Jak Carl znosi tę nagonkę? Raj powiedział coś o tym, czy Carl wygląda na bardzo załamane? Jak oni się nad nim znęcają?

— Nie mam pojęcia. Sama wiesz, jacy głupi potrafią być faceci. O rany, teraz już wszystko mi się zgadza. Biedny Carl. Mam do niego wpaść?

283

— Nie! Zresztą i tak teraz nie ma go w domu, jest na spotkaniu kółka teatralnego.

— Paul też tam chodzi, prawda? No to mają swój prywatny mały dramat. Wpadnij później do Carla, ucałuj go i wyściskaj mocno ode mnie, i powiedz, że Paul jest żalonym gnojkiem i zrywam z nim definitywnie, dobrze?

Kiedy tylko Miranda się rozłączyła, wysłałam do Carla jeszcze jednego

SMS-a, ale na tego też nie odpowiedział. Zadzwoiłam do niego, lecz od razu włączyła się jego automatyczna sekretarka. Nie wiedziałam, jaką zostawić wiadomość. Nie chciałam mu mówić, że ludzie o nim gadają, poczuliby się tylko jeszcze gorzej. W końcu powiedziałam po prostu: „Cześć, Carl, to ja. Myślę o tobie. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł. Buziaki”.

Mama spóźniła się z powrotem do domu. Sięgnęłam po następną kanapkę. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie przygotować czegoś na kolację. W lodówce nie było nic zachęcającego — znalazłam tylko kawałek żółtego sera, stary i twardy jak kamień. Przeszukałam szafkę kuchenną pod kątem występowania jakiegokolwiek makaronu, ale nic nie znalazłam.

Usłyszałam zgrzyt klucza mamy w zamku. Weszła do przedpokoju i coś do kogoś mówiła. Panna Miles siedziała u siebie na górze i oglądała show Richarda & Judy — słyszałam ciche brzęczenie jej telewizora.

— To ty, Carl? — zawołałam, podejrzewając, że po próbie przyszedł prosto do mnie.

Ale to nie był Carl. Był to jakiś nieznajomy facet, wysoki, szpakowaty, kuśtykał właśnie w moją stronę. O Boże, o Boże, o Boże.

284

- Sylvie, to jest Geny — powiedziała rozpromieniona mama.

Rzuciłam jej wściekłe spojrzenie i niechętnie wyciągnęłam do Gerry'ego rękę. Uścisnął ją entuzjastycznie i uśmiechnął się do mnie. Miał spoconą dłoń, chyba się denerwował.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Gerry dziś do nas przyjdzie? — zapytałam.

— Sama nie wiem! Zrobił mi niespodziankę, postanowił podwieźć mnie do domu po pracy — wyjaśniła mi cicho. — Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyśmy zjedli razem kolację.

— Nasza lodówka świeci pustkami — stwierdziłam. — Mam nadzieję, że lubi pan chleb z żółtym serem.

— Ależ nie, wstąpiliśmy do Marksa i Spencera na zakupy — powiedziała mama i wtaszczyła do kuchni torby z zakupami. — Popatrz tylko!

Gerry najwyraźniej ma gruby portfel. W torbach był wędzony łosoś, kurczak, sałatki, bułki, brzoskwinie, wiśnie, biała czekolada, sok owocowy i wino.

— Będzie ucza! — Uśmiechnięta mama zabrała się do rozpakowywania zakupów.

— Wygląda rewelacyjnie — powiedziałam. — Życzę wam udanej kolacji.

— To przecież dla nas trojga — sprostowała mama. Gerry dzielnie jej asystował przy rozpakowywaniu jedzenia, żeby pokazać, jakim jest dobrze wyszkolonym nowym mężczyzną.

— Niestety, zapowiedziałam się już na kolacji u sąsiadów — powiedziałam.

285

— Sylvie — zaczęła mama. Wzięła głęboki oddech. — Zjedz z nami. Ostatnio chyba wystarczająco często stołowałaś się u Jules. Zajmij się nakrywaniem do stołu, proszę.

— No dobrze, wstąpię tylko obok i powiem...

— Na litość boską! — zawołała mama. Przez chwilę w milczeniu pocierała ręką czoło. — Proszę, nakryj do stołu.

— Ja to zrobię — wtrącił się Gerry.

— Nie, to zadanie dla Sylvie. Ona wie, gdzie trzymamy talerze, sztucce i półmiski — powiedziała mama.

— W porządku, nakryję do stołu. Za moment. Muszę sprawdzić, czy Carl już wrócił.

— Kiedy ty wreszcie przestaniesz za nim latać?! — zniecierpliwiła się mama. — Co ci z tego przyjdzie? Sylvie, przestań wreszcie zachowywać się jak pięciolatka!

Nakryłam do stołu, z impetem trzaskając talerzami i dzwoniąc sztuccami. To było skrajnie niesprawiedliwe. Ona niczego nie rozumie — chociaż w tym, co powiedziała, było akurat wystarczająco dużo racji, żeby zaczęły mnie piec oczy. Nic mi z tego nie przyjdzie. Ale bez względu na wszystko byłam nadal przyjaciółką Carla. Wyglądało na to, że miał wyjątkowo podły dzień. Byłam mu potrzebna.

Jednak mama nie zamierzała mnie nigdzie puścić. Kazała mi usiąść z nimi do stołu i jeść wędzonego łososia, kurczaka, sałatki, bułki, owoce i czekoladę. To znaczy, ona i Gerry jedli, a ja tylko dłubałam w jedzeniu. Przełknęłam kęs kurczaka, pomidorka koktajlowego i kawałek bułki.

Mama bombardowała mnie spoj-

•s

286

rzeniami pełnymi wyrzutu, a jej oczy błyszczały tak, jakby zaraz miała się rozplakać. A ja nie robiłam tego umyślnie. Byłam tak podenerwowana i przejęta, że nie mogłam jeść.

— Spróbuj wiśni, Sylvie — zachęcała mnie mama, podsuwając mi talerz.

— Nie, dziękuję.

— To może brzoskwinę?

— Naprawdę dziękuję.

Mama popatrzyła na mnie tak, jakby miała ochotę wepchnąć mi do gardła pół kilo wiśni i wszystkie cztery brzoskwinie. Geny starał się mnie wciągnąć w uprzejmą pogawędkę — wypytywał o szkołę, moje ulubione przedmioty, o moich przyjaciół i hobby. Odpowiadałam mu monosylabami. Zmienił więc strategię i zaczął mi opowiadać o swojej pracy, o zakupach i chodzeniu na basen. Wierciłam się na krześle, z rzadka mu potakując. W końcu się zmęczył i dał spokój.

Zaległa długa cisza. Zaczęłam przemyśliwać, czy odważyć się zapytać, czy teraz mogę już iść do sąsiadów.

— Gerry, miałbyś ochotę na filiżankę kawy? — zapytała mama.

— Ja zaparzę — zaoferowałam się. — Idźcie sobie usiąść w salonie, przyniosę.

Mama się zawahała. To był mój pierwszy gest, jaki zrobiłam, prezentując się w roli dobrej córki.

— No dobrze — zgodziła się.

Kieliszki i resztę wina zabrali ze sobą do salonu. Usłyszałam, jak mama tłumaczy coś Gerry'emu ściszonego głosem, na co on odpowiada:

287

— Nie, wcale nie, jest naprawdę urocza. Myślę, że trochę się mnie wstydzi, to wszystko.

Nie prosiłam go o taką protekcyjną obronę! Dlaczego mama w ogóle uznała, że musi mu mnie pokazać, żeby zdobyła jego akceptację? On i ja nie mamy przecież ze sobą zupełnie nic wspólnego. Nie przeszkadza mi, że mama ma faceta. Mogłaby się umawiać z całą drużyną piłkarską, gdyby

miała taką ochotę — nie przeszkadzałoby mi to pod warunkiem, że nie musiałabym oglądać jej chłopaków na oczy.

Wyciągnęłam ekspres i wsypałam do niego ziarenka kawy. Wiedziałam, że mama byłaby niezadowolona, gdybym zaserwowała Jego Lordowskiej Mości kubek zwykłej rozpuszczalnej. Stos naczyń włożyłam do zlewu i puściłam na niego strumień wody, po czym ostrożnie przekręciłam klucz w drzwiach od ogrodu i otworzyłam je pomalutku. Nie mogłam ryzykować ucieczki frontowymi drzwiami — mama mogłaby mnie usłyszeć bez względu na to, jak bardzo była zaabsorbowana Gerrym. Miałam jednak nadzieję, że się nie dowie, że wymknęłam się kuchennym wyjściem, zwłaszcza że z kuchni dobiegało tyle sugestywnych hałasów.

Przekradłam się w głąb tonącego w ciemności ogrodu, w ostatniej chwili wyminęłam starą jabłonkę, wpadłam na kilka doniczek i dotarłam do dziury w płocie. Przeszłam przez nią do ogrodu Johnsonów, przy okazji hacząc sobie szkolny sweter o jakąś drzazgę.

Spojrzałam w górę, na okna pokoju Carla. Były ciemne, ale to jeszcze nie musiało nic znaczyć. Mógł przecież leżeć tam po ciemku.

288

Wtedy zauważyłam nikłe światło w oknie Szklanej Altany. Przebiegłam przez ogród i alfabetem Morse'a wystukałam na drzwiach nasze sekretne hasło. Czekałam.

— Carl? — odezwałam się szeptem. — Carl, mogę wejść?

Nie odpowiedział. Stałam pod drzwiami, nasłuchując jakiegoś szelestu, westchnienia, szlochu. W oddali słyszałam ujadanie psa i przytłumione łkanie gitary — Jake brzdąkał w swoim pokoju.

— Carl, wchodzę — oświadczyłam i nacisnęłam klamkę.

Otworzyłam drzwi i weszłam do altany. Coś zatrzeszczało mi pod nogą. Rozejrzałam się dookoła, mrużąc oczy od światła, i aż zaparło mi dech. Na pięciu półkach z kolekcją Carla wały się odłamki szkła, tworząc groteskowy kalejdoskop kolorów. Kryształowe figurki zwierząt zostały okaleczone — słoń nie miał trąby, żyrafę pozbawiono głowy, pelikan stracił dziób, królik uszy, a krokodyl był bez ogona.

Kieliszki leżały jak dobrze podcięte, bo utracono im nóżki. Dwa wazony potoczyły się na podłogę, została z nich mozaika czerwonego i niebieskiego szkła. Popielniczki były wyszczerbione, przycisk do papieru rozbił się w drobny mak, a wtopione w niego szkło millefiori rozsypało się jak confetti. A Szklany Chłopiec, och, Szklany Chłopiec, tak hołubiony przez Carla Szklany Chłopiec roztrzaskał się na kawałki! Jego piękna twarz przestała istnieć, ramiona miał pogruchothane, z nóg pozostały kikuty. Tylko jedna bosa kryształowa stopa wciąż jeszcze stała samotnie na palcach na szklanym postumencie.

289

Wyciągnęłam ku niemu drżący palec. Dotknęłam poszarpanej krawędzi szkła. Nie uświadamiałam sobie, że się skaleczyłam, dopóki z opuszki palca nie zaczęła mi się lać czerwona krew. Ból sprawił, że zrozumiałam, że to prawda, a nie jakiś okropny koszmar. Ktoś zniszczył szklaną kolekcję Carla, bibeloty, które zbierał przez lata, szklane cacka, które odkurzał z taką ostrożnością. Znał każdy szklany zawijas, każdy bąbelek powietrza, każdą drobną skazę. Każdy z tych przedmiotów oglądał pod światło i zachwycał się jego pięknem. Wyszukiwał je niezmordowanie w prowadzonych przez organizacje dobroczynne sklepikach z różnościami i na pchlich targach. Każdego pensa, którego dostał na urodziny i Boże

Narodzenie, wydawał na swoją kolekcję kryształów. Była dla niego całym światem. A teraz ktoś ją zniszczył.

Kto mógłby zrobić coś tak bezlitosnego?

Kto mógłby nienawidzić Carla aż tak bardzo?

Byłam pewna, że wiem.

Rzuciłam się biegiem w stronę domu Johnsonów, krzycząc na całe gardło.

Mick wypadł do ogrodu tylnym wyjściem.

— Boże święty! Sylvie?! Co się stało?!

Próbował mnie schwycić za ramiona, ale mu uciekłam i wbiegłam do środka. W kuchni byli Jules i oparty o lodówkę Jake, który pił mleko prosto z kartonika. Znieruchomiał z kartonem mleka uniesionym do ust i zrobił na mnie wielkie oczy.

— Sylvie! — wykrzyknęła Jules na widok mojej zakrwawionej ręki. — Chodź tutaj, do zlewu, musimy to opatrzyć.

290

v—Kto cię skrzywdził, Sylvie? Powiedz! — domagał się natarczywie Jake.

— Nikt. Nie chodzi o mnie, chodzi o kryształy Carla! To straszne! Są porozbijane na kawałki, cała szklana kolekcja — cała, do ostatniej figurynki — nawet Szklany Chłopiec!

— O mój Boże! — zawołała Jules. — A Carl? Gdzie jest Carl?!

— Nie wiem. Nie wiem! — wyszlochałam. Przytuliła mnie i z matczyną troską włożyła moją rękę pod strumień zimnej wody, ale zauważyłam, że ona też zaczęła drżeć na całym ciele.

— Jake, zaopiekuj się Sylvie. O Boże, co się mogło przydarzyć Carlowi?

Mick?! — Podbiegła do kuchennych drzwi. — Zadzwoń na policję?
Mick wrócił właśnie z ogrodu.

— Tak, jak najszybciej. Sylvie ma rację. Wszystko jest potrzaskane na kawałki. Czegoś tu nie rozumiem. Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć, że w Szklanej Altanie były kryształy? Z zewnątrz wygląda jak zwykła ogrodowa szopa na narzędzia. My wiemy o kolekcji Carla, Sylvie też — ale nikt więcej.

Jules patrzyła na mnie uważnie.

— Kto jeszcze o niej wie, Sylvie?

— Paul — wyszeptałam.

— Przyjaciel Carla.

— Już nie. Teraz jest jego największym wrogiem. Rozgłasza o nim w szkole najpaskudniejsze rzeczy. Jest okropny, ale nie sądziłam, że byłby zdolny do czegoś takiego!

291

— Już dobrze, Sylvie. — Jake poklepał mnie po ramieniu.

— Podejrzewasz, że zakradł się do naszego ogrodu i potłukł bibeloty Carla? — zapytał Mick. — Na miłość boską, czy ten dzieciak jest jakimś psychopata? W jaki sposób dostał się do ogrodu?! — Wyjrzał na zewnątrz, w ciemność, i nagle aż się poderwał. — Jasna cholera, on tu jeszcze jest! Tam, przy żywopłocie!

Mick puścił się pędem w tamtą stronę, Jake pobiegł za nim. Razem rzucili się na postać chowającą się w krzakach i wyciągnęli ją z ukrycia.

— O Boże — wyszeptała Jules.

To nie był Paul. To był Carl. Ubłocony i potargany, zataczał się i potrząsał głową. Rękawy miał całe poplamione jakąś ciemną mazią. Mick i Jake

prowadzili go do domu, próbując podtrzymywać. Carl płakał, ciekło mu z nosa, ręce trzymał pod jakimś dziwnym kątem. Ciemna maź była krwią. Kiedy zobaczył, że mu się przyglądamy, starał się wyrwać i uciec. Z rozpaczą zwiesił głowę.

— Carl! Pokaż mi ręce — powiedziała Jules. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na zakrwawione rękawy. — Do szpitala. Pojedziemy tam samochodem, będzie szybciej niż karetką.

— Nie jadę do żadnego szpitala! — zawołał histerycznie Carl. — Nic mi nie jest. To tylko drobne skaleczenia. Zaraz się umyję, w porządku? — Odkręcił kurek i włożył przedramiona pod silny strumień wody, rozchlapując ją dookoła.

— Carl, kochanie, musisz pojechać do szpitala, trzeba ci będzie założyć szwy — tłumaczyła mu Jules.

292

i =-*■ Masz paskudnie pocięte palce... i spójrz tylko na swój nadgarstek!

— Usiłowała go przytulić, lecz Carl opędzał się jak szalony.

— Czy to ten koleś zrobił mu te sznyty? Rozwałę mu łeb! — oświadczył Jake, sam prawie bliski łez.

— Jeśli nie pozwolisz mi zawieźć się do szpitala, wezwę karetkę — zapowiedziała kategorycznie Jules.

— Wezwiemy też policję — stwierdził Mick i sięgnął do kieszeni po swój telefon komórkowy.

— Po co zaraz dzwonić na policję? Chyba nie chcecie, żeby mnie aresztowali?! — zawołał Carl.

— Musimy zgłosić włamanie. Sylvie podejrzewa, że twój przyjaciel Paul

zniszczył twoją kolekcję szkła — wyjaśnił Mick.

Carl był wyraźnie zaskoczony.

— Ty idiotko! — powiedział do mnie. Wyprostował się, wytarł oczy i nos. Z rękawów koszuli kapłała mu krew. — Czy to nie oczywiste? Sam to zrobiłem!

Wszyscy spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem.

— Carl, nie bądź niemądry — odezwał się Mick. — Po co to robisz, dlaczego chcesz kryć tego chłopaka? Co z niego za przyjaciel?

— Przecież nie potłukłbyś swojej własnej kolekcji szkła! — wtrącił Jake.

— To tak, jakbym ja sam rozbił swoją gitarę!

— Och, Carl! — westchnęła Jules. — Dlaczego to zrobiłeś?

W tej chwili rozległo się głośnie stukanie do drzwi.

— Chyba nie zdążyliście jeszcze wezwać policji? — zapytał Carl.

293

— Nie. Jake, idź sprawdzić, kto to — powiedział Mick.

Usłyszeliśmy głos mojej mamy. Głos bardzo rozgniewany.

— O nie! — jęknęłam.

— Najlepiej od razu zadzwońmy po wszystkich sąsiadów. Niech się tu zbiegnie cała ulica, żeby się na mnie gapić! — zawołał Carl.

Mama wpadła do kuchni jak burza.

— Sylvie, co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! Jak mogłaś...?! — zaczęła, ale urwała na widok Carla. — Wielki Boże, co się stało?

— Sami do końca nie wiemy — powiedziała Jules. — Część bibelotów Carla się potłukła, a on sam się poranił, próbując pozbierać odłamki.

Sylvie też się skaleczyła, ale to chyba nic groźnego. Może jednak warto, żeby pojechała z nami do szpitala — upewnimy się, czy nie trzeba

przypadkiem zaszczepić jej przeciw tężcowi i tak dalej.

— Zaraz ją zawiozę. O Boże, nie, nie mogę, wypiałam zbyt dużo wina.

Może Geny nas zawiezie, wydaje mi się, że pił mniej ode mnie.

Podeszłam do mamy i otoczyłam ją ramionami.

— Mamo, zostań z Gerrym. Muszę pojechać z Carlem. Proszę cię.

Mama nie chciała się na to zgodzić, ale Jules okazała zaskakującą stanowczość.

— To przecież nie ma sensu, żebyśmy wszyscy razem siedzieli godzinami na pogotowiu. Ja ich zawiozę.

Jedną rękę położyła na ramieniu Carla, drugą na moim i wyprowadziła nas z domu. Kiedy znaleźliśmy

294

się przy bramie, Carl próbował się wyrwać, ale schwyciła go mocno.

— Carl, nie ma mowy, jedziesz do szpitala. Masz poważne skaleczenia i wygląda na to, że odłamki szkła powbiły ci się w palce. Na litość boską, jesteś moim uzdolnionym artystycznie synem, ręce musisz mieć sprawne! Mogłeś sobie poprzecinać ścięgna. Obydwoje wsiadać mi do samochodu, ale już!

Wiozła nas do szpitala, a my siedzieliśmy z tyłu i dygotaliśmy. Carl nadal szlochał, chociaż bardzo się starał nad sobą zapanować. Opatuliłam go pledem, który Jules wozi w samochodzie.

— Jesteśmy — powiedziała, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu pod szpitalem. — Chodźmy cię opatrzeć, kochanie. — Przytuliła go i jeszcze szczerzej owinęła kocem. — Chodź, Sylvie.

Musieliśmy podać nasze dane osobowe recepcjonistce, a potem usiedliśmy w zatłoczonej poczekalni pośród histerycznie płaczących dzieci,

przeklinających pijaków i mamroczących do siebie wariatów. Carl skulił się w swoim kocu. Jules usiadła pomiędzy nami, obejmując ramionami nas oboje. Nie rozmawialiśmy, wciąż byliśmy zbyt oszołomieni tym, co się stało. Carl zamknął oczy, jakby próbował to wszystko unieważnić. Jules spoglądała na niego nerwowo, skubiąc zębami dolną wargę. Carl ciągle dygotał.

— Już dobrze — szepnęła do niego. — Już dobrze. W końcu poproszono nas do niedużego gabinetu, gdzie kobieta w białym kitlu ostrożnie rozcięła zakrwawione rękawy Carla i obejrzała jego przedramiona i ręce.

295

— Oooj, kochany, było ostro, jak widzę — powiedziała. — Gdzieś ty się tak pokaleczył, kolego?

— Potknął się i przewrócił na kolekcję kryształów — wtrąciła się Jules. — To dlatego jest w lekkim szoku.

— Pani chyba również! — zauważyła pielęgniarka. — No dobrze, kolego, zbadamy cię dokładnie, pozszywamy i za jakiś czas będziesz zupełnie jak nowy. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o wazonach twojej mamy! A co dolega tobie, młoda damo? Och, to na szczęście tylko draśnięcie.

Możemy ci jednak założyć jakiś malutki szew, żeby bratu było trochę różniej.

— On nie jest moim bratem — wymruczałam.

— A, to przepraszam. Chłopakiem? — spytała pielęgniarka.

Wzięłam głęboki oddech.

— Nie. Przyjacielem — wyjaśniłam.

Carl otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

— Obawiam się, że trochę to potrwa, zanim chirurg będzie wolny, żeby się wami zająć. Nie jestem pewna, czy bufet jeszcze działa, ale można się napić herbaty albo kawy z automatu na końcu korytarza. Z mojej strony to wszystko. Proszę, spróbujcie się rozluźnić. To przecież nie koniec świata.

— Ona ma rację — powiedziała Jules po wyjściu pielęgniarki. — Kubek herbaty chyba wszystkim nam dobrze zrobi, co? Pójdę sprawdzić, czy to się da załatwić. Przez ten czas miejcie oko na siebie nawzajem, a jeśli któreś z was zacznie gwałtownie krwawić, natychmiast zawołajcie lekarza, OK?

Wyszła. Carl i ja zostaliśmy sami.

296

~ Przepraszam, że nazwałem cię idiotką — szepnął Carl. — To nieprawda, Sylvie. To ja zachowuję się jak kretyn. Byłem taki głupi! Wstyd mi za siebie. To naprawdę okropne. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby się tak zachowywać, przeżywać wszystko tak intensywnie, robić z siebie takiego idiotę. Ale nie mogłem już wytrzymać. Paul powiedział wszystkim.

— Ale dlaczego to zrobił?

— Chyba po prostu tak wyszło. Najpierw nie odzywał się do mnie i udawał, że mnie nie widzi. Potem powiedział nauczycielowi z kółka teatralnego, że nie chce już grać w Śnie nocy letniej. Wyjaśnił, że próby kolidują mu z treningami. Ale później jakiś kark z jego drużyny zaczął go: „Jak to, stary pedale, nie chcesz już występować w tej pedalskiej sztuce?” Nie mówił tego serio, tak się tylko wygłupiał, ale Paul wziął to do siebie i o mało mu nie przyłożył. I wówczas zaczęli się włączać inni. Po prostu mu dokuczali — uważają przecież, że jest fantastyczny, i dobrze

wiedzą, że jest hetero — w końcu cycki tej naiwniary Mirandy pokazał chyba wszystkim. Powinien był zbyć to śmiechem, ale nakręcał się coraz bardziej. Przyglądałem się całej sytuacji, Paul mnie zauważył i się zaczerwienił. Ktoś powiedział: „Och, och, cóż za rumieńczyk!”, a ktoś inny zadrwił: „To na widok partnera. Scenicznego”, mając na myśli mnie. Było jasne, że nie mówią poważnie, że nie kojarzą tych faktów, ale Paul spękał i zaczął wyrzaskiwać obelgi.

Carl zamilkł i trzęsąc się, wziął urywany wdech.

— Obelgi pod twoim adresem?

— Tak. Ze jestem gejem, że próbowałem się do niego dobierać, że mu niedobrze na mój widok. I wszyscy

297

wsiedli na mnie, tylko że to już nie były żarty. Tym razem szydzili naprawdę. Paul też się nie oszczędzał. Był najgorszy z nich wszystkich. Opowiedział im o mnie i o mojej kolekcji kryształów. Zaczęli mnie przezywać Szklanym Chłopcem. Wtedy jakiś wesołek zapytał: „Ale to szkło to dmuchane?” I tak błyskawicznie zostałem Dymanym Chłopcem.

— Och, Carl! I co zrobiłeś? Wściekłeś się? Wybuchnąłeś płaczem?

— Stałem tam jak krety i próbowałem udawać, że nic mnie to nie obchodzi. Że nic sobie z tego nie robię. Tak naprawdę niezbyt się przejmowałem tym, co mówią inni. Zabolały mnie uwagi Paula. Ale wytrzymałem. Poszedłem na kółko teatralne, a tam już wszyscy wiedzieli. Nie mogli ze mnie otwarcie szydzić przy nauczycielu, ale szeptali za moimi plecami i omijali mnie szerokim łukiem. Kiedy wracaliśmy autobusem do domu, kilka osób zaczęło mnie wyzywać i opowiadać głośno rubaszne żarciki, wyjątkowo głupie i okrutne...

— Jak oni mogą być tacy bezduszni?!

— Tak już po prostu jest. Wciąż nie reagowałem. Wszedłem do domu na palcach, wszyscy siedzieli w salonie i oglądali jakieś bzdury w telewizji. Nie potrafiłem spojrzeć im w oczy. Z kuchennej szafki ściągnąłem jakąś flaszkę — trafiła mi się akurat sherry do gotowania — poszedłem do Szklanej Altany i zacząłem pić.

— Nie mogłeś zadzwonić do mnie?

— Chciałem być sam. Próbowaliśmy się upić, ale sherry była paskudna, smakowała jak ulepek, nie mogłem jej zmęczyć. Chciałem wymazać ich głosy, wszystkie te złośliwości, całą tę ohydę. Ciągle widzia-

298

łem Paula i słyszałem te obrzydlistwa, które wykrzyczał. Przedemną na półce stał Szklany Chłopiec. Jest taki podobny do Paula — nie wiem, czy kiedykolwiek zwróciłaś na to uwagę. Nie mogłem tego znieść. Nie byłem do końca świadomy, co robię, rzuciłem w niego butelką sherry.

Roztrzaskał się w drobny mak. To było straszne, pękało mi serce, ale nie mogłem się powstrzymać, wpadłem w szal niszczenia i wtedy się przeciąłem, i...

Carl przerwał. W drzwiach stała Jules, próbując utrzymać prosto trzy plastikowe kubeczki z herbatą.

— Przeciąłeś się, Carl? — powtórzyła. Kubki zadrżały, herbata wylała się na podłogę.

Wyjęłam je z jej rąk. Usiadła obok Carla.

— Powiedz mi. Nikomu nie powtórzę. Nawet tacie. Pokaleczyłeś się celowo?

— Co takiego? Chodzi ci o to, czy próbowałem się pociąć? To chyba

sknociłem strasznie, nie? — powiedział Carl, przebierając palcami oblepionymi zaschłą krwią. — Nie, mam, nie zamierzałem się zabić. Nie zwracałem uwagi na to, jak bardzo się pochlastam, ale nie robiłem tego umyślnie.

— Bogu dzięki! — odetchnęła Jules. Objęła Carla i przytuliła głowę do jego głowy. — Wiem, że ostatnio jest ci bardzo ciężko. Tak się o ciebie martwię. To dla mnie jasne, że musiało się wydarzyć coś strasznego, żeby doprowadzić cię do takiego stanu. Ale nie musisz mi o tym opowiadać, jeśli nie chcesz. Przynajmniej dopóty, dopóki zdajesz sobie sprawę z tego, że naprawdę masz po co żyć. Jesteś fantastycznym, bystrym, utalentowanym chłopakiem, masz rodzinę, która cię

299

bardzo kocha, i Sylvie, która jest najlepszą przyjaciółką na świecie.

— Tak, mam, wiem. Chodzi tylko o to, że... — Carl zbierał się na odwagę, ciągle dygocząc.

Jules podała mu jego kubek.

— Napij się herbaty.

Drugi kubek, dla mnie, pozostawiła w moich rękach.

— Czy ty wiesz, co się stało, Sylvie?

— Tak. Poniękad tak.

Carl upił kilka łyków herbaty.

— Mam, chodzi o to, że... Boże, naprawdę nie wiem, jak mam to powiedzieć. To zabrmi tak banalnie. Widzisz, mam, zakochałem się w kimś.

— Ach tak. I... i ten ktoś nie odpowiedział ci tym samym?

— Ten ktoś mnie nienawidzi — powiedział Carl. Wypił jeszcze jeden łyk.

— On mnie nienawidzi — dodał szeptem.

— Rozumiem — powiedziała Jules. Upiła spory łyk swojej herbaty. — To bardzo przykre, że tym razem się nie udało, ale zapewniam cię, że zakochasz się jeszcze nie raz — i nie dwa razy. Być może nie będzie to uczucie aż tak intensywne, aż tak bolesne, ale będzie lepsze, możesz mi wierzyć.

Zrobiłam na nią wielkie oczy. Carl też patrzył na nią ze zdumieniem.

— Powiedziałem ci właśnie, że jestem gejem, a ty tak po prostu przeszłaś nad tym do porządku dziennego?!

— Skoro sprawa stanęła na porządku dziennym...? Podejrzewałam, że tak może być.

— Boże, chyba nie rozmawiałaś o tym z tatą?!

300

1=- Nie. W każdym razie nie o szczegółach twojego życia emocjonalnego. — I nie przeszkadza ci to?

— Oczywiście, że nie. Jesteś moim synem i kocham cię takim, jaki jesteś. Chociaż trochę się martwię ze względu na Sylvie. — Jules wyciągnęła rękę i chwyciła moją dłoń. — Pewnie to ja wyjdę na tym najlepiej.

Homoseksualni synowie ponoć uwielbiają swoje matki.

— A tata? Myślisz, że przyjmie to spokojnie?

— Hmm. Będzie raczej zmartwiony. Co prawda

I szczyci się swoją tolerancją i wolnością od stereotypów myślowych, ale trochę to potrwa, zanim się z tym pogodzi. Na pewno będzie nalegał, żebyś nie obnosił się ze swoimi skłonnościami, dopóki chodzisz do szkoły.

— Bardzo chętnie, ale to nic nie da — westchnął Carl. — Wszyscy już wiedzą. Paul im powiedział. W całej szkole aż huczy.

— I nikt nie przebiera w słowach — odpowiedziałam.

— Nigdy nie chciałam cię posyłać do tej okropnej szkoły — stwierdziła Jules. — Wolałam, żebyś został w Milstead razem z Sylvie.

— Szkoda, że nie zostałam — westchnął Carl. — A ja bym wolał, żebyśmy wrócili do zerówki i mogli znowu malować palcami i bawić się w dom: przygotowywać

I podwieczorki dla lalek i nalewać im wody do filiżanek.

— Już wtedy rezerwowałeś sobie najlepszą Barbie — zauważyłam.

Nie był to zabawny dowcip, ale uśmieśliśmy się serdecznie, bo to było łatwiejsze niż płacz.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, czekała na mnie mama. Wcześniej zadzwoniłam do niej ze szpitala i powiedziałam — zgodnie z prawdą — że założono mi tylko jeden szew, podczas gdy Carl stracił rachubę swoich. Był jednak bardzo dzielny, szycie zniósł prawie bez mrugnięcia okiem.

— Pokaż mi swoją biedną łapkę, Sylvie — zażądała zmartwiona mama.

— Nic mi nie będzie. — Pomachałam do niej ręką z opatrunkiem.

Rozejrzałam się po pokoju. Nigdzie nie było widać Gerry'ego, ale zauważyłam, że jego samochód nadal stał pod domem. — Geny jeszcze tu jest?

— Tak, zostanie na noc — powiedziała mama, oblewając się rumieńcem.

— Poszedł się już położyć.

Położyć do j e j łóżka.

— Pomyślałam, że dzisiaj prześpię się chyba tutaj, na kanapie — dodała.

302

Iv — Mamo, nie wygłupiaj się. Nie jestem już dzieckiem. — No cóż,

trochę to jednak krępujące. Geny nie planował u nas zostać, ale byłam roztrzęsiona i nie chciał zostawić mnie samej. Co jeszcze nie znaczy, że było tak, jak myślisz, my wcale nie... pod twoją nieobecność wcale sienie... — Mamo! — Zatkanam sobie uszy. — Oszczędź mi szczegółów! — Już dobrze. To dla nas wszystkich bardzo niezręczna sytuacja. A dla ciebie musi być prawdziwą traumą, Sylvie. Przy kolacji zachowywałaś się wręcz wrogo.

— Wcale nie.

— Nie udawaj! Nie można było z ciebie wydobyć słowa!

— Miałam myśli zajęte innymi sprawami. Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna — powiedziałam.

— To znaczy, że nie nienawidzisz Gerry'ego?

— Jest w porządku. Nawet dosyć miły.

— To niezbyt entuzjastyczna opinia. On uważa, że jesteś urocza.

— W takim razie albo kłamie, albo oszalał, bo sama muszę przyznać, że urocza nie byłam na pewno. Ale to naprawdę tylko dlatego, że martwiłam się o Carla.

— No właśnie, Carl. Powiesz mi, co się stało?

— To bardzo osobista sprawa, mamo.

— AJules wie?

— Tak, ona tak.

— To dobrze, tak się o niego martwi. Bardzo się pokaleczył? Widziałam mnóstwo krwi.

— Poprzecinał sobie wszystkie palce. Wbiło mu się w nie także kilka szklanych drzazg, które trzeba było

wyciągnąć pęsetą. Był taki dzielny, ja na jego miejscu byłabym jak opętana.

— Wypłakał się wcześniej.

— Nie masz pojęcia, przez co on musi przejść, mamó. Chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę. Tak mi go żal.

Mama utuliła mnie do snu i obsypała pocałunkami, tak samo jak dawniej, gdy byłam jeszcze mała. Zrobiło się już bardzo późno, byłam wykończona, a jednak nie mogłam zasnąć. Bolał mnie palec, więc żeby trochę uśmierzyć ból, wetknęłam go sobie pod pachę. Jeśli ja odczuwałam ból, Carl musiał cierpieć katusze.

Myślałam o tych wszystkich chłopakach, którzy wyzywali go od najgorszych. Nienawidziłam Paula. Miałam nadzieję, że Carl też zacznie go nienawidzić. Przynajmniej przez najbliższy tydzień nie będzie musiał chodzić do szkoły, jego ręce muszą się trochę zagoić.

Wstałam bardzo wcześnie rano, mimo że wcale nie byłam wyspana. Chciałam skorzystać z łazienki, żeby uniknąć krępującego spotkania z Gerrym. Zrobiłam sobie szybkie śniadanie, licząc na to, że uda mi się wyjść z domu, zanim ktokolwiek wstanie, ale panna Miles zeszła na dół, żeby zaparzyć sobie pierwszą poranną filiżankę herbaty. Zazwyczaj rankiem chodzi w starym polarze narzuconym na wyciągniętą koszulę nocną, a z rzadkich siwych włosów sterczą jej spinki, utrzymujące przyklepaną fryzurę na miejscu, lecz dziś miała na sobie satynowy szlafrok o kroju kimona, a jej głowę otaczały lekko natapirowane mizerne loki. Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

— Tak, wystroiłam się specjalnie, żeby nie wystraszyć naszego gościa — wyjaśniła mi szeptem. — Natknęłam się na niego wczoraj wieczorem, kiedy szłam

i zrobić sobie moje ulubione mleko słodowe przed snem. Sprawia bardzo miłe wrażenie, prawda?

— Yhm. — Wzruszyłam ramionami.

— Hola, moja panno, nie pozuj na opryskliwą małolatę. To naprawdę czarujący mężczyzna i widać, że bardzo mu zależy na twojej matce.

— Dopiero co się poznali. Nie biorą ze sobą ślubu — powiedziałam.

— Cóż... wszystko w swoim czasie... — stwierdziła panna Miles.

— Bez takich żartów, proszę! — Na to nie byłam przygotowana.

Oswajałam się dopiero z myślą, że mama spotyka się z jakimś facetem, ale jeśli miałyby się poważnie zaangażować w ten związek... — To by było okropne! — oświadczyłam.

— Cóż, jeśli mam być zupełnie szczerą egoistką, sama też nie byłabym takim obrotem sprawy zachwycona. Musiałabym znaleźć sobie nowe lokum, a tutaj tak bardzo mi się podoba! Jesteście dla mnie takie miłe, czuję się prawie, jakbym należała do rodziny — uśmiechnęła się do mnie uroczo.

Zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam powiedzieć, że traktuję ją prawie jak ciocię, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć.

— Miała pani kiedyś własne mieszkanie? — zapytałam ciekawsko.

— Niestety, kochanie, nigdy nie było mnie na to stać. Sądziłam, że odziedziczę rodzinny dom, ale trzeba

go było sprzedać, żeby opłacić pobyt matki w domu spokojnej starości. No cóż — westchnęła. — Jakoś to będzie, jak mawia poczciwy pan Micawber. Panna Miles traktuje bohaterów Dickensa, jakby oni też byli członkami jej rodziny. Z drugiej strony, ja sama żyję w świecie króla Carla i królowej Sylviany...

Próbowałam ich przywołać. Udało mi się ich zobaczyć, ale stali bez słowa, nieruchomo jak woskowe figury. Zupełnie nie potrafiłam tchnąć w nich życia. Nie zniósłabym chyba, gdyby się okazało, że będę musiała żyć także bez nich.

— Przed pójściem do szkoły wstąpię jeszcze do Carla, zobaczyć, jak się czuje — powiedziałam. — Czy mogłaby pani pozdrowić ode mnie mamę? Na widok Carla ubranego w fioletowy szkolny mundur i gotowego do wyjścia przeżyłam spore zaskoczenie. Jego zabandażowane ręce wyglądały jak w dziwacznych białych rękawiczkach.

— Chyba nie wybierasz się do szkoły? — zapytałam.

— Zwariowałaś?!

— Powiedziałam mu dokładnie to samo — poskarżyła się Jules. — Och, Carl, pozwól przemówić sobie do rozumu! Nie ma sensu, żebyś szedł do szkoły... Nie możesz się nawet podpisać!

— Owszem, mogę, wystarczy tylko trochę wysiłku

— odparł Carl i poruszył zabandażowanymi palcami.

— Widzicie? Wszystko gra.

— Mnie nie nabierzesz, Carl. Siedziałeś pół godziny w łazience, ledwie udało ci się umyć zęby! Mick, powiedz mu, że ma zostać!

— Uważam, że Carl powinien decydować sam za

siebie, a wygląda na to, że decyzję już podjął — stwierdził Mick. Objął Carla ramieniem i popatrzył mu prosto w oczy. — Masz charakter, synu. Jestem z ciebie dumny — powiedział i pobiegł do pracy.

— O Boże, oszczędźcie mi tych pseudomęskich dyrdymałów! — jęknęła Jules. — Carl, nie idziesz do żadnej szkoły, nie w tym stanie. Przecież te łobuzy zrobią z ciebie kozła ofiarnego!

— Oj, mamó, przestań już! — zniecierpliwił się Carl. W tej samej chwili do kuchni wkroczył Jake w koszuli wyciągniętej ze spodni, byle jak zawiązanym krawacie i z wlokącymi się po ziemi sznurowadłami.

— Co tam znowu? — zapytał. — Cześć, Sylvie.

— Tłumaczymy właśnie Carlowi, że nie może iść do szkoły, dopóki ręce mu się nie zagoją — wyjaśniła mu Jules i popchnęła w jego stronę karton płatków kukurydzianych i mleko.

— Racja, Carl, to głupi pomysł — przyznał Jake. Milczał przez chwilę. — Ale skoro już idziesz, może chciałbyś, żebym poszedł z tobą? Na wypadek, gdyby ci kolesie czekali na ciebie na boisku albo coś? Będę miał wreszcie dobrą wymówkę, żeby przetrzepać tyłki kilku zadufanym w sobie ciulom z tej twojej szkoły.

Carl aż zamrugał ze zdziwienia.

— Dzięki, Jake, ale jednak nie — odpowiedział. Nalał sobie mleka do miseczki z płatkami. Dzbanek wyślizgnął mu się z zabandażowanej ręki i trochę mleka się rozlało.

— O właśnie! — zawołała Jules i starła plamę. — Sam widzisz, że mam rację. Pozwól, że ci pomogę, kochanie.

— Na litość boską, mam, rozlałem tylko trochę mleka! To jeszcze nie katastrofa. Mam lekko pokaleczone ręce, a ty zachowujesz się, jakby mi je amputowali. Przestań robić z tego taką aferę — powiedział. —

Przepraszam, nie jestem głodny. Pójdę już. Do zobaczenia wieczorem. I nie martw się tak!

Wstał od stołu i szybko pocałował Jules w policzek. Bezradnie pogłaskała go po ramieniu. Carl ruszył w stronę drzwi. Ja także wstałam.

— Cześć, Sylvie — powiedział Jake. — Na razie, Carl. Trzymaj się dzielnie, młody.

— Cześć, Jake — odpowiedział mu Carl. Poszłam za nim do bramy.

— A ja mogę iść z tobą, Carl?

— Co proszę? Ty też oferujesz, że spuścisz im lanie? — uśmiechnął się Carl. — Słuchaj, Sylvie, myślisz, że Jake wie, dlaczego oni się mnie czepiają? Sądzisz, że mama mu powiedziała? Albo że nas usłyszał?

— Nie wiem. Podejrzewam, że sam się domyślił. Nie jest przecież aż taki głupi.

— Zachowuje się, jakby nie było sprawy.

— A co, myślałeś, że zacnie cię lać?

— W końcu robi to przez całe życie. A tata? On chyba też już wie. O Boże, zacznę się bać, że wszyscy sąsiedzi wybiegną zaraz przed swoje domy i zaczną do mnie machać tęczowymi flagami.

— Poczekaj, lecę po moją — powiedziałam.

— Przepraszam cię, Sylvie.

— Nie zaczynaj znowu. — Poklepałam go ostrożnie po zabandażowanej ręce.

— Nie wiem dokładnie, co potłukłem. Czy z mojej kolekcji w ogóle coś zostało?

— Raczej niewiele.

— Jestem takim idiotą!

— Jesteś idiotą, że idziesz do szkoły.

— Boję się okropnie. Ale jeśli dzisiaj nie pójde, wszyscy będą wiedzieli, że stchórzyłem i nie potrafię stawić im czoła.

— W ogóle nie musisz tam iść! Jules na pewno będzie chciała cię przenieść z powrotem do Milstead. Och, Carl, proszę, byłoby tak cudownie! Nikt nie robiłby z tego wielkiego problemu, przecież wszyscy cię znają i wiedzą, że jesteś wyjątkowy.

— Naprawdę bardzo chciałbym wrócić, Sylvie. W Kingsmere nigdy mi się nie podobało. Atmosfera naprawdę jest dziwna: sami faceci, testosteron dosłownie unosi się w powietrzu, razem z ohydny smrodem niewietrzonych łóżek i spoconych nóg. W tematach rozmów ten sam zaduch. Każdy marzy tylko o tym, żeby być lepszy od innych. Wieczne przepychanki, głupie śmiechy, bezsensowna bieganina. Nigdzie nie uświadczysz nawet odrobiny spokoju. Nie można też powiedzieć, co się naprawdę myśli, bo przecież wy-wnętrzają się tylko pedały.

— No to co ty tam właściwie jeszcze robisz?! Dobrze wiesz, że w Milstead od ręki przyjąłby cię z powrotem!

— Nie chcę, żeby ktokolwiek myślał, że nie poradziłem sobie w Kingsmere.

— Co to w ogóle za pomysł! Jesteś cholernie dumny i sam utrudniasz sobie życie. Och, Carl, czy ty musisz być taki uparty?

— No nie wiem. Może zaczną we mnie rzucać śmieciami, spłuczą mi głowę w kiblu i będzie tak okropnie, że z mety się stamtąd wypiszę.

— Myślisz, że naprawdę byliby zdolni do czegoś takiego? — zapytałam.

— Nie, tylko żartowałem. Trochę. Przecież w klasie nie mogą mi nic zrobić, prawda? A po lekcjach pobiegnę prosto do domu. Nie martw się.

— A co z przerwą na obiad?

— Wtedy na pewno nie będzie już tak różowo. Może uda mi się jeść bardzo, bardzo wolno, każdy kęs będę przeżuwał ze sto razy i tym sposobem spędzę bitą godzinę w stołówce?

— Mam lepszy pomysł. Spotkajmy się na lunchu w McDonalddie. Oboje zdążymy tam dojechać i wrócić. Carl, zgódź się, proszę. Wtedy będę się trochę mniej martwiła.

— No dobrze, zobaczę, co da się zrobić.

— Nie, obiecaj mi. W McDonalddie o pierwszej, tak?

— Niech ci będzie: o pierwszej. Zadowolona? Posłał mi pocałunek i ruszył biegiem na koniec ulicy.

Czekałam, aż skręci za róg. Nie odwrócił się, ale pomachał mi zabandażowaną ręką. Wiedział, że będę za nim patrzeć.

Tak bardzo bym chciała, żeby Carl mógł włożyć swoje czarodziejskie buty, które nosił w Szklanii. Dzięki nim nikt nie zdołałby go dogonić.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek będziemy mogli się bawić w Szklanię. Próbowałam wymyślić nową historię do naszych Kronik, lecz żaden pomysł

310

nie chciał mi przyjść do głowy. Staralam się odświeżyć sobie którąś ze starszych opowieści, ale król i królowa patrzyli na mnie tępo i nie chcieli

się odezwać.

Nie byłam pewna, czy Kroniki też nie ucierpiały. A jeśli Carl powyrywał z nich kartki, zdecydowany zniszczyć wszystko? Przez chwilę rozważałam, czy nie przekraść się przez dom do naszego ogrodu, przejść przez dziurę w płocie i nie sprawdzić. Ale nie czułam się jeszcze na siłach, by sprostać widokowi potłuczonych kryształów Carla, jeszcze nie.

Zamiast tego powlokłam się do szkoły. Miranda już tam na mnie czekała — jak na nią, przyszła zaskakująco wcześnie.

— Hej, czemu nie odbierałaś komórki?

Kiedy byłam z Carlem w szpitalu, Miranda przysłała mi kilka SMS-ów, ale nie wiedziałam, jak zmieścić cały koszmar poprzedniego wieczora w kilku linijkach tekstu.

— Przepraszam cię. Nie mogłam. Byłam w szpitalu.

— W szpitalu?! Coś ci się stało? Coś poważnego?

— Mnie nie. Chodzi o Carla — powiedziałam. Obok nas stała Lucy i przeglądała markotnie jakiś

plotkarski magazyn w towarzystwie Jenny Rawlings, ponurej, pryszczatej dziewczyny, która nie ma żadnej koleżanki. Kiedy padło imię Carla, Lucy czujnie podniosła głowę.

— Coś się stało Carlowi? — zapytała.

— Co? Nie, nie, wszystko w porządku — zaprzeczyłam szybko.

— Przejdźmy tam. — Miranda odciągnęła mnie na stronę.

311

— Niektóre dziewczuchy uważają się za Bóg wie co i dyrygują wszystkimi wokół — odezwała się Lucy.

— A tak naprawdę to tylko głupie dziry. Zrobić zdjęcie swoich cycków i

wysłać je przez telefon, wyobrażasz sobie, Jenny?

— Dlaczego nie, skoro to świetne cycki? — zapytała wyzywająco Miranda i pokazała im obu język.

Lecz kiedy już zaciągnęła mnie do ustronnego kąta w pobliżu stołówki, musiała zaczerpnąć tchu.

— Zaczynam podejrzewać, że to zdjęcie chyba rzeczywiście było drobną pomyłką. To miał być tylko taki wyglup, żeby podkreślić Paula, naprawdę nie sądziłam, że on je wszystkim pokaże. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby pozwolił na nie spojrzeć kumplowi albo dwóm

— Carlowi, na ten przykład — ale nie chciałam, żeby ślinili się nad nim wszyscy! Sylvie, myślisz, że jestem zdziwą?

— Jasne, żenię!

Z wdzięcznością uścisnęła mnie za rękę. Pech chciał, że była to obolała ręka z gojącym się palcem. Zauważyła, że się krzywię.

— Przepraszam! Ojej, a jednak coś ci się stało!

— To drobiazg. Poważniej ucierpiał Carl. Odłamkami szkła poprzecinał sobie wszystkie palce.

— Odłamkami szkła? Chyba nie z jego zbiorów?!

— Pod żadnym pozorem nikomu o tym nie mów! Obiecujesz? Paul zachował się naprawdę wstrętnie, on i wszyscy pozostali uczniowie z klasy zbluzgali Carla od najgorszych — sama wiesz, jacy oni są — Carl trochę wypił i roztrzaskał swoją kolekcję na kawałki...

312

— Całą? Mój przycisk Remember Me też? A niech to diabli, był drogi jak jasna cholera!

— Nie wiem, może akurat się uchował. Ale wszędzie było pełno rozbitego

szkła. Wszystkie szklane figurki są zniszczone, nawet Szklany Chłopiec jest w kawałkach.

— To znaczy, że Carl trafił do szpitala?

— Założyli mu szwy i wypuścili do domu. Ma zabandażowane obie ręce, ale mimo to uparł się, żeby iść do szkoły.

— Jest taki dzielny. Narwany, ale dzielny. Boże, kocham go tylko jeszcze bardziej! A ty, Sylvie?

— Miranda, ty go wcale nie kochasz! — Nagle wpadłam w straszną złość.

— Poza tym to mój chłopak!

— Nic podobnego. I nie złość się tak. Niby dlaczego nie możemy kochać go obie? Jaka szkoda, że nie widziałam go w tym napadzie szału. Carl zawsze jest taki opanowany.

— Przecież właśnie to jest najgorsze! Paul odebrał mu wszystko.

Nienawidzę go!

— Ja też go nienawidzę. Mogę go nienawidzić, prawda, chociaż nie wolno mi kochać Carla? — Szturchnęła mnie prowokacyjnie. — Cała ta nagonka jest poniżej wszelkiej krytyki. Zainteresowanie Carla powinno przecież Paulowi schlebiać. Musi być bardzo niepewny własnej orientacji, skoro zrobił z tego taką aferę. Może wcale mu się nie podobałam? Może tylko próbował udowodnić samemu sobie, że nie jest gejem? Dobrze się stało, że Carl ma go już z głowy. I ja też. Z drugiej strony, biedny Carl będzie miał teraz strasznie ciężkie życie w szkole.

313

— Spotykam się z nim dziś na lunchu w McDonal-dzie.

— Świetny pomysł. Właśnie, moglibyśmy całą trójką spędzić w mieście miłe popołudnie.

— Carl zamierzał się spotkać ze mną. Nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

— Ale ja nie jestem „kimkolwiek”. Jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi — zaprotestowała Miranda. — To oczywiste, że idę z tobą. Nie byłam w stanie jej powstrzymać. Zresztą nawet nie do końca chciałam, bo trochę tchórzyłam na myśl o samotnych wagarach. Podczas przerwy obiadowej Miranda bez mrugnięcia okiem wymaszerowała ze szkoły, jakby miała jakieś oficjalne upoważnienie. Szłam obok niej niepewnym krokiem, płochliwie oglądając się przez ramię. Miranda zapłaciła za nasze bilety autobusowe, a w McDonalddie kupiła nam po coli i porcji frytek. Carla jeszcze nie było. Nie było też żadnego chłopaka w charakterystycznym fioletowym mundurku.

— Ale powiedział, że przyjdzie? — upewniła się Miranda.

— Obiecał mi.

— Wyślij mu SMS-a.

— Już wysłałam! Nie odpowiada.

— Jak myślisz, co takiego mogą mu zrobić? Ci chłopacy z Kingsmere mają okropne pomysły, w ogóle cała ta szkoła sprawia wrażenie, jakby tkwiła jeszcze w głębokim średniowieczu. Raj opowiadał mi kiedyś, że jakaś grupka wyzywała go od Pakistańców i rozgłaszała, że na pewno jest terrorystą. Podejrzewam, że

314

naprawdę wcale tak nie myśleli, ale za każdym razem, kiedy Raj wkładał rękę do kieszeni albo otwierał swoją szkolną torbę, wołali: „Padnij!” i rzucali się na podłogę, jakby zaraz miał zdetonować bombę.

— I co zrobił?

— Och, ten pomysł był po prostu genialny! Raj kupił atrapę granatu ręcznego w sklepie ze śmiesznymi rzeczami i któregoś razu wyciągnął zawleczkę i rzucił go w ich kierunku. Granat narobił wyjątkowo wiarygodnego hałasu, napastnicy o mało nie posikali się ze strachu. Raj ma kapitalne poczucie humoru.

— W takim razie dlaczego nie chcesz z nim chodzić?

— No cóż, chodziliśmy ze sobą przez pewien czas, ale jego rodzicom nieszczerze się to podobało. Uważają, że jestem trochę zbyt niekonwencjonalna jak na dziewczynę ich cudownego synka.

— Bo rzeczywiście jesteś!

Miranda uśmiechnęła się, przyjmując moje słowa za komplement. Włożyła sobie do ust kilka frytek i zaraz się nimi zakrztusiła.

— O, jest Carl!

Odwróciłam się. Szedł w naszą stronę, zabandażowane dłonie wystawały niezgrabnie z rękawów jego szkolnej marynarki. Kiedy nas zobaczył, podniósł je i zamachał nimi jak clown.

— O rany! Jakie imponujące bandaże! — zawołała Miranda i wybiegła mu na spotkanie. Wyściskała go i ucałowała w oba policzki, spontanicznie robiąc wszystko to, na co ja nigdy nie mogłam się zdobyć. Carl stanął na wysokości zadania i przywitał się z nią

315

równie wylewnie. Pozostało mi tylko czekać cierpliwie na swoją kolej. Carl uśmiechnął się do mnie blado — przede mną nie potrafił tak dobrze udawać.

— I jak ci minął szkolny ranek? — zapytałam.

— Rewelacyjnie, po prostu rewelacyjnie — odpowiedział Carl i usiadł

przy stoliku. — Włóż mi do ust parę frytek, co? Nie chcę sobie zatłuścić bandaży.

— Naprawdę było OK?

— Jasne, że nie! Te gnojki dały mu się solidnie we znaki — wyjaśniła mi Miranda.

— Rzeczywiście, splukali mi głowę w kiblu, ale nie ma sensu robić z tego problemu, przecież i tak miałem umyć włosy. Żartuję. Wprawdzie kiedy przechodziłem korytarzem, wołali: „Uwaga, chłopaki, odwróćcie się do ściany!”, ale to przecież oczywiste, że wszyscy chcieli stać przodem do mnie, żeby móc mnie podziwiać. A w szatni przed wf-em panowała zbiorowa histeria, Paul zamknął się nawet w ubikacji, żeby się przebrać w swój strój piłkarski, ale może po prostu dostał rozstroju żołądka i musiał się z tym zmierzyć w samotności? — Carl opowiadał o tym lekko, tonem beztróskim jak zawodowy komik.

— Och, Carl! — westchnęłam.

— Czyli Paul zachowywał się jak ostatnia świnia? — zapytała Miranda.

— Tak naprawdę nie miał wyboru. Jeśli będzie dla mnie miły albo chociaż życzliwie obojętny, pozostali dojdą do wniosku, że on też jest gejem. Paul nie ma wyjścia, musi być prowodyrem i wygadywać o mnie najgorsze rzeczy — powiedział Carl.

316

- Oj, przestań już być taki nieznośnie wyrozumiały! — stwierdziła Miranda. — Zachowuje się jak gówniarz i wszyscy o tym wiemy. Nienawidzimy tego gnojka.

— Tylko ja wykazałam się rozsądkiem. Nie znosiłam go od początku — powiedziałam.

— Jakie to proste! To ja go też zniechęcę — powiedział Carl, ale nie był już w stanie zapanować nad swoim głosem. Modliłam się, żeby nie wybuchnął płaczem przy nas, na środku McDonalda.

— I bardzo słusznie. Hej, już w porządku. Pomogę ci. — Miranda podniosła frytkę na wysokość oczu Carla. — Carl, spójrz na tę frytkę. Podążaj za nią wzrokiem. — Przesunęła ją powoli z lewej strony na prawo i z powrotem. — Obserwuj frytkę. Za chwilę wpadniesz w trans. Smaczny, odżywczy, ziemniaczany sen.

— To frytki z McDonalda w ogóle zawierają ziemniaki?!

— Zamknij dziób i skup się! Podążaj wzrokiem za frytką. Tak, właśnie tak, wódz za nią oczyma, obserwuj żółciutką frytkę. Jesteś teraz w transie i uwierzysz we wszystko, co ci powiem, będziesz w to wierzył także po przebudzeniu. Nienawidzisz Paula. Kochasz Mirandę — cedziła Miranda sugestywnie.

— Nie! Kochasz mnie! — nie wytrzymałam.

— Dobrze, niech będzie, kochasz Mirandę oraz Sylvie — ale Sylvie jest twoją starą, spowszedniała dziewczyną, a Miranda jest ekscytująco nowa, gotowa cię oczarować i skusić!

— Obie jesteście śliczne — powiedział Carl. — Ale...

317

— Nie ma żadnych „ale”! — sprzeciwiła się Miranda. — Nie możesz jeszcze mieć absolutnej pewności, że jesteś całkowicie i w stu procentach gejem.

— Wiem. — Spojrzał na mnie. — Moja mama twierdzi, że to może być tylko przejściowe.

— I ma rację? — spytała Miranda i zjadła swoją hipnotyzującą frytkę.

Carl wzruszył ramionami.

— A skąd mam wiedzieć? Wiem, co czuję teraz. Co myślę. Czego chcę.

— Chcesz przelecieć Paula? — wypaliła Miranda.

Carl oblał się jaskrawym rumieńcem. Zrobił się tak czerwony, jakby wymierzyła mu policzek.

— Miranda, zamknij się! — Szturchnęłam

ją-

— Może — wymruczał Carl. — Nie, tak naprawdę chciałbym go tylko pocałować.

— Jego strata — stwierdziła Miranda. — Całujesz po prostu niesamowicie.

Poczułam się tak, jakby dźgnęła mnie prosto w brzuch. Nie cierpię tego, że ona zawsze musi grać pierwsze skrzypce, być w centrum uwagi.

Wepchnęłam sobie kilka zimnych frytek do ust, chociaż wcale nie byłam głodna.

— Jadłeś coś w ogóle? — zapytałam.

— Masz, kup mu hamburgera. — Miranda wręczyła mi pieniądze.

— Sama sobie idź i mu kup!

— Nie chcę hamburgera. Czy mógłbym za to napić się waszej coli? — spytał Carl.

318

v Umieścił zabandażowane dłonie po obu stronach papierowego kubka i podniósł go ostrożnie do ust. Pił miarowo, łyk po łyku.

— Szkoda, że to nie piwo — powiedział.

— Piwa też możemy się napić — oświadczyła Miranda. — Właśnie, skoczmy do sklepu i kupmy kilka butelek. Spędzimy miłe popołudnie w

parku. Co powiecie na piknik? Mam przy sobie mnóstwo kasy. Możemy kupić też wódkę i naprawdę porządnie się nawalić.

— To raczej kiepski pomysł — stwierdził Carl. — Nie, wracam już do szkoły.

— Wcale nie musimy pić — powiedziałam. — Ale do parku chodźmy. Carl, daj się namówić!

— Nie. Dzięki za propozycję, dziewczyny. Cześć, Mirando. — Spojrzał na mnie. — Do zobaczenia wieczorem, Sylvie.

Odszedł z dumnie uniesionym podbródkiem, zaciskając szczęki.

— Wygląda jak kowboj wybierający się na pojedynek — zauważyła Miranda. — O rany, w kowbojskim kapeluszu i wysokich butach wyglądałby po prostu zabójczo. W „Alhambrze” będzie miał niewiarygodne branie! To taki słynny klub dla gejów — wyjaśniła mi z politowaniem.

— Wiem — powiedziałam, chociaż nie słyszałam o nim nigdy wcześniej.

— Fantastyczne miejsce. Można tam też potańczyć i popatrzeć na drag queens. Jest naprawdę super.

— Byłaś tam? — zapytałam.

— Tak—odparła Miranda.—To znaczy, nie w środku, ale miałam okazję zajrzeć. Chciałam, żeby Raj i Andy

319

wybrali się tam ze mną dla zabawy, ale odmówili. Może Carl będzie chciał z nami pójść, jak myślisz, Sylvie?

— No jasne, już widzę, jak udaje mi się wejść do klubu dla gejów — ba, do jakiegokolwiek klubu — Wzruszyłam ramionami.

— Nigdy nie mów nigdy. Wydaje mi się, że zaczynasz wyglądać trochę

dojrzałej. — Miranda założyła mi włosy za uszy i przyjrzała się z uwagą. Prawie jej uwierzyłam, łudząc się, że wszystkie moje udreki związane z Carlem przydały mi powagi, ale kiedy poszłam do łazienki i przejrzałam się w lustrze, okazało się, że wyglądam dokładnie tak samo dziecinnie jak zawsze. Z rozpaczą pokazałam język mojemu odbiciu. Akurat wtedy z kabiny wyszła Miranda i zaczęła się ze mnie śmiać. Ona też wywiesiła język do lustra. Zrobiłam zeza i dotknęłam językiem czubka nosa. Miranda skrzywiła się niemiłosiernie, wystawiła język z kącika zniekształconych warg i zaczęła się ślinić.

— Całuje po prostu niesamowicie? — zapytałam. Lubieżnie zawibrowała językiem. Wyglądała odrażająco.

— Przestań! — zapiszczałam.

Do łazienki weszła kobieta z małą córeczką, na nasz widok zmarszczyła czoło. Zachichotałyśmy z zawstydzeniem i uciekłyśmy stamtąd jak najprędzej.

— Wracamy do szkoły? — zapytałam.

— Jeszcze nam nie odbiło! Nie, właśnie przyszedł mi do głowy znakomity pomysł na później. Ale najpierw urządzmy sobie ten obiecany piknik.

— Zakrapiany wódką? — zapytałam z obawą.

— No jasne!

320

v ■*■- Ale ja nie lubię wódki.

— Nie bądź niemądra, wódka nie ma smaku. Nie można jej nie lubić.

Miranda zaprowadziła mnie do sklepu monopolowego Oddbins. Zdjęła szkolny krawat, rozpięła bluzkę pod szyją i podwinęła jej rękawy. Na koniec, robiąc zakładkę w talii, podkasła sobie spódnicę, tak żeby była

jeszcze krótsza. Następnie obejrzała mnie z góry na dół.

— Ty zostajesz na zewnątrz — oświadczyła. Przyglądałam się, jak niespiesznie wchodzi do

środka, przechadza się po sklepie, czyta etykiety na butelkach z białym i czerwonym winem, przerzuca paczkę fistaszków z jednej ręki do drugiej. W końcu wybiera półlitrową butelkę wódki i zanoszą ją do kasy.

Obserwowałam, jak znudzony ekspedient coś do niej mówi, a Miranda odpowiada mu śmiechem, potrząsa włosami, wypina pierś. Sprzedawca mówi coś jeszcze. Miranda rumieni się i z impetem stawia butelkę na ladzie. Wzburzona wychodzi ze sklepu, głośno stukając obcasami swoich ekstrawaganckich butów, i mijają mnie bez słowa. Muszę za nią biec.

— Dupek! — wymruczała Miranda.

— Co?

— No on, przecież nie ty! Co za kretyn! Nazwał mnie smarkulą, wyobrażasz sobie?!

— Czyli z wódki nici? — zapytałam z ulgą.

— Nic się nie martw. Następny w kolejce jest Waitrose.

W supermarkecie Waitrose Miranda wzięła koszyk i wrzuciła do niego czekoladę i paczkę chipsów, a także kilka kolorowych magazynów. Potem przeszła do działu

321

z alkoholem, a ja się wycofałam. Na nic się to nie zdało: kiedy tylko sięgnęła po butelkę, podeszła do niej jakaś kobieta w średnim wieku i powiedziała, że Miranda jest za młoda, żeby kupić alkohol.

— Mam już osiemnaście lat — oświadczyła Miranda.

— A ja jestem królową święta wiosny — odparła kobieta. — Nie bądź

naiwna i wracaj lepiej do szkoły, mała.

— Nie masz prawa mnie pouczać, żalosna stara torbo! — odpyskowała jej Miranda, ale odstawiła butelkę na miejsce. Porzuciła koszyk na środku alejki i z dumnie podniesioną głową, potrząsając włosami, wyszła ze sklepu. Powlokłam się za nią zawstydzona, że wszyscy się na nas gapią. Miranda wymaszerowała na zewnątrz, przeklinając pod nosem. Zaczęła od inwektyw czteroliterowych, wszystkich, które przyszły jej na myśl. Potem ubarwiła je przymiotnikami. Następnie wymyśliła cały zestaw własnych obelg, oryginalnych i obscenicznych. A na koniec sięgnęła po sprawdzone dziecinne wyzwiska.

— Stara zasmarkana szczerbata obsiurana baba-jaga! — zawołała.

Wybuchnęłam śmiechem. Miranda też się roześmiała.

— W porządku. Do trzech razy sztuka — powiedziała. Przewróciłam oczyma.

— Miranda, to się nie uda. Nikt ci nie sprzeda koholu!

— Wcale nie zamierzam go kupić. Pojedziemy d mnie do domu i same go sobie weźmiemy. Troch to wszystko potrwa, ale na to już nie ma rady.

322

- H

— Twój rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu? Teraz ona przewróciła oczyma.

— W ogóle tego nie zauważają. Nikogo nie będzie w domu. Tata jest w pracy. Anorektyczka Annie ćwiczy jogę w klubie fitness. Sprzątaczką do tej pory już skończyła pracę, a Minna wzięła sobie dzisiaj wolne. Dalej, musimy się pośpieszyć, nie mamy na to całego dnia. O wpół do czwartej musimy być z powrotem w mieście.

— A to dlaczego?

— Zobaczysz — powiedziała tajemniczo Miranda.

— Powiedz mi!

— Przecież powiedziałam, że zobaczysz. — Nie zamierzała ustąpić. Złapałyśmy autobus jadący w stronę jej eleganckiej dzielnicy. Szłam chodnikiem wzdłuż Lark Drive i zastanawiałam się, jak by to było tutaj mieszkać.

— Jesteś szczęściarą, że tu mieszkasz — powiedziałam.

— Chyba żartujesz! Tu się nic ciekawego nie dzieje. Zamierzam jak najszybciej wyprowadzić się z domu. Chcę zamieszkać w samym Londynie — marzy mi się taki fantastyczny loft z wysokim sufitem i widokiem na dachy innych domów. Urządzę go mi-nimalistycznie, wstawię ultranowoczesne meble. Ale będzie super! Już się nie mogę doczekać, kiedy będę miała własny ką!

Wydawało mi się, że Miranda już teraz ma do dyspozycji całkiem sporą przestrzeń. Pomyślałam o moim maleńkim pokoiku. Kiedy leżę w łóżku, mogę dotknąć rękoma przeciwległych ścian. Pomyślałam o mamie, gnieźdzącej się w mojej dawnej sypialni, żeby tylko

323

móc policzyć pannie Miles trochę więcej za wynajem. Wysokie sufity, minimalistyczne, ultranowoczesne meble i dowolny widok, inny niż stojące naprzeciw klockowate bliźniaki, bliźniaczo podobne do naszego, także dla nas byłyby miłą odmianą.

— A jak wygląda twój pokój? — zapytałam ciekawie.

— Och, też nic nadzwyczajnego. Jest cały utrzymany w tonacji ciemnego fioletu, zasłony z koralików, parę aksamitnych poduszek, lustro w starych

ramach, te klimaty. — Miranda wzruszyła ramionami. — Dawniej myślałam, że to szczyt dekadencji, ale wtedy miałam jakieś jedenaście lat. Wiercę rodzicom dziurę w brzuchu, żeby w końcu zgodzili się na remont. Dla mnie opis jej pokoju brzmiał jak szczyt marzeń. I kropka.

— Mogłabym go zobaczyć? — spytałam, kiedy stanęłyśmy pod drzwiami jej domu.

— Jasne — odparła Miranda, przekręcając klucz w zamku. — Dziwna rzecz, w ogóle nie były zamknięte.

Weszła do środka, do pięknego, kremowego przedpokoju, w którym witraże wprawione w drzwi wejściowe kładły czerwone, niebieskie i zielone romboidalne plamy na jasnym dywanie.

— No to chodźmy — powiedziała i ruszyła na górę po schodach.

Zatrzymała się w pół kroku tak raptownie, że na nią wpadłam.

— Co się stało?

— Ciii! Posłuchaj — powiedziała.

Stałyśmy bez ruchu. Z góry dobiegły nas jakieś dźwięki, stłumiony jęk i gorączkowe szepty.

324

— Ktoś się do was włamał? — zapytałam bezgłośnie. — O Boże, dzwoniły pod dziewięć-dziewięć--siedem?!

— Nie, zwykła policja nic tutaj nie poradzi. Musiałybyśmy wezwać strażników moralności, żeby przyjechali i spuścili mojej matce porządne łanie swoimi pałkami! — oświadczyła Miranda, nie dbając o to, żeby ściszyć głos. — Zajęcia z jogi, też mi coś! Jest u siebie w sypialni z jakimś facetem. To przecież oczywiste, że nie ćwiczą teraz pozycji lotosu!

— Myślisz, że...

— I owszem. Ciekawe, kto to jest tym razem?! — zawołała.

— Miranda? To ty, kochanie? Poczekaj, ptaszyno, już do ciebie schodzę!

— „Kochanie”! „Ptaszyno”! — przedrzeźniała ją ze złością Miranda.

Energicznym krokiem wróciła do przedpokoju. — Nie zamierzam się o tym przekonać!

Wpadła jak burza do salonu, z tacy z alkoholami wzięła butelkę wódki i skierowała się do wyjścia.

— Nie masz jej nic do powiedzenia? — zapytałam.

— Absolutnie nie — odparła Miranda i z hukiem zatrzęsnęła za nami drzwi.

— A ojcu o tym powiesz? — spytałam.

— Jeszcze nie wiem — powiedziała. — Przecież on też ma kochanki, to dla mnie jasne jak słońce.

— Mój też miał — stwierdziłam.

— Ale twoja matka go zostawiła — zauważyła Miranda i upiła łyk wódki prosto z butelki.

— To raczej on ją zostawił — sprostowałam.

325

— Typowe! Mężczyźni właśnie tacy są. Założę się, że twoja mama nie miewa kochanków. I na pewno zachowuje się jak prawdziwa mama: gotuje, sprząta, bezwstydnie cię rozpieszcza, przychodzi cię utulić na dobranoc.

— Taaak, ale faceta też już ma.

— Poważnie? — zdziwiła się Miranda. — Nic mi o nim nie mówiłaś.

— Bo tylko co go poznała.

— I jaki on jest? Wzruszyłam ramionami.

— Raczej w porządku. Trochę nudziarz. Mama rozpływa się nad jego poczuciem humoru, ale ja jakoś tego nie widzę.

— Chyba z nim nie sypia?

— Ostatnio został u nas na noc.

— I nie przeszkadza ci to?

— Nie miałam czasu się nad tym zastanowić. Byłam w szpitalu z Carlem. Miałam głowę zajęta martwieniem się o niego.

— O Carla już się nie martw. Wszystko załatwimy na cacy — oświadczyła Miranda.

— Jak?

— Zobaczysz. — Pociągnęła z butelki kolejny łyk. Przechodząca obok kobieta spiorunowała ją wzrokiem.

— Do czego to podobne! — powiedziała. — O wszystkim powiem twojej matce!

— Proszę bardzo. To jej i tak nie obchodzi — stwierdziła Miranda i upiła następny duży łyk wódki.

— Miranda! Chodźmy! — Pociągnęłam ją w dół ulicy. — Chodźmy do parku, zejźmy ludziom z widoku. Żałuję,

326

że nie kupiłyśmy nic na ten piknik, umieram z głodu.

Z furgonetki zaparkowanej przy wejściu do parku Miranda kupiła nam po dużej porcji lodów z automatu. Swoją skropiła wódką.

— Mmm, pyszulka! Może mogłabym wypromować lody o smaku wódki?

— zachwycała się, zajadając je z apetytem.

— Rozpijesz się na dobre — oświadczyłam. — Często podprowadzasz rodzicom alkohol i pijesz w samotności?

— Czasami. Kiedy mam już tego wszystkiego dość.

— Chyba cię nie rozumiem: niby czego dość? Jesteś dzieckiem szczęścia. Masz wszystko, o czym można zamarzyć!

— Pieniądze — powiedziała Miranda, idąc w stronę placu zabaw. — Dom. I to by było na tyle.

— Urodę. Osobowość.

— Taaa. No, może.

— Jesteś prawdziwą szczęściarą! I nie zgrywaj mi tu teraz bogatego biedactwa z łaski swojej.

— Oj, zamknij się już, Pchło przebrzydła! — prychnęła Miranda i obficie skropiła wódką swoje lody. — Pycha, naprawdę pycha. Mmmm! Chociaż nie, teraz zrobiły się jakieś oleiste i ohydne. Może to był jednak kiepski pomysł.

Wyrzuciła swoją porcję lodów do kosza i usiadła na huśtawce. Butelkę wódki wepchnęła do kieszeni szkolnej marynarki i zaczęła się mocno huścić, wymachując nogami w swoich niesamowitych butach. Podwiewało jej spódniczkę, a wtedy na jej udach obleczonych w ażurowe rajstopy było widać plamy jasnego ciała.

— Wyglądam jak dalmatyńczyk! — powiedziała,

327

poklepując się po nich. Odchyliła głowę do tyłu, tak, że prawie zamiatała włosami po ziemi. — Chodź się pohuścić, Sylvie!

— Carl i ja przychodziliśmy się tutaj bawić, kiedy byliśmy mali — powiedziałam. Stałam na huśtawce obok i wprawiłam ją w ruch. — Udawaliśmy, że huśtawki to nasze czarodziejskie rumaki. Moja była karą kłaczą z białą gwiazdką na czole, a Carl dosiadał ogiera białego jak śnieg.

Całymi godzinami galopowaliśmy przez powietrze, ścigając się ze sobą. A kiedy już się zmęczyliśmy i zakręciło się nam w głowach, zaczęliśmy się bawić w dom na karuzeli. Metalowe barierki pomiędzy siedzeniami oddzielały od siebie poszczególne pomieszczenia. Przeciskaliśmy się między nimi, udając, że wchodzimy do kuchni i przygotowujemy sobie jakiś posiłek. Z jedzeniem przenosiliśmy się do jadalni i udawaliśmy, że jemy, a potem oglądaliśmy telewizję w salonie, wyśpiewując czołówki naszych ulubionych seriali. Później korzystaliśmy z komputera w gabinecie, stukając w klawiaturę z powietrza, a następnie szliśmy się umyć do łazienki i w końcu zasypialiśmy przytuleni w naszej maleńkiej sypialni. — Przestałam się huśtać. — Wszystko to wydawało się takie prawdziwe. Całkiem jakby się działo naprawdę, mimo że przecież tylko się bawiliśmy. Myślałam, że kiedyś w przyszłości to się n a p r a w d ę s p e ł n i. Że Carl i ja będziemy razem przez całą szkołę, a potem oboje pójdziemy na studia artystyczne i wynajmiemy sobie jakieś mieszkanie, choćby takie malutkie jak ten nasz domek na karuzeli, ale to nie będzie ważne, bo będziemy razem. I że pewnego dnia się pobierzemy.

328

Obmyśliłam sobie nawet, jak będzie wyglądała moja suknia ślubna. Nie chciałam żadnej białej bezy. Marzyłam o prostej, miękko się układającej, satynowej sukni i szklanych pantofelkach na wysokim obcasie, takich, jakie nosił Kopciuszek. Ale szklanych butów i tak nikt nie produkuje, prawda? A poza tym teraz już nie będę mogła wyjść za Carla, chociaż to do mnie jeszcze tak całkiem nie dotarło, bo planowałam to od tak dawna i zawsze o tym marzyłam, i zawsze myślałam, że on też tego chce! — Głos mi się załamał i zaczęłam płakać.

— Sylvie? — Miranda z jękiem podniosła się do siadu. — O Boże, ale mi niedobrze. Sylvie, nie płacz. Może jeszcze wszystko się ułoży i jednak za niego wyjdiesz.

— Myślisz, że to przejściowe, tak jak powiedziała Jules?

— Nie wiem. Myślę, że zakochać się można w kimkolwiek. Ale nawet jeśli Carl naprawdę okaże się gejem, to jeszcze nie znaczy, że cię nie kocha.

— Naprawdę tak uważasz?

— Tak! Nigdy nic nie wiadomo. Wciąż możecie się pobrać i nawet jeśli nie będziecie uprawiać seksu, możecie przecież mieć całkiem udane życie. Najprawdopodobniej będziecie razem bardzo szczęśliwi, inaczej niż zdecydowana większość małżeństw na całym świecie. Rany, ja chyba naprawdę zaraz zwymiotuję!

Zwlokła się z huśtawki i chwiejnym krokiem podeszła do kosza na śmieci. Kiedy wymiotowała, przytrzymałam jej włosy. Zwracając, wydawała okropne dźwięki, czkała, stękała i chrząkała. Na jej miejscu chyba umarłabym ze wstydu, ale Miranda po wszyst-

329

kim tylko otarła usta i uśmiechnęła się do mnie szeroko.

— Wielkie dzięki, Sylvie. Od tego są prawdziwe przyjaciółki, co nie? W potrzebie dbają, żebyśmy nie obrzy-gały sobie włosów!

— Polecam się na przyszłość — powiedziałam. Miranda sięgnęła po butelkę wódki.

— Nie pij już więcej, na litość boską! Przecież właśnie od tego się pochorowałaś!

— A skąd, zrobiło mi się niedobrze, bo się za mocno huśtałam. Poza tym

muszę czymś przepłukać usta.

Upiła spory łyk, ale wzdrygnęła się i wszystko wypluła.

— To chyba rzeczywiście marny pomysł. Nie masz przypadkiem gumy do żucia? Naprawdę muszę się pozbyć tego zapachu. — Zerknęła na zegarek.

— Myślę, że zdążymy jeszcze wrócić na chwilę do mnie. Chociaż stąd jest bliżej do ciebie. Mogę umyć zęby u ciebie w domu? Czy boisz się, że teraz twoją matkę nakryjemy w łóżku z kochankiem?

— Mam nadzieję, że nie!

— Ha, wiem! Teraz w niedwuznacznej sytuacji zastaniemy pewnie Panią Starszą, waszą sublokatorkę!

— Jesteś okrutna! Biedna panna Miles! — powiedziałam, ale nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Jeszcze trudniej było mi utrzymać powagę, kiedy przyszłyśmy do mnie i natknęłyśmy się na pannę Miles, która wyjrzała akurat przez drzwi swojego pokoju ubrana tylko w szlafroczek!

— Ależ mnie przestraszyłyście, dziewczynki! — powiedziała. — A toście mnie przyłapały!

Wytrzeszczyłyśmy na nią oczy.

330

— Uciełam sobie właśnie krótką poobiednią drzemkę — wyjaśniła. — Ojej. Pomyślicie pewnie, że jestem ostatnim leniuchem.

— Ależ skąd! — zapewniłam ją serdecznie i szybko wciągnęłam Mirandę do mojego pokoju.

Wtoczyłyśmy się do środka, zatykając sobie usta rękoma i prawie płacząc ze śmiechu. Kiedy już przestałam się śmiać, rozejrzałam się niespokojnie po moim pokoju. Teraz, gdy Miranda leżała rozwalona na moim łóżku,

wydał mi się jeszcze mniejszy i jeszcze bardziej zapuszczony. Zrzuciła z nóg swoje zabójcze buty, które spadły nosami do góry na mój brudny dywanik ze sztucznego futra. Owinęła się moją kołdrą w starej, wyblakłej od prania poszewce w grube, wyszczerzone w idiotycznych uśmiechach pluszowe misie. Miranda próbowała naśladować ten uśmiech, ale bardzo szybko zacisnęła usta i wciągnęła policzki do środka.

— Fuj, muszę jak najszybciej umyć zęby! Sylvie, czy mogę być tak okropna i użyć twojej szczoteczki?

Cicho przemknęła do łazienki, a ja zabrałam się do błyskawicznych porządków w moim pokoju. Brudne skarpetki i majtki wrzuciłam do szafy, plik notatek do Kronik Szklanii schowałam do starego różowego kuferka ozdobionego wizerunkiem Barbie i szybko poprzekładałam książki na półce — stare bajeczki o duszkach kwiatów i małych misiach upchnęłam za moje nastoletnie lektury, żeby Miranda nie pomyślała przypadkiem, że jestem opóźniona w rozwoju.

Po powrocie z łazienki Miranda roztaczała intensywną woń pasty Colgate i perfum Boudoir, które mama zachowuje na specjalne okazje.

331

— Wyglądam trochę lepiej? — zapytała, przybrawszy wystudiowaną pozę.

— W łazience nie mogłam znaleźć nic do makijażu. Pożyczysz mi swoje kosmetyki?

— Jasne — powiedziałam z obawą. Poszperałam w szufladzie i wyjęłam z niej moją kosmetyczkę. Jej zawartość była żałośnie skromna: jasny podkład, dwie szminki w odcieniu bladego różu i wodoodporny tusz do rzęs.

Miranda wydeła wargi.

— No i jak niby mam się zrobić na bóstwo, co? Musiała improwizować.

Mojej ciemniejszej szminki

użyła jako różu, a za szminkę posłużył jej ciemnoczerwony flamaster.

Oczy podkreśliła czarnym pisakiem, a na rzęsy nałożyła trzy warstwy tuszu. Następnie rozczesała włosy i po obu stronach twarzy zaplotła sobie dwa zalotne warkoczyki, reszcie włosów pozwalając spłynąć swobodnie na ramiona.

— Wyglądasz ślicznie — skomplementowałam ją.

— I owszem — odparła Miranda i uśmiechnęła się do swojego odbicia w moim lustrze. — No dobrze, Sylvie, teraz bierzemy się za ciebie.

— Chyba szkoda zachodu — westchnęłam.

— O, bynajmniej! Chodź tutaj. Pokaż no się — zakomenderowała Miranda i posadziła mnie na łóżku.

— Tylko nie przesadz, bo będę wyglądała jak pacynka

— powiedziałam.

— Trochę zaufania, mała — oświadczyła. Miranda dała z siebie wszystko. Także mój makijaż

zrobiła pisakami, ale użyła delikatniejszych odcieni

— brzoskwiniowego do ust, szarego do oczu. Potem ułożyła mi włosy, tapirując je lekko na czubku głowy, tak żeby nie robił mi się ten mój dziecinny przedziałek.

332

Przejrzałam się w lustrze.

— Wyglądam... całkiem dobrze — przyznałam. W głębi duszy byłam zachwycona.

— Do choinki, wyglądasz rewelacyjnie! — prychnęła Miranda. — Prawie tak dobrze jak ja. Może powinnam zostać wizażystką? Mogłabym pracować w telewizji. Poprawiłam twój wizerunek o sto procent! Dalej, ściągnij ten beznadziejny mundurek i wskakuj w dzinsy. Ja też muszę się przebrać. Będę musiała pożyczyć coś od ciebie.

— Ale nic nie będzie na ciebie pasowało!

— A właśnie, że będzie! Zgoda, jesteś małym chudzielcem, ale ja też nie jestem znowu taką słonicią! Na pewno w coś się wcisnę.

I rzeczywiście się wcisnęła. Próbowwała przymierzyć kilka moich T-shirtów, ale wszystkie były na nią za małe w biuście. Wtedy wypatrzyła niebieską koszulkę na ramiączkach, górę od piżamy, w której wyglądam jak mała dziewczynka. Tymczasem Miranda wyglądała w niej fantastycznie. Naprężone ramiączka wyeksponowały jej krągłe, białe ramiona, a koronkowe wykończenie dekoltu, przylegające ciasno do ciała, podkreśliło jej pełny biust.

— Może być — powiedziała z zadowoleniem Miranda. — Ale w twoje dzinsy nie wbiję się na pewno. Nie masz jakichś spódnic?

Zależało jej na czymś krótkim i obcisłym, ale wszystkie moje spódnice okazały się zdecydowanie za krótkie i stanowczo za obcisłe. W ogóle nie mogła się dopiąć.

— Nie masz czegoś z gumą w pasie? — zapytała w końcu ze złością.

333

Grzebała w mojej skromnej szafie, nie szczędząc mi pogardliwych komentarzy.

— Słuchaj, nie prowadzę sklepu z ciuchami — odcięłam się.

— Hej, a co powiesz na to?

Wyciągnęła moją starą, fioletową, marszczoną spódnicę, która mi sięga prawie do kostek, ale Mirandzie kończyła się tuż za kolanem, kusząco odsłaniając łydki. Guma w pasie napięła się do granic wytrzymałości. Spódnica była akurat.

— Ta-raaa! — zawołała Miranda i zakołysała biodrami. Koronkowa falbana zafurkotała. — Teraz prezentuję się naprawdę nieźle.

— Co racja, to racja — westchnęłam.

— W takim razie jesteśmy gotowe. — Spojrzała na zegarek. — Będziemy musiały się pospieszyć.

Znowu sięgnęła po wódkę.

— Miranda!

— Tylko jeden mały łyżeczek dla kurażu!

— Po co? Co takiego zamierzasz?

— Wybieramy się z wizytą do Kingsmere Grammar.

— O nie!

— O tak! Nie rób takiej miny, Sylvie, musimy to zrobić. Dla Carla. Nie chcesz mu pomóc?

— Oczywiście, że chcę, ale...

— Mam świetny pomysł. Zaufaj mi!

Nie ufałam jej ani odrobinę, ale poszłam z nią i tak. Nie chciała się przyznać, co dokładnie zamierza zrobić.

— Sama jeszcze nie wiem. Musimy najpierw sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Jak ci chłopacy zachowują się w stosunku do Carla. Może troszeczkę przesadza?

334

■ — Carl nigdy nie przesadza — powiedziałam.

Przekonałyśmy się o tym na własne oczy. Dotarłyśmy do Kingsmere równo z dzwonkiem obwieszczającym koniec popołudniowych lekcji. Jakaś minutę panowała cisza, a potem przez drzwi szkoły zaczął się wylewać fioletowy strumień chłopców. Była ich cała armia, gonili się, przekrzykiwali i popychali. Było widać, że chodzą do różnych klas, najmłodszy byli najbardziej rozdokazywani i szczebiotali cienkimi głosami. Klasa Carla wyszła ze szkoły ostatnia, kiedy już zaczęłyśmy sądzić, że przyszedłyśmy za późno. Carl szedł pierwszy, z uniesioną głową, pogwizdując, jakby wędrował samotnie wiejską dróżką, a pozostali deptali mu po piętach i wywrzaskiwali obelgi:

— Pedał!

— Ciota!

— Pedzio!

Był z nimi także Paul. On też krzyczał.

— Szklany Chłopiec!

— Dymany!

Wszyscy zarechotali. Carl szedł spokojnie dalej, nadal pogwizdując, ale twarz miał czerwoną jak cegła.

— Chłopiec szklany — dymany! — zaintonował Paul, a reszta to podchwyciła.

— Co za gnojek! — Aż się zatrzęsłam z wściekłości. — Musimy go powstrzymać.

— Nawet wiem, jak — powiedziała Miranda. — Chodźmy.

Przeszłyśmy przez szkolną bramę na boisko.

— O rany, to ta laska z cycami! — zawołał któryś z nich.

— Ta cycatka z telefonu Paula!

— Jego dziewczyna.

— Nie jestem dziewczyną Paula. To przecież palant! — oświadczyła pogardliwie Miranda. — Teraz chodzę z Carlem. Cześć, Carl!

Zostawiła mnie i podeszła do Carla. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyłgnęła do niego całym ciałem i przy wszystkich pocałowała go w usta. Był to pocałunek tak długi i namiętny, aż wszystkim zaparło dech.

Ktoś wymamrotał:

— Ale on jest pedałem...?

— Gej czy heteryk, całuje lepiej niż którykolwiek z was — powiedziała Miranda. — Banda żalosnych smarkaczy. Carl, chodźmy stąd.

Ostrożnie ujęła jego zabandażowaną rękę i ruszyli w stronę bramy.

Myślałam, że przejdą obok mnie, ale Carl wyciągnął do mnie drugą rękę.

— A to znów co za jedna? — odezwał się jakiś głos.

— To Sylvie. Ona też jest moją dziewczyną — wyjaśnił Carl i wziął mnie za rękę.

Wyszliśmy stamtąd we troje. Żegnała nas pełna zdumienia cisza.

— No i proszę bardzo! — triumfowała Miranda. — Czy to nie było genialne?!

— Genialne nie — odparł Carl. — Ale bardzo ci dziękuję. Tobie też, Sylvie.

Nadal trzymaliśmy się za ręce.

— I teraz co? — zapytałam. — Odejdziemy w stronę zachodzącego słońca?

Odprowadziłyśmy Carla do domu. W kuchni czekała na niego blada ze zmartwienia Jules.

— Ojej! Cześć, Sylvie, witaj, Mirando — powiedziała. — Cześć, Carl. Jak ci minął dzień?

— Mogło być lepiej — odparł Carl. Milczał przez chwilę. — Dwie dziewczyny, które odebrały mnie ze szkoły, wzbudziły pewną sensację.

— Wcale się nie dziwię — stwierdziła Jules i spojrzała na Mirandę w mojej górze od pizamy. — Dziewczynki, napijcie się kawy? Upiekłam też ciasteczka karmelowo-czekoladowe.

Ciasteczka karmelowo-czekoladowe były największym przysmakiem Carla i pojawiały się tylko przy wyjątkowych okazjach. Usiedliśmy w czwórkę przy stole. Piliśmy kawę, zajadaliśmy ciasteczka, Miranda zaczęła się popisywać, a Jules domyślając się, że Miranda wyświadczyła Carlowi znaczną przysługę, dziś miała dla niej więcej pobłażania.

337

Usłyszeliśmy głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych i po chwili w kuchni zjawił się Jake. Nasz widok wyraźnie go zaskoczył. Przez chwilę badał nas wzrokiem — ze szczególnym uwzględnieniem dekoltu Mirandy.

Uśmiechnął się do mnie lekko i zwrócił się do Carla.

— Elo, młody! — powiedział. — Jak ty to robisz, co? Łażą za tobą dwie dziewczyny, a ja wciąż nie mam żadnej!

— Mam naturalny wdzięk? — odparł Carl.

— No tak. — Jake umilkł na chwilę. — Jak ci minął dzień?

— Zaczynacie się zachowywać jak szpiedzy z filmów o Bondzie — stwierdził Carl. — Domyślam się, że „Jak ci minął dzień?”, to zaszyfrowane pytanie: „Czy ta banda gnojków dołożyła ci dziś za to, że jesteś gejem?”

— Tata mówi, że w twoim wieku nie możesz jeszcze wiedzieć, czy jesteś

gejem, czy nie. Zainteresowanie osobami tej samej płci jest przecież naturalną częścią procesu dojrzewania, bla, bla, bla.

— Tak, pewnie tak — powiedział Carl.

— No właśnie — odparł Jake. — To złali cię czy nie? Bo jeśli powiesz mi, którzy, to z radością się z nimi rozprawię.

— Spóźniłeś się, kolego — wtrąciła się Miranda. — Już się z nimi rozprawiłam.

— Na swój własny, niepowtarzalny sposób — dodałam.

— O rany! A nie miałabyś czasem ochoty rozprawić się także ze mną? — zapytał z uśmiechem Jake.

— Chyba będę musiała być bardziej wybredna — oświadczyła Miranda.

— Wy, faceci, najwyraźniej nie potraficie sprostać wyzwaniu, jakim jest mój urok fizyczny. Jakoś nie jestem zachwycona tym, że określa się mnie

338

jako „tę laskę z cycami”. Myślę, że je zabandażuję i dla odmiany przez parę lat będę chodzić w worze pokutnym.

— Popsuj zabawa! — zaprotestował Jake. Dał Carlowi żartobliwego kuksańca w ramię.

— Całe szczęście, że masz swoją babską armię, braciszku. Ale kiedy już jej odsalutujesz, przekaż komendę mnie.

Usiadł i zaczął jeść.

— Tak jak powiedziałam, niestety, nie jestem już do wzięcia — podkreśliła Miranda. — Od teraz zamierzam żyć jak zakonnica.

— W porządku, przyjąłem, siostró Mirando — odparł Jake. — Ale nie jesteś jedyną dziewczyną w tym towarzystwie.

Zamilkł i znacząco spojrział na mnie. Westchnęłam z rezygnacją,

przekonana, że tylko mnie podpuszcza.

— Cha, cha, bardzo śmieszne, Jake! — powiedziałam cierpko.

— On mówi poważnie. — Jules szturchnęła mnie łokciem. — Naprawdę wpadłaś mu w oko — wyjaśniła mi szeptem.

Aż zamrugałam ze zdumienia. Miranda zrobiła wielkie oczy. Jules uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. Carl popatrzył na mnie z nadzieją. O Boże. Widziałam wyraźnie, że wszyscy oni są zdania, że to idealne rozwiązanie. Mogłabym być dziewczyną Jake'a i najlepszą przyjaciółką Carla — funkcjonalny i czysty układ z dwoma chłopakami z sąsiedztwa. Ale to nie jest takie proste. Przecież nie kocham Jake'a. Kocham Carla. Jake nie spuszczał ze mnie wzroku. Był bardzo czerwony na twarzy, ale starał się udawać całkowite opanowanie.

339

Na Wacie Stołu wystukiwał palcami synkopowany rytm.

Odrzucił głowę do tyłu, żeby odgarnąć grzywkę włożoną mu do oczu. Nie chciałam go zranić.

— Ojejku! — zawołałam dziecięcym głosem. —

~~~~~Ri^^t^^e^^T.Ne^i=rt^^^xv\*3Ks^^^x>

Na blacie stołu wystukiwał palcami synkopowany rytm. Odrzucił głowę do tyłu, żeby odgarnąć grzywkę włożoną mu do oczu. Nie chciałam go zranić.

— Ojejku! — zawołałam dziecięcym głosem. — Nie żartuj sobie ze mnie, Jake! A nawet gdybyś mówił poważnie, to i tak jesteś ode mnie o tyle starszy, prawie dorosły. Mama w życiu nie pozwoliłaby mi się z tobą umawiać.

Nie wiem, czy wypadłam przekonująco. Jake zaśmiał się niepewnie.

— No tak, masz rację, Pchełka, to by przecież zakrawało na kidnaping! Jules westchnęła i nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Miranda zaczęła opowiadać o wszystkich starszych chłopakach, z którymi się spotykała — byli wśród nich siedemnasto- i osiemnastolatki, a nawet jakiś facet po dwudziestce. Nie byłam przekonana, czy mówi prawdę, ale to nie było ważne. Miranda mówiła i mówiła, a my, jej słuchacze mimo woli, przytakiwaliśmy, zachłystywaliśmy się z wrażenia i wybuchaliśmy śmiechem.

Potem Jake poszedł do siebie, żeby odrobić lekcje. Potargał moje pięknie ułożone włosy i przesłał mi buziaka, zmieniając wszystko w żart.

Wyciągnął dłoń, żeby zmierzwić także włosy Mirandy, ale ona złapała go za nadgarstek i wykręciła mu rękę.

— Ze mną tego nie próbuj, kolego! Mnie nikt nie podskoczy. — Ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. — Chyba już czas na mnie. Rany, że też ja muszę tak daleko mieszkać. Może wezmę taksówkę?

— Odwiozę cię — zaproponowała Jules i wyjęła kluczyki z torebki.

340

— Miranda, musisz się jeszcze przebrać z powrotem w swój mundurek — przypomniałam jej.

— Oj, zawracanie głowy! Przyjdę jutro do szkoły w tych ciuchach, zrobi się przynajmniej trochę szumu.

— Jesteś najlepszą specjalistką od robienia szumu, jaką znam — powiedziała Jules. — Ale jesteś też prawdziwą przyjaciółką mojego syna i tylko to się liczy. Chodźmy, kochanie.

— W porządku, już idę. Dzięki, Jules. — Miranda popatrzyła na Carla i na mnie. — Jedziecie z nami, tak?

— Przepraszamy, ale mamy jeszcze coś do zrobienia

— odparł Carl.

Miranda była niepokieszona, lecz Jules stanowczo wyprowadziła ją z kuchni.

— Coś do zrobienia? — zapytałam cicho.

— Chciałbym, żebyś poszła ze mną do Szklanej Altany

— odpowiedział Carl. — Nie sprostam temu sam.

— Dobrze — zgodziłam się, chociaż serce zaczęło mi bić jak młotem. Bez namysłu schwyciłam go za rękę. Skrzywił się z bólu.

— Przepraszam! Bardzo cię boli?

— Sam jestem sobie winien. Sylvie, myślisz, że rozbiłem wszystko?

— Prawie — odparłam.

— Chyba... chyba nie jestem jeszcze gotowy, żeby to zobaczyć.

— Nie, chodźmy zaraz. Tylko zajrzemy, żeby się przekonać, czy coś ocalało.

— Niech będzie. Masz na sobie pełne buty? Musisz uważać, żeby nie pokaleczyć sobie stóp. I nałóż rękawi-

341

ce ogrodowe taty, dobrze? Na wypadek, gdybyś chciała czegoś dotknąć.

Wolnym krokiem przeszliśmy przez ogród. W pobliżu altany szliśmy już tak wolno, że prawie nie posuwaliśmy się naprzód.

— Chciałbym cię wziąć za rękę, ale zobacz, jak wyglądamy: jakbyśmy trenowali boks! — powiedział Carl i poklepał zabandażowaną ręką moją skórzaną rękawicę ogrodową.

— Głęboki wdech! — zakomenderowałam.

Wyciągnęłam rękę i ostrożnie uchyliłam drzwi Szklanej Altany.

Wciągnęłam w nozdrza znajomy zapach. Jak zawsze pachniało ziemią. Przez ułamek sekundy łudziłam się, że to był tylko koszmarny sen. Oddałabym wszystko, żeby kolekcja kryształów Carla stała na półkach w równych rzędach, ustawiona według kolorów. Lecz gdy tylko weszłam do środka, pod moją podeszwą zazgrzytało szkło. Włączyłam światło. Carl i ja staliśmy obok siebie, z trudem łapiąc oddech.

Szklany Chłopiec nadal był roztrzaskany w drobny mak, pozostała z niego tylko stopa. Wszystkie kryształowe zwierzątka były straszliwie okaleczone. Wazy także były porozbijane, kolorowe odłamki szkła tworzyły na półce chaotyczną mozaikę. Lecz przyciski do papieru w większości się uchowały. Podniosłam kulę „Remember Me”, prezent urodzinowy od Mirandy.

— Uśmiech losu! — Obejrzałam ją dokładnie pod światło. — Nie ma nawet najdrobniejszej rysy. Masz szczęście, to twój najcenniejszy eksponat.

— Wcale nie — odezwał się Carl. Miał zachrypnięty głos. Wiedziałam, że powstrzymuje się od płaczu.

342

— No tak, biedny Szklany Chłopiec — powiedziałam. Popatrzyłam na drobną stopę z kryształu, pięć doskonale kształtnych palców, pełne wdzięku podbicie, zgrabnie utoczoną piętę i okropną, poszarpaną krawędź tuż nad kostką.

— Nie, myślałem o moim specjalnym kielichu do szampana — odparł Carl. Ruchem głowy wskazał półkę z kieliszkami. Prawie wszystkie były potłuczone, miały utracone nóżki, ale mój kielich wydawał się nietknięty.

— No proszę! — zawołałam. — Tak się cieszę!

Dostrzegłam, że kielich jest minimalnie wyszczerbiony. Jestem pewna, że Carl też to zauważył, ale oboje udaliśmy, że jego stan jest idealny.

— Twoja kolekcja przetrwała — powiedziałam. — Jest nieduża, ale bardzo starannie dobrana.

— Zgadza się.

— W takim razie możesz zbierać dalej.

— Może — powiedział Carl. — A może... sam nie wiem...

Zabandażowaną ręką bardzo ostrożnie rozgarnął kawałki szkła.

— Uważaj!

— Uważam, uważam. Podaj mi proszę ten niebieski odłamek i tamten, i jeszcze ten ciemniejszy. Jeśli ten położymy tutaj, a tamten tam... —

Poukładał je obok siebie. — Zobacz tylko!

Spojrzałam. Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

— Tego się już chyba nie da posklejać — powiedziałam łagodnie.

— Nie, wcale nie chcę tego sklejać. Znajdź mi jeszcze kilka niebieskich kawałków.

343

Nie rozumiałam, o co chodzi, dopóki Carl nie poprosił mnie o umieszczenie maleńkiej żółtej drzazgi obok najbardziej wysuniętego w górę niebieskiego kawałka szkła. Dopiero wtedy zobaczyłam całość.

— To przecież ptak! Drozd z żółtym dzióbkiem!

— Może mógłbym się zająć mozaiką? Myślisz, że bym się sprawdził?

— Byłbyś w tym świetny! A później mógłbyś się też specjalizować w witrażownictwie. To już na studiach.

— Na studia artystyczne pójdziemy razem.

— A potem wspólnie preredagujemy Kroniki Szklania, ogłosimy je

drukiem i zarobimy na tym krocie — powiedziała i sięgnęłam po naszą księgę.

Drobinki szkła posypały się z okładki, ale księga była nietknięta.

— A król Carlo i królowa Syh/iana będą żyli długo w szczęściu i miłości

— powiedział Carl.

— Oczywiście. — Przełknęłam ślinę. — Nawet jeśli my nie mamy na to szans.

— Zawsze będę cię kochał, Sylvie — powiedział Carl.

Zrobił krok w moją stronę i stanął tuż przede mną oddzielony tylko Kronikami. Pochylił się ku mnie i delikatnie, czule, słodko pocałował mnie w usta.

Nie był to pocałunek, o jakim marzyłam. Ale nie tak dużo brakowało mu do ideału.